



Deborah Moggach

OSTATECZNE

WEZWANIE

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Podobno wszystkiemu winne było globalne ocieplenie. „To ostatni dzwonek”, ostrzegało. „Pierwsze oznaki tego, co nieuchronnie nadciąga”. Przez cały listopad padało. Brytania tonęła w falach powodzi. Wymieniane w wiadomościach, dotąd mgliście kojarzone nazwy rzek, nagle stawały się równie znajome jak nazwiska znakomitości z pierwszych stron gazet. Dzień po dniu szalały wichury, wściekle atakując samochód jadącej do pracy Natalie i tarmosząc nim na wszystkie strony, gdy zatrzymywała się na światłach. Może wszystko to — nieustanny wewnętrzny niepokój i nie opuszczające jej dziwne uczucie, które sprowadzało się do pytania: „I to wszystko?” — jakoś się ze sobą wiązało?

Przyszłość planety nie interesowała jej w najmniejszym stopniu; gazety czytywała nader rzadko. Deszcz jednak dotyczył jej bezpośrednio. Złapał ją w pułapkę terażniejszości, a chmury odcinały od wszelkich perspektyw, możliwości na przyszłość. Tkwiła uwięziona w pracy, pocąc się w blasku zimnych świateł. Po powrocie do domu, choć otepiała, wciąż odczuwała wewnętrzny niepokój. Siedziała na brzegu wanny i nagle drgnęła, uświadamiając sobie, że właśnie upłynęła godzina.

Coś się powinno dzieć. W życiu Natalie powinno się dzieć coś wielkiego, niesamowitego, choć jednak czas pędził jak szalony, a dni uciekały z szybkością zapierającą dech w piersiach, jej życie wciąż było nużąco niezmiennie. Miała już trzydzieści dwa lata. Gdy się nad tym przez chwilę zastanowiła, ta liczba ją zdumiała.

Z trudem myślała o sobie jako o trzydziestodwulatce. Jeszcze do niedawna bezwolnie dawała się nieść chwili obecnej, teraz jednak zorientowała się, że tkwi w łazience i gapiąc się w pokryte parą lustro, myśli: „Co dalej?”

Wytarła się do sucha, podczas gdy w pokoju obok Kieran skakał po kanałach telewizora. Powinien być częścią tego „Co dalej?”, ale kiedy weszła do pokoju, gdzie w kłębach papierosowego dymu leżał rozwalony na kanapie, zabrakło jej słów. Mieszkali razem już od trzech lat. Uwielbiała go. Uwielbiała sposób, w jaki muskał palcami jej skórę, gdy wsuwał dłonie pod jej szlafrok, nie odrywając przy tym wzroku od ekranu telewizora. Uwielbiała jego profil, drżenie,

w jakie uśmiech wprawiał jego usta. Kucyk, w który ściągnął sobie włosy, przytrzymywała gumka gwizdnięta z jej torebki.

Zabrakło jej słów, ponieważ promieniował zadowoleniem, podobnie jak jeszcze do niedawna ona. To nagle pragnienie, by nadać sprawom jakiś bieg, onieśmieliło ją. Stawiało ją na równi z dziewczynami z pracy — na przykład z wielką, brzydką Stacey, durzącą się w skrytości w Dereku z działu ekspedycji, która marzyła tylko o małżeństwie i dzieciach, wypisując w notatniku jego nazwisko: PANI STACEY WINDSOR... PANI STACEY WINDSOR... Natalie współczuła jej; ta nie skrywana potrzeba wydawała się upokarzająca. A gdy ją samą ogarnęło pragnienie, było ono tak silne, że aż zaparło jej dech w piersiach.

Co do Kierana, nie miała żadnych złudzeń. Był flirciarzem. Naciągał ją na kasę i włóczył się do późna, zapewne z kumplami. Pracował, gdy przyszła mu ochota, i jako kurier przemierzał na swoim ryczącym motorze Kawasaki 500 ulice Leeds, ucinając sobie pogaduszki z recepcjonistkami. Któregoś dnia może wyruszyć i nigdy więcej się nie pojawić. A ona — choć się tego wstydziła — bardzo pragnęła zatrzymać go dla siebie. Był jak dzikie zwierzę, schwytane i udomowione. Jednak któregoś dnia może poczuć zew natury i wyrwać się na wolność.

Takie właśnie uczucia szarpały nią w te ponure jesienne tygodnie wypełnione gwałtownymi, tak bardzo niebrytyjskimi burzami. „To ostrzeżenie”, mówiono.

Coś się w końcu wydarzy. I rzeczywiście, choć nie to, czego się spodziewała.

W sobotni wieczór wybrali się do Club Danube przy Chapel Sheet. Grał zespół O-Zone. To jej ulubiona kapela, której fanką została dawno temu, na długo przed tym, zanim nagrali swoje największe przeboje (*Dog Days, Give It To Me*). Wzbudzali w niej przepełnione tkliwością poczucie własności, odkąd w 1995 roku spędziła jedną noc z Damonem, liderem zespołu. Wybrała się wtedy na ich koncert do Londynu i wylądowała w pokoju numer 316 w Kensington Hilton (kanapki i cola jako dowód hotelowej gościnności). Gdy rozczochrana i spłoniona wychodziła nad ranem, Damon sprezentował jej swój fotos ze źle napisanym jej imieniem — „Natie” — ale to nie miało znaczenia. Może facet był dyslektykiem.

Tańczyli teraz w tłoku tuż koło estrady i Natalie starała się przykuć wzrok piosenkarza, nie tracąc jednocześnie z oczu Kierana, cisnącego się tuż za nią w towarzystwie jej przyjaciółki Faridy. Wywijał rękami jak ona, opuszczając je na jej ramiona za każdym razem, gdy krzyczał coś prosto do jej ucha, co ona kwitowała wybuchami śmiechu.

Natalie przysunęła się do niego.

— Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie głowy! — wrzasnęła. — W przyszłym miesiącu Farida wychodzi za mąż.

— Za kogoś, kogo znam? — zainteresował się.

— Sama ledwo go zna. Widzieli się zaledwie dwa razy.

— Żartujesz?

Farida przytaknęła skinieniem głowy. Choć Natalie ją lubiła — pracowały biurko w biurko — to zaaranżowane małżeństwo czyniło z Faridy osobę obcego pochodzenia, hinduską dziewczynę z hinduską przyszłością. Wkrótce Natalie ją utraci; Farida wejdzie do drugiego pokoju swego życia i zamknie za sobą drzwi. Podobnie Maureen, również koleżanka z tego samego biura, która wkrótce spodziewała się dziecka, i Sioban, która miała przeprowadzić się do Scarborough, by być bliżej swego chłopaka, pracownika ochrony w Seaspray Caravan Park. Życie Natalie przedstawiało się marnie, pozbawione jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Damon ze sceny omiół ją obojętnym wzrokiem, zupełnie jak gdyby nigdy nie wymykała się z jego pokoju w hotelu z majtkami wilgotnymi od wszystkich nie narodzonych piosenek. W styczniu ten właśnie budynek przeznaczony był do rozbiórki, a na jego miejscu miało powstać coś nowego.

A gdy wyszli w wilgotną noc na zewnątrz, z muzyką wciąż tętniącą w uszach, okazało się, że ktoś rozbił boczną szybę w jej samochodzie i ukradł radio.

Kieran podniósł porzuconą kasetę.

— Zdaje się, że twoje *Best of Moby* nie przypadło im do gustu. — Kopnął rozsypane na jezdni szkło. — Powinnaś zamontować sobie alarm.

— Masz pojęcie, ile to kosztuje?

— Tak, ale...

— A może zapłacisz połowę?

— Słuchaj, złotko, w końcu to twój samochód. Chwilę mierzyła go wzrokiem.

— Masz ochotę wracać do domu na piechotę?

Już wcześniej spotykało ją to kilka razy. Okolica, w której mieszkali, miała najwyższy wskaźnik przestępczości w całym Leeds. Mimo to Natalie było przykro. Uwielbiała swój samochód, srebrną hondę z otwieranym dachem i — aż do dzisiaj — kwadrofonicznym zestawem nagłaśniającym. Ludziom nie można było ufać, o czym przekonała się już we wczesnym dzieciństwie, lecz samochód nigdy jej nie zawiódł — zawsze był tam, gdzie go zostawiła, i czekał na nią niczym najwierniejszy kochanek. Gdy naciskała stopą pedał gazu, w odpowiedzi mknął

naprzód. A gdy wrzucała piątkę, wzdychał z rozkoszą jak opadający w wygodny fotel człowiek. Troszczyła się o niego — ona, tak obojętna na potrzeby innych. Badała jego wnętrze bagnetem do sprawdzania oleju, delikatnie wycierając palce w wilgotną ściereczkę. Każdego dnia wyzwalał ją od otepiającej rutyny pracy, z porażającą prędkością wsysając między koła wstążkę asfaltu przecinającą wrzosowiska ze skulonymi sylwetkami owiec chwytanymi w światła reflektorów, gdy skręcała w lewo na Leeds (część południowa).

A teraz ktoś go skrzywdził. W drodze do pracy w poniedziałkowy poranek Natalie kipiała. Wiatr wpadał przez wybitą szybę, mroząc jej ramię do szpiku kości. Co czyni z człowieka przestępcę? Czy staje się nim z chwilą, gdy roztrzaskuje szybę? A może po prostu uważa siebie za zwykłego śmiertelnika, który tylko od czasu do czasu wykorzystuje czyjąś głupotę bądź nieuwagę? W ten pamiętny poniedziałek przez całą drogę do pracy umysł Natalie krążył wokół zbrodni. Zaparkowawszy, z hukiem zatrzęsnęła drzwiczki, a resztki szkła z chrzęstem opadły na tapicerkę.

Jej ubezpieczenie wygasło. Odkryła to poprzedniego wieczoru, grzebiąc w nie zapłaconych rachunkach upchniętych za tosterem. Będzie musiała rozejrzeć się za jakimś warsztatem i zmarnować bezcenną sobotę na naprawę. Czy ten bezimienny włamywacz choć przez chwilę zastanowił się nad czasem, z którego jego postępek ją ograbił, o pieniądzach nawet nie wspominając? Na domiar złego razem z radiem przepadła jej taśma ze składanką utworów O-Zone.

Nic dziwnego więc, że tego ranka Natalie znajdowała się w dość buntowniczym nastroju. Dzień był mglisty i ponury. NuLine Telecommunications, gdzie pracowała, mieścił się w wielkim biurowcu upchniętym w samym środku strefy przemysłowej, wśród wrzosowisk, całe mile od czegokolwiek. Wszędzie wokół tłoczyły się potężne magazyny, Midas Wholesale, K.M.M. Refrigerated Meats, dzisiaj przysłonięte oparami mgły. Trudno było doszukać się przyczyny, dla której zostały wzniesione w tym właśnie miejscu. Podobnie jak małżeństwo Faridy, wybór ich lokalizacji wydawał się dziełem czystego przypadku. „Równie dobre jak każde inne”, mówiła Farida. Chybił trafił, szpilka wciśnięta byle gdzie na mapie.

W dziale rachunkowości nie było ścianek działowych. Natalie usiadła przy swoim biurku. Razem z nią pracowały przede wszystkim kobiety. Widziały tylko swoje rozmazane sylwetki przez oddzielające ich stanowiska pracy szyby z mrożonego szkła, z których większość ginęła pod poprzyczepianymi do nich pocztówkami z wakacji — plaże o świcie, Seattle o zachodzie słońca, wszystko, byle nie tu i teraz — i nieostre zdjęcia Salsa Nite zrobione polaroidem w Club X-Press. Nie brakowało też fotografii chłopaków i narzeczonych. Lada moment

wszystkie te dziewczęta znikną, zaczną nowe życie, w NT bowiem nikt nie zagrzewał miejsca zbyt długo.

Przez osiem godzin dziennie życie Natalie trwało w zawieszeniu. Zajęte były tylko jej ręce i niewielka część umysłu, ale i ona pracowała na jałowym biegu jak silnik samochodu, jako że Natalie zawsze nieźle potrafiła liczyć i mogła to robić nawet podczas snu. Poza nią w pokoju pracowało osiem dziewczyn, każda pogrążona w marzeniach na jawie. Napływały czeki, czeki od klientów, którzy płacili nimi rachunki telefoniczne. Dziewczyny wklepywały je do komputerów, rejestrując jako zapłacone. W sąsiednim biurze, mieszczącym dział rozliczeń, pieniądze przepływały z kont klientów na konta należące do NuLine Telecommunications pic — gwałtownie rozwijającej się firmy, która w szalonym świecie łączności szczyła się sławą najbardziej agresywnego konkurenta BT. Natalie miała to gdzieś. Nigdy nie potrafiła przebywać w jednym miejscu zbyt długo. Jej niespokojny duch ciągle gonił za czymś nowym, cokolwiek to było.

To nowe pojawiło się dokładnie o dziesiątej dwadzieścia tego ranka. Natalie rozdarła kopertę i wyjęła jej zawartość. Jak zwykle czek, taki sam jak tysiące innych.

Zaskoczyła ją wypisana na nim suma, wyglądająca dziwnie znajomo. Po chwili zrozumiała.

Odchylając się w tył, by zobaczyć Faridę, pokazała jej czek.

— Pięćset pięćdziesiąt funtów — powiedziała. — Tyle właśnie kosztuje założenie alarmu w samochodzie. O ileż życie byłoby prostsze, gdybym mogła to przelać na swoje konto.

Farida wzięła od niej czek i przyjrzała mu się.

— Czy oni nigdy się nie nauczą? — mruknęła.

— O co ci chodzi?

— Głupki, wystawili czek na N.T., chociaż powinni napisać pełną nazwę NuLine Telecommunications, bo inaczej ktoś może go sfalszować. — Tu jej ton stał się rozanielony. — Bashir mi o tym powiedział, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jest księgowym, więc zna się na takich rzeczach.

Wtedy dla Natalie ta informacja była bez znaczenia. Nawet nie zapytała, w jaki sposób można taki czek sfalszować. Zafascynował ją natomiast ton Faridy, a raczej zmiana, jaka w nim zaszła, gdy tylko wymieniła imię Bashira. Czyżby już żywiła przekonanie, że zadurzyła się w facecie od pierwszego wejrzenia, i teraz się tym rozkoszowała? A poza tym, jak oni mogli rozmawiać o czymś tak koszmarnie nudnym?

Jakiś czas później stały obie w drzwiach pomieszczenia dla palących. Obok nich wentylator wydmuchiwał przesycone zapachem curry powietrze z kantyny. Mgła nieco się przerzedziła; promienie słońca odbijały się w zaparkowanych rzędami samochodach. Pomiedzy range roverem (zarząd) a rdzewiejącą furgonetką należącą do Dereka (ekspedycja), obiektu pożądanego Stacey, siedział biały pies.

— O co ci chodziło z tymi czekami? — spytała Natalie. Pies obserwował je, nie odrywając od nich wzroku, jakby usiłował wyryć sobie w pamięci ich obraz.

— To proste jak drut — odparła Farida. — Założmy, że jest firma zaopatrująca dentyków i nazywa się C. Ash*. Dentysta wypisując czek, zapominał o kropce. Potem tylko wypłacał kasę, niby to na firmę. W sumie żałosne, ale się oplaca.

— A u nas?

— Łatwizna. Jeżeli masz inicjały N.T., możesz dopisać resztę swojego nazwiska i schować czek do kieszeni.

— Tylko tyle?

— No, oczywiście musisz mieć właściwe inicjały. Ty i ja nie mamy szans — chociaż ty przynajmniej masz na imię Natalie. — Odrzuciła niedopałek. — Dlatego właśnie powinno się płacić za pośrednictwem stałego zlecenia w banku. Tak przynajmniej twierdzi Bashir.

Farida wróciła do środka. Natalie zgasila swój niedopałek czubkiem buta. Zasłona z chmur się rozsunęła i widoczne pomiędzy budynkami wrzosowiska zaśniły skąpane w cytrynowym blasku. Wyglądały jak sceniczna dekoracja gotowa na rozpoczęcie przedstawienia.

Natalie nie była w stanie się poruszyć. Czuła, jak cała krew odpływa jej do nóg, czyniąc ją lekką jak piórko.

Spojrzała na psa i przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem. Po chwili zwierzę odwróciło łeb i zaczęło lizać się po jajach.

Blok, w którym Natalie mieszkała, nosił nazwę Meadowview**. Doprawdy, ktoś wykazał się poczuciem humoru. W zabarykadowanym sklepie po drugiej stronie ulicy Natalie kupiła butelkę wina. Gdy brała resztę, czuła, jak drży jej ręka.

* C. Ash — w języku angielskim słowo *cash* znaczy gotówka. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

** *Meadow* (ang.) — łąka, *view* — widok, więc nazwa brzmi: Z widokiem na łąkę.

Wyszła ze sklepu. Nagle wszystko — ciężkie budynki z cegły skąpane w świetle latarni, plastikowe ławki na przystanku autobusowym — wydało jej się obce, nigdy dotąd nie widzia-

ne. To niespodziewane poczucie obcości przerażało ją. Z walącym sercem przeszła ulicę i w swoim bloku wdrapała się na trzecie piętro, gdzie mieściło się jej mieszkanie. Jeszcze trochę, a wyrwie się stąd. Cierpliwości, przecież to możliwe.

Natalie weszła do kuchni. Do sąsiedniego mieszkania wprowadził się jakiś samotny mężczyzna; zza ściany dochodziło pogwizdywanie jego czajnika. Wyjęła miskę i wsypała do niej orzeszki. W zasadzie rzadko kiedy zajmowała się domem — prawdę powiedziawszy, Kieran był do niej w tym względzie bardzo podobny — ale tego wieczoru wytrzeptała nawet poduszki, niczym wzorowa gospodyni. Zapaliła świeczkę i przygotowała kieliszki na wino.

Zdawało się, że upłynęły całe godziny, zanim Kieran wrócił do domu. Wszedł i rozpiął swoją skórzaną kurtkę. Ta chwila, w której zrzucał z siebie atrybuty świata zewnętrznego, była jej ulubioną.

Pocałował ją, zwałił się na fotel i sięgnął po bibułki do skrętów. Powiedział, że coś mu nawaliło w motorze, ale nie słuchała go zbyt uważnie. Nie mogła się skoncentrować. Jego kumpel Keith starał się coś na to poradzić, ale chyba potrzebna była jakaś nowa część.

Przyglądała się, jak liże bibułkę i kładzie ją sobie na kolanie.

— To nic — powiedziała. — Nie musisz się tym martwić. Wyszczrzył do niej zęby, odsłaniając dziąsła.

— Byłem dzisiaj usunąć kamień, specjalnie dla ciebie. Podoba ci się?

— Niedługo będziesz mógł sobie kupić nowy motor. Spojrzał na nią, wyraźnie nie rozumiejąc.

— I nowe zęby — dodała.

Zaczęła mówić. Kieran przygotowywał skręta, gdy jednak wyjaśniła mu swój plan, jego ręce znieruchomiały.

— Co takiego?

— Zrozum, to nic trudnego. W grę wchodzi tylko małe sumy, stówka tutaj, stówka tam. Za mało, żeby ktoś się zorientował.

— Przecież to kradzież.

— A ty co niby robisz każdego tygodnia?

— To co innego...

— Rejestrujesz się jako bezrobotny, domagasz się zasiłków?

— Przecież cię nakryją.

Natalie zignorowała jego ton. Była tak podekscytowana, że zaczęła mówić podniesionym głosem.

— Nie ma szans — tłumaczyła. — Zrozum, będę księgować rachunki jako zapłacone, wszystko już sobie obmyśliłam, to jest po prostu genialne.

Zapalił skręta i z sykiem się zaciągnął.

— Jak na to wpadłaś? — Zwrócił w jej stronę szczupłą, bladą twarz. Ze ściągniętymi do tyłu włosami wyglądała jak Słowianin, jeździec ze stepów.

— Zaloguję się do programu działu przetwarzania... — Dokładnie wyjaśniła mu całą procedurę. Gdy mówiła, przed oczami mignął jej siedzący przed nią biały pies — nieruchomy, niepuszczający z niej wzroku.

— Jesteś zdrowo kopnięta — powiedział Kieran.

— Otworzę sobie konto w oszczędnościowej kasie mieszkaniowej i tam będę wpłacać pieniądze. Moglibyśmy wybrać się na wakacje. Przenieść się do jakiejś lepszej dzielnicy, gdzie przystanki autobusowe nie są wiecznie zdemolowane. — Uśmiechnęła się do niego. — Kupisz sobie harleya o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych, ze ślicznym nowym czymś tam.

Kieran nie zaproponował jej skręta. Sama też po niego nie sięgnęła; nie miała odwagi nawet drgnąć.

— Własnym uszom nie wierzę — powiedział.

— To tylko pomysł — zaczęła się bronić. — Myślałam, że ci się spodoba, zwłaszcza że sam masz niejedno za uszami... Zapomniałeś już, co wyczyniałeś jako dzieciak? W końcu sam mi o tym opowiadałeś...

— A jak niby zamierzasz zmienić sobie nazwisko? Nie sądzisz, że komuś może się to wydać podejrzane? Jeśli ni stąd, ni zowąd będziesz się nazywać inaczej?

Zapadła cisza.

— Moglibyśmy się pobrać — powiedziała po chwili. Spojrzał na nią.

— Słucham?

— Wtedy nazywałabym się Natalie Turner. N.T.

W kuchni z nie dokręconego kranu kapiała woda — kap, kap, kap — na stos brudnych talerzy w zlewie. Nie patrzyła na Kierana, ale kątem oka widziała, jak nachyla się do przodu i siedzi zgarbiony ze wzrokiem wbitym w dywan.

— W końcu mam już trzydzieści dwa lata — powiedziała, siłąc się na obojętny ton. — Ludzie się pobierają... Maureen i Frida, i twój brat, i... No, pobierają się czy nie?

— Jasne.

— Przecież mieszkamy razem już trzy lata... — Zaśmiała się. — To chyba nic dziwnego? Co prawda, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale... no wiesz...

Kieran milczał. Natalie poczuła, jak twarz zalewa jej fala gorąca. Kieran chrząknął. Nie mogła zdobyć się na to, by na niego spojrzeć.

— Zapomnij o tym — mruknęła.

— Słuchaj, Nat...

— Zresztą komu zależy na małżeństwie? W końcu to tylko świstek papieru.

— Nie miałem pojęcia, że o tym myślałaś...

— Wcale nie. Naprawdę.

— Chcę powiedzieć, że jeżeli naprawdę ci na tym zależy...

— Olej to. Nie mówiłam poważnie.

Rany, ależ była zmieszana. Co za okropne uczucie. Natalie wstała i poszła do kuchni. Tłukąc się i miotając, rozwścieczona swoją udręką, pozmywała wszystkie nagromadzone z poprzedniego dnia naczynia.

Więcej o tym nie rozmawiali, ale przez cały następny tydzień wisiał nad nimi ciężar tamtej rozmowy. Wydawało mi się, że go znam, myślała rozgoryczona Natalie. Jak mogłam się tak straszliwie pomylić? Żadnej z koleżanek nie wspomniała nawet słowem o tamtym upokarzającym wieczorze. Nie zniosłaby ich współczucia, nie skrywanej pogardy dla Kierana, całej tej damskiej solidarności.

Na pozór nic się pomiędzy nimi nie zmieniło. Kieran większość wieczorów spędzał poza domem. Pomagał ojcu, z zawodu elektrykowi, w remoncie jakiegoś baru. To nagle zainteresowanie pracą było bez wątpienia przejawem strategii uników. Będąc razem, odnosili się do siebie z uprzedzającą grzecznością, jak gdyby dopiero co się poznali. Kieran nagle stał się bardzo troskliwy — żadnych kłótni, nic go nie irytowało. Zaniósł nawet pranie do pralni. Natalie nie miała najmniejszego pojęcia, co mu chodzi po głowie.

O rozmowie, od której wszystko się zaczęło, zdążyła już zapomnieć. Fałszowanie czeków... cóż za nedorzeczność! Skąd w ogóle coś podobnego mogło jej przyjść od głowy? Może to właśnie wstrząsnęło Kieranem? Próbowала sobie wmawiać, że tak właśnie było — jej plan poruszył go do głębi i teraz potrzebuje czasu, by dojść do siebie. Bardzo pragnęła w to uwierzyć, ale nie wychodziło jej to najlepiej. Prawda była o wiele prostsza — po prostu Kieran nie kochał jej tak mocno jak ona jego.

W piątek dostała mniejszą niż zwykle wypłatę. Poszła z paskiem do swojej kierowniczkii, pani Roe, kobiety z wielkim pieprzykiem na brodzie, kobiety, która aż do tego tygodnia była dla Natalie kimś, kto najlepsze lata ma już za sobą. Teraz jednak zaczęła patrzeć na nią inaczej. Pani Roe była kobietą, którą ktoś kochał na tyle mocno, że zapragnął się z nią ożenić. Z całą pewnością był w jej życiu jakiś pan Roe, w oczekiwaniu na wiosnę oliwiący kosiarkę do trawy. Pewnie były też dzieci, w tej chwili już dorosłe, w niedzielę wpadające do rodziców na lunch. Natalie zmierzyła panią Roe zjadliwym wzrokiem.

— Musiała zajść jakaś pomyłka — oświadczyła.

— Ach, tak — odparła kierowniczka. — Byłam przekonana, że informacja do was dotarła. To dotyczy wyłącznie palaczy. — Wyrzała przez okno na tonący w deszczu trawnik. — Powinnaś była otrzymać pismo.

Wszystkie urzędowe pisma lądowały za tosterem w kuchni.

— Niczego nie dostałam — obruszyła się Natalie.

— Wszyscy pałacy, którzy korzystają z wyznaczonych dla nich miejsc, od tego miesiąca obciążani są obowiązkowymi karami.

— Czym?

— Od wypłaty potrącany jest ekwiwalent za czas spędzony na paleniu papierosów — dokładnie mówiąc, siedem minut rano i siedem po południu. W sumie czternaście minut dziennie.

Natalie wpatrywała się w nią zdumiona.

— To chyba jakieś żarty.

Pani Roe była niewzruszona. Nic jej to nie obchodziło; w tym miesiącu przechodziła na emeryturę i przeprowadzała się do Lundy.

— To takie nie fair! — powiedziała Natalie. — Nic ich nie obchodzimy. Masz pojęcie, ile zarobili w zeszłym roku?

Siedzieli z Kieranem w Slug and Lettuce. Choć rozwścieczona, po części odczuwała w skrytości ducha wdzięczność dla NT za ich zachowanie. Kieran zaczął jej współczuć, a to na pewno ich do siebie zbliży.

Był piątkowy wieczór i w lokalu było tłoczno. Natalie musiała krzyczeć, inaczej sama siebie nie mogła usłyszeć.

— Co ich to obchodzi, bodaj ich szlag trafił! W poniedziałek rano złożę wymówienie.

Między nią a Kieranem układało się lepiej, czuła to. Wystarczyło, żeby trochę się pozaliła i wszystko od razu wróciło do normy. Ogarnęło ją uczucie szczęścia. Czy to ważne, że jej chłopak nie chce się z nią ożenić? Jeszcze do niedawna ona sama miała do małżeństwa podobny stosunek.

— Pieprzę ich — oznajmiła. — Pieprzę to wszystko.

Natalie była odważną młodą kobietą, doświadczoną przez życie, gdyż bardzo wcześnie musiała nauczyć się stawiać mu czoło. Miniony tydzień przyniósł jej parę upokorzeń, ale to już minęło. Miała cudownego chłopaka; może był trochę nieodpowiedzialny, ale przecież tak naprawdę kochał ją na swój sposób. Po prostu małżeństwo nie było w jego stylu.

Kieran wodził palcem wokół rozlanej na stoliku plamy piwa. Spoglądała na jego pochyloną głowę, włosy z przedziałkiem na środku, ściągnięte do tyłu. Prawdę powiedziawszy, nie przepadała za tymi jego długimi włosami, wyglądał trochę jak baba, ale co tam. Na pewno był najlepszym kochankiem, jakiego do tej pory miała. Wystarczyło, żeby dotknął palcem jej sutka, a ona od razu dostawała orgazmu.

Nie odezwał się, ale też nigdy jej praca specjalnie go nie interesowała. Nie potrafił pojąć, jak ludzie mogą pracować w biurze od dziewiątej do szóstej, dzień za dniem. Uznała więc, że po prostu był myślami gdzie indziej. Później wybierali się na film z Michaeliem Douglasem.

Kieran podniósł na nią wzrok.

— Natalie, musimy pogadać.

— O czym?

— Kochanie, nie jest mi łatwo... — Wstał. — Wyjdźmy stąd.

Jego kumpel Dexter przyjechał swoim busem, którym woził dzieci opóźnione w rozwoju. Natalie, siedząc na łóżku, słuchała dochodzących z przedpokoju łomotów, gdy obaj wynosili rzeczy Kierana.

Po jakimś czasie hałasy ucichły. Z ulicy dobiegł ją warkot odjeżdżającego samochodu. W silniku coś stuknęło, chyba nawaliła rura wydechowa.

Kieran zapukał do drzwi; już czuł się tylko gościem. Położył na łóżku swoje klucze. Pod skórzaną kurtką miał zielony sweter, prezent od niej na urodziny, które obchodził w sierpniu. Po raz pierwszy widziała, żeby miał go na sobie.

— Będziemy w kontakcie. — Zawahał się, po czym pocałował ją w czoło. — Dasz sobie radę?

Cóż niby miała mu na to odpowiedzieć? Wzięła skrawek papieru, który jej podał. Był na nim numer telefonu. Dex chyba znalazł mu jakiś pokój. Może cały miniony tydzień upłynął im na poszukiwaniach. Nie miała jednak siły, żeby się nad tym zastanawiać.

Kieran rozejrzył się po pokoju. Sprawdzał, czy niczego nie zapomniał? A może starał się zapamiętać tę sypialnię. W to jednak wątpiła, nie należał do osób sentymentalnych, liczyło się dla niego tylko tu i teraz. Do tego miejsca już nie należał.

— Trzymaj się — rzucił i tyle go widziała. Chwilę później po raz ostatni usłyszała ryk jego motoru.

Natalie, rzadko dzwoniąca do swojej matki, wybrała ostatni znany jej numer. Było to gdzieś w okolicy Dundee.

— Nikt taki tutaj nie mieszka — powiedział jakiś głos w słuchawce i rozłączył się.

Po pewnym czasie, spędzonym w otępiłym bezruchu w kuchni, poszła do warsztatu po samochód. Na dworze zrobiło się już ciemno. Mizerne światło tego sobotniego dnia nastało i odeszło, umykając zupełnie jej uwagi.

Warsztat znajdował się na końcu ulicy, pod mostem. W świetle latarni bruk połyskiwał jak polany olejem.

— W zeszły czwartek zadźgali tu dziewczynę — poinformował ją mechanik. — To była Węgierka.

Natalie oparła się o samochód. Wypiła prawie całą butelkę wina — może nawet wypiła wszystko, nie potrafiła sobie przypomnieć.

— Nie wolno ryzykować — mówił dalej mechanik. — Mądra z pani dziewczyna, dobrze, że zakłada pani alarm. — Przysunął się bliżej Natalie. — Tak się go uruchamia... o, słyszy pani, takie pi-panie... tu się naciska, to unieruchamia silnik.

Próbowała się skupić. Byli sami. Na dworze zadudnił deszcz, ustawione na półkach puszkę zadrżały.

— Założyłem też pani eleganckie nowe radyjko.

— Wygląda, jakbym odkupiła swoje stare — zauważyła.

— Oj, nieładnie, nieładnie. — Mechanik wytarł ręce w szmatę. Jego nos, czerwony i gąbczasty, wyglądał jak zrobiony z innego materiału niż reszta twarzy. Kiedy poprzedniego dnia odstawiała samochód do warsztatu, przyjmował ją inny mężczyzna. Warsztat także wydał jej się dzisiaj jakiś inny — bardziej zagracony i ciemniejszy. Zauważyła też wiszące na ścianach kalendarze ze zdjęciami dziewczyn. W ciągu jednej nocy odeszło całe jej dotychczasowe

życie, a jego miejsce zajęły rzeczy zupełnie obce. Nie zdziwiłoby jej, gdyby po powrocie do domu stwierdziła, że jej mieszkanie także znikło.

Facet wziął od niej kartę kredytową i wsunął do czytnika.

— Oho ho — zdziwił się. — Ktoś tu jest bardzo niegrzeczny.

— Słucham?

— Nie chce jej przyjąć. Pewnie przekroczyła pani limit. Zastanowiła się przez chwilę.

— Mogłabym zapłacić na raty? Oddał jej kartę.

— Pod warunkiem, że pokażesz mi cycki. Natalie zakręciło się w głowie. „Jestem pijana”.

— No to obejrzyjmy sobie te bufory. — Mechanik podszedł do drzwi. Były opuszczane i chwycił za dźwignię, żeby je zamknąć.

— Proszę nie zamykać — powiedziała. — I tak nie ma tu nikogo.

Panowało przenikliwe zimno. Palce miała tak zdrętwiałe, że z trudem rozpiniała guziki płaszcza. Miała wrażenie, że trwa to całe wieki. Zadarła do góry sweter i podkoszulek, a potem na szyję przesunęła stanik.

Upłynęła chwila.

— Masz się czymś pochwalić — powiedział i odwrócił się.

Betonową podłogę pokrywały ciemne plamy, jak gdyby ktoś zaszlachtował na niej wołu. Stojąc do Natalie plecami, facet wydmuchał nos.

Doprowadziła ubranie do porządku i wypisała czek na pierwszą ratę. Mechanik otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

— Moja żona straciła rękę — powiedział.

Nastały ciemne listopadowe dni i po wrzosowiskach przetaczały się wichury. Owce stały skulone w deszczu. Drzewa wyginały się z trzaskiem i pękały, ukazując światu świeże rany. Natalie czuła się zagubiona. Miała wrażenie, że dryfuje bezwolnie jak oderwany kawałek lodowej kry. Och, jej koleżanki naturalnie nie kryły współczucia. „Nigdy go nie lubiłam”, powiadały. „Typowy facet, boi się angażować. Zaslugujesz na kogoś lepszego”, dodawały. Tak mówiły. Ale wszystkie miały swoje sprawy, wieczorami szukały mieszkań, zaabsorbowane własną przyszłością. Nagle przestały je interesować wieczorne eskapady do klubów, by uciec przed ciemnością. Robiły się na to za stare. Odnajdywały własne bezpieczne światełka i jedna po drugiej kryły się w ich blasku. Nawet Faridę, najwierniejszego sojusznika, pochłonęły przygotowania do ślubu.

Wieczorem Natalie wróciła do pustego mieszkania, na które nie było jej już stać. Za tosterem piętrzył się stos rachunków, właściciel mieszkania zostawił na automatycznej sekretarce wiadomość. Z piętrowego parkingu nieopodal dochodziły echa pohukiwań. Przerażliwie brakowało jej Kierana. Świadomość, że w oczach świata był bezwartościowym mężczyzną, nie umniejszała jej cierpienia. Wręcz przeciwnie, czuła się przez to bardziej rozżalona. Jak mogła być taką idiotką?

Wreszcie, dwa tygodnie po odejściu Kierana, wróciła do domu i stwierdziła, że nie ma prądu. Błądząc w ciemnościach i oświetlając sobie drogę migotliwym płomieniem zapalniczki, nagle się rozplakała. Usiadła ciężko na kuchennym krześle. Gdzie był jej ojciec, gdy tak bardzo go potrzebowała? Z tego, co słyszała, mieszkał ostatnio na plaży w Tajlandii z dziewczyną o imieniu Phoo Long. Była na tym świecie całkiem sama, zagubiona, wystawiająca na widok nagie piersi mężczyznom z pozbawionymi rąk żonami.

Za ścianą jakaś kobieta zaniosła się głośnym śmiechem. Kieran znalazł się na elektryce, w końcu on wynalazł dla nich to obskurne mieszkanie. Przerażliwie tęskniła za jego głosem. Mógłby przyjść i naprawić światło. A potem spojrzalby na nią w jego blasku i zrozumiał, jak wielki błąd popełnił.

Natalie znalazła kawałek papieru i wykręciła wypisany na nim numer. Damskim głosem odezwała się automatyczna sekretarka.

— Cześć. Angie i Kierana nie ma w tej chwili w domu, ale proszę zostawić wiadomość...

Pragnienie zemsty, podobnie jak miłość, jest potężną siłą sprawczą, ślepą na wszelkie konsekwencje. I podobnie jak miłość jest czymś w rodzaju szaleństwa. Gdy jakiś czas później Natalie wspominała tamte chwile, rozumiała, że opętało ją coś, nad czym w żaden sposób nie była w stanie zapanować. W przeszłości popełniła niejedno szaleństwo, były one jednak niczym wobec zuchwałego planu, który zaczął kiełkować jej w głowie.

Być może narodził się pod wpływem bazgrołów Stacey... PANI S. WINDSOR... STACEY WINDSOR... Nazwisko po mężu, wytwór wyobraźni, hologram nadziei nałożony na rzeczywistość, tak uparcie kłopotliwą. Natalie nieraz, jako nastolatka, tak się bawiła.

Jednak dobrze zapamiętała chwilę, w której wszystko ułożyło się w spójną całość. Stały ściśnięte w drzwiach pomieszczenia dla palaczy, we trójkę, skulone jak zziębnięte krowy na pastwisku. Była czwartą po południu i zrobiło się już ciemno. Na dachu budynku, pomiędzy masztami i talerzami anten, lśnił neon — NT: OTO TWÓJ WYBÓR. Stały tak, puszczając z dymem papierosowym siedem minut swojej wypłaty. W oknach na najwyższym piętrze paliło

się światło; tam mieściły się biura zarządu i sale bankietowe. Nie trzeba chyba dodawać, że żadna z nich nigdy nie została do nich zaproszona na degustację kanapek.

Rozmowa toczyła się wokół miłości i Natalie na chwilę się wyłączyła. Po raz chyba setny wyobraziła sobie Kierana i Angie w ich miłosnym gniazdku. Z całą pewnością nie można powiedzieć, żeby Kieran marnował czas. Od jak dawna widywał się z tamtą, ukradkiem? Jak dawno wszystko to sobie zaplanował? Tę całą Angie spotkała raz, w pubie; była kumpelą byłej żony Dextera, myszowata, z twarzą, której teraz nie mogła sobie nawet przypomnieć. Kieran nie zostawił adresu, tylko numer telefonu. Nie miała pojęcia o jego nowym życiu. Cóż z tego, skoro wyobraźnia podsuwała jej aż nadto realistyczne obrazy? Czy przygwaźdżał Angie do kuchennych szafek, gdy próbowała zmywać po obiedzie? Czy pieścił koniuszek jej ucha w sposób, który sprawiał, że kolana Natalie robiły się miękkie, i wsuwał jej rękę pomiędzy uda? Wszystkie te dręczące sceny rozgrywały się nie wiadomo dlaczego w staromodnym, jakby żywcem wyjętym z opery mydlanej otoczeniu, tak całkowicie obcym dla stylu życia, jakie ona wiodła wraz z Kieranem. Raniło ją to, czyniąc wszystko tym bardziej rzeczywiste. Poza tym, choć bardzo się starała, jakoś nie mogła wyobrazić sobie Kierana i Angie razem. Angie nie była przecież zupełnie w jego typie. Lecz następczyni zawsze staje się źródłem zaskoczenia, odsłania bowiem nieznane strony mężczyzny, który niegdyś wydawał się tak znajomy.

Nagle Natalie doznała olśnienia — to dla Angie Kieran dał sobie usunąć kamień z zębów. W ciągu ich trzech wspólnie spędzonych lat nie odwiedził dentysty ani razu.

Belinda, jedna z palaczek, wzięła właśnie Faridę w krzyżowy ogień pytań, wypytując o szczegóły coraz bliższego ślubu. Dziewczyny w pracy wciąż wracały do tematu Bashira, najwyraźniej wręcz nim zafascynowane.

— Przecież nic o nim nie wiesz — mówiła Belinda. — Równie dobrze mógłby być seryjnym mordercą. Jak możesz wychodzić za kogoś takiego za mąż?

— Mamie i tacie się spodobał — odparła Farida. — W końcu małżeństwo to i tak tylko kwestia przypadku, no nie?

— A co z miłością?

— Miłość przyjdzie później — powiedziała Farida. — Trzeba nad nią pracować. Miłość i tak jest jak loteria...

Światła jakiegoś samochodu omiotły rozciągający się przed nimi parking. W oddali Natalie słyszała pomruk aut pokonujących obwodnicę wiodącą do autostrady. Magazyny tonęły w

blasku latarni. Nigdy nie widziała w nich oznak jakiegokolwiek życia, ale przecież jacyś ludzie musieli pracować w tym bezsensownym miejscu, podobnie jak ona sama.

— To tylko kwestia szczęścia. Tak naprawdę nigdy do końca nie wiadomo, kogo dostajesz, nawet jeśli nam się wydaje, że już go znamy. — Farida odrzuciła w ciemność niedopałek. — Moja mama mówi, że to jak z surowymi składnikami.

Natalie zaciągnęła się mocno papierosem. Coś jej zaczęło świtać w głowie.

— ...dopóki nie zaczną się ich gotować, są zupełnie bez znaczenia...

Podobnie jak biały pies, wcześniejszy plan Natalie zniknął bez śladu. Ten, który pojawił się na jego miejscu, był tak niesamowicie bezczelny, że aż jej samej zaparło dech w piersiach.

Oparła się o drzwi. Chciała wybuchnąć śmiechem i potrząsnąć koleżankami. „Zgadnijcie, co właśnie wymyśliłam!” Pragnęła ujrzeć wyraz ich twarzy.

Czemu nie spróbować? W końcu i tak nie miała nic do stracenia.

Znad wrzosowisk nadpłynął powiew wiatru. Przyniósł ze sobą odgłosy pobekiwania owiec. Słysząc w nim było zdenerwowanie, takie jakieś babskie i głupie. Ona aż tak się nie denerwowała.

Znalazłszy się z powrotem przy swoim biurku, Natalie w dalszym ciągu zachowywała spokój. Mówiła sobie: przecież to tylko gra, zwykły wyglup. Niby od niechcenia otworzyła w komputerze plik z listą pracowników NT. Pomogła jej w tym Bella z działu personalnego. Natalie przesunęła listę, aż dotarła do litery T. Zaczęła ją studiować.

W przeszłości dokonała niejednego głupiego wyboru, Dlaczego tym razem nie postawić na szczęśliwy los? Sposób wydawał się równie dobry jak każdy inny. A jeśli się nie uda, przegranych nie będzie. I nikt się nawet nie dowie.

— Nat!

Podskoczyła. Obok niej, za szklaną przegrodką Farida wybuchła śmiechem.

— Nat, chodź tu i popatrz na to.

Na ekranie komputera widniała twarz dziewczyny. „Cześć, jestem Tiffany. Przyjdź, za piątką możesz sobie polizać”.

— A twój język na pewno przyklei się do ekranu.

Natalie roześmiała się. Nagle to, co sobie postanowiła, wydało jej się idiotyczne. Nawet gorzej, to czyste szaleństwo. Kazać komputerowi drukować, już czuła się jak przestępca. Z drukarki jak wielki jęzor wysunęła się płachta papieru.

Naturalnie wydrukowała tylko stronę z nazwiskami rozpoczynającymi się na T. Było ich dziewiętnaście, z czego sześć należało do mężczyzn. *Tring P.: dział rozwoju, pokój 812... Talbot L.: dział administracyjny...*

Przyglądała się liście, jak gdyby same nazwiska mogły jej coś o tych osobach powiedzieć, a poznanie ich inicjałów pomogło odkryć jakieś szczegóły. Niektóre z nazwisk brzmiały znajomo. NT było wielką firmą, w budynku pracowało przeszło dwustu ludzi, lecz w tym zapomnianym przez Boga miejscu trudno było nawiązać towarzyskie kontakty; po pracy wszyscy zabierali się stamtąd jak najszybciej.

Trzymała w ręce kartkę papieru. Pokój gdzieś odpłynął, jak fala uciekająca z sykiem z plaży, a ona siedziała sama w wypełnionej echem przestrzeni. Pomyślała: jeszcze nic nie zrobiłam. Nic robić nie muszę. Za szybką Sioban mówiła do Faridy:

— Zrobili to w jego datsunie.

Czas płynął. Natalie siedziała dalej. Stos kopert na jej biurku leżał nietknięty, nikt jednak niczego nie zauważył. Pani Roe była na spotkaniu. O pół do szóstej ludzie zaczęli zbierać się do domów.

— Znasz tę dziewczynę z Huddersfield, tę, którą zgwałcili? Mój brat chodził z nią do szkoły. Wyrzucił przez okno jej inhalator na astmę.

Gwałciciele, mordercy... tego dnia zbrodnia wisiała w powietrzu. Natalie wciąż siedziała, obracając na palcu pierścionek. Był zrobiony ze struny E w gitarze Damona. Zanim tamtej nocy odeszła, odcięła ją za pomocą jego noża do koki. Później uplotła z niej pierścionek, takie małe, erotyczne memento.

Natalie obudziła się z odrętwienia. Nie mam nic do stracenia, pomyślała. Jedyne, co muszę zrobić, to przyjrzeć się tym facetom i sprawdzić, może przypadnę któremuś do gustu. Nikomu nie stanie się krzywda. A jeśli któryś uwolni ją od tego wszystkiego, całej tej nudy i długów, porażającej beznadziei, czy będzie miało znaczenie, do jakich środków się posunęła?

Natalie wyszła z budynku. Na dworze panowało przenikliwe zimno. O dachy samochodów walił grad. Pomyślała: za rok o tej porze będę się wylegiwać na plaży. Za rok o tej porze będę wolna.

Jakże słodko smakować będzie zemsta.

Rozdział drugi

Natalie, która potrafiła zdobyć się na odruch dobroci wobec obcych, pewnego razu pomogła starszemu mężczyźnie przejść przez ulicę.

— Szkoda, że nie może mnie pan zobaczyć — powiedziała później. — Jestem naprawdę bardzo ładna.

Była wtedy kompletnie urżnięta, co w pewnym sensie ją tłumaczy. Powiedziała jednak prawdę. Była szczupła i piegowata, miała delikatnie zarysowane łopatki, na widok których serce wprost miękło. Ciało miała jędrne; dużo ćwiczyła i dbała o siebie. W tamtych dniach, zanim zmieniła swój wygląd, jej włosy były pofarbowane na rudo, kręcone i niesforne, spinała je klamkami w kształcie motyla. Nietrudno było ją sobie wyobrazić w szkole — bystrą i rozbrykaną psotnicę — emanowała z niej żywiołowa wręcz energia, przy której inni wydawali się nudni i drętwi. Brało się to z najprostszego ze źródeł — Natalie była z natury szczęśliwa. Przeszłość zostawiała za sobą, przez życie szła, wyśpiewując na cały głos w samochodzie, żyjąc chwilą obecną. Co prawda, Kieran wytrącił ją z równowagi, ale do diabła z nim. Ona mu jeszcze pokaże.

Następnego ranka obudziła się w wyśmienitym nastroju. Plan, który sobie obmyśliła, pobudził jej energię i czuła się tak, jakby zaczynała nową pracę. Nie, to było jeszcze lepsze. Czuła się jak aktorka, która z bijącym sercem czeka na wyjście na scenę. Do pozostałych aktorów, nieświadomych ról, jakie przyjdzie im odegrać, miała wręcz tkliwy stosunek. W przeszłości miewała już podobne odczucia do facetów, których namierzała, wchodząc do klubu i postanawiając sobie, że tej nocy będzie się z nimi pieprzyć. Wybraniec, nie mający jeszcze pojęcia o jej wobec niego zamiarach, wydawał się jej taki bezbronny, a to ją niezmiennie podniecało.

Okno w łazience okleiła gazetą, mimo to wciąż z niego ciągnęło. Nie przejmowała się tym jednak, przecież i tak wkrótce się stąd wyprowadzi. Na ulicy, przed sklepem, dwóch chłopców stało przewieszonych przez kierownice rowerów. Wyglądali jak współuczestnicy spisku.

Nałożyła na twarz barwy wojenne i przyjrzała się w lustrze swoim rozchylnym wargom. Jak wielu atrakcyjnych ludzi, swoją urodę przyjmowała jako rzecz oczywistą. Jeśli sobie tak postanowi, prawie żaden facet nie zdoła się jej oprzeć. Ta twarz i to ciało były jej przepustką do wolności, one i jej bystry umysł. W połączeniu z jej pragnieniem pomogą wycisnąć z NuLine wszystko, co się da. Przez całe swoje życie mieszkała w Leeds, zasługiwała jednak na coś o

wiele lepszego. To ciasne, ocieźlałe wiktoriańskie miasto było zbyt małe dla jej wybujałych ambicji. Starania, jakie podejmowało, by upiększyć swoje centrum — uliczne kawiarenki, atria — przypominały strojenie się starej baby w ciuchy odpowiednie dla młodej dziewczyny. Gdzie indziej życie tętniło naprawdę — wszędzie, tylko nie tu. Natalie potrzebna była tylko odwaga.

Roz Lacock, zwałista dziewczyna o dobrym sercu, wybierała się na sponsorowaną wycieczkę rowerową na Kubę.

— Chciałabyś przekazać trochę pieniędzy? — zwróciła się Z pytaniem do Natalie w drodze na lunch.

— Jestem splukana — odparła Natalie.

— Wszyscy tak mówią.

— Jasne, ale ja naprawdę nie mam pieniędzy. Przekroczyłam debet o dwa tysiące, Fari-dzie wiszę dwadzieścia funtów, zalegam z opłatami za samochód...

— Dobrze już, dobrze...

Roz zaczęła się oddalać, lecz Natalie ją powstrzymała.

— Zaczekaj moment.

Po lunchu Natalie pojechała windą na ósme piętro. Serce zaczęło jej bić szybciej. Budynek NuLine przestał być nudnym, anonimowym biurowcem. Jej wyostrzone nagle zmysły zauważały teraz każdy najdrobniejszy szczegół — wyjścia pożarowe, rozciągające się za oknami zasnuwane mgłą wrzosowiska. Tak wysoko znalazła się po raz pierwszy. Wystarczyła jedna noc, by budynek przybrał zupełnie inne oblicze, jak dom w czasie zabawy w chowanego. Kobieta z plastrem na nosie otworzyła drzwi, wyjrzała przez nie, po czym z powrotem je zamknęła. Natalie szła korytarzem w stronę pokoju 812.

— Proszę wejść — powiedział P. Tring (dział innowacji).

Światło jarzeniówki odbijało się od jego łysej czaszki. Biurko, przy którym siedział, było zupełnie puste, a jego palce spoczywały na klawiszach maszyny liczącej. Natalie odniosła przedziwne wrażenie, że siedział tak przez cały dzień, czekając, aż ktoś zapuka do jego drzwi.

— Czy byłby pan zainteresowany sponsorowaniem dziewczyny z naszego działu? — Opowiedziała mu o wycieczce rowerowej. — To na rzecz Mencap. Chodzi o zdrowie psychiczne.

— Wiem, że chodzi o zdrowie psychiczne — warknął. Wstał i sięgnął po marynarkę. Natalie pomyślała, że chce wyjąć portfel, on jednak tylko zatarł ręce i powiedział: — Strasznie tu zimno. Co się dzieje z tym cholernym ogrzewaniem?

Nawet przy najszczerzych chęciach trudno było go nazwać mężczyzną atrakcyjnym. Mimo to Natalie nie dawała za wygraną.

— Wystarczy cokolwiek, nawet niewielka suma.

W tym momencie zauważyła kokardkę AIDS — czerwoną kokardkę AIDS przypiętą do klapy marynarki. Żaden mieszkaniec Yorkshire nie przypiąłby jej, jeśli nie byłby gejem. Prawdę powiedziawszy, trzeba nie lada odwagi, żeby zdobyć się na jej noszenie.

— Nigdy nie ma temu końca — westchnął. — Kiedyś dom był jak zamek. A teraz wiecznie przychodzą, dobijają się do drzwi i wciskają człowiekowi te swoje ściereczki. „Bardzo przepraszam, właśnie wyszedłem z więzienia, bardzo przepraszam, jestem upośledzony”. Wciąż by tylko brali, brali, brali...

— Tym razem chodzi o daj, daj, daj. Włożył marynarkę.

— Zresztą i tak zawsze zmywa Donald. Mówi, że zostawiam smugi na szklankach.

Dał jej dwa i pół funta. Spotkanie z nim dziwnie ją ożywiło. Zdobyła się na odwagę i zrobiła to. Nikt nie domyślił się niczego złego. Poza tym naprawdę przysłużyła się sprawie Mencap, bo oddała Roz pieniądze. Natalie nie potrafiła być tak naprawdę nieuczciwa. Później nikt nie chciał tego zrozumieć. Na przykład nigdy niczego nie ukradła ze sklepu, chociaż jakieś trzy lata wcześniej, podczas jednej z krótkich wizyt taty gwizdnęła mu z portfela czterdzieści funciaków. No ale w końcu jej się należały.

Usiadła przy swoim biurku i skreśliła ze swojej listy P. Tringa. Jednego miała z głowy, zostało jeszcze pięciu.

— Natalie, chciałam cię przeprosić za tamtą drobną sprzeczkę — powiedziała pani Roe.

— Nie ma sprawy.

— Chcielibyśmy, aby NT cieszyło się opinią przyjaznego miejsca pracy.

— Tak, tyle że jest takie duże — odparła Natalie. Obie stały w kolejce w kantine. — Pracuję tu już dwa lata, a w zasadzie nie znam nikogo. Na przykład mam wiadomość dla pana Talbota. —

Machnęła ręką w stronę jedzących lunch ludzi. — Kto to, u licha, jest?

— Len Talbot? — Pani Roe rozejrzała się dookoła. — Nie widzę go. Na ogół można go zastać w ekspedycji.

Było popołudnie następnego dnia. Szałowo wystrojona w skórzaną minispódniczkę Natalie skierowała niepewne kroki do działu ekspedycji. Dwóch mężczyzn ładowało na wózek pułdła. Na jej widok wyprostowali się, jeden gwizdnął z uznaniem.

— Cześć, chłopaki — powitała ich. — Szukam sponsorów na wyprawę rowerową. Jesteście zainteresowani?

— U mnie raczej kuso — powiedział jeden z nich.

— Jasne, masz góra metr sześćdziesiąt — parsknął śmiechem drugi.

— Może ty? — zwróciła się do niego. — Kilka pensów na milę.

Z tej dwójki on był zdecydowanie przystojniejszy — szczupły, o drapieżnym wyglądzie. Gdy zapisywał swoje nazwisko, wyobraziła sobie, że głaszcze go po włosach. Rzuciła okiem na kartkę: John Cousins.

Jak zwykle, pech ją prześladowuje. Drugi facet był niższy, z czołem całym w pryszczach. Nagle uświadomiła sobie, kogo ma przed sobą — Stacey przecież mówiła, że on ma problemy z cerą.

— Ty pewnie jesteś Derek Windsor — powiedziała.

— Skąd wiesz?

— Och, gdzieś musiałam przeczytać twoje nazwisko — rzuciła niedbale. — Czy znajdu tu gdzieś pana Talbota?

Derek pokręcił głową.

— Jego szukasz? Natalie przytaknęła.

— Jest tam, w magazynie.

— Może powinienem z nią pójść — zagadnął Dereka drugi facet.

— Po co? — zaciekawiała się Natalie.

— To niebezpieczny gość.

— Serio?

— Jego zwierzęcy magnetyzm aż z niego emanuje.

— Poważnie? — ucieszyła się Natalie.

— To bestia.

— Po prostu uważaj, OK?

Natalie ruszyła korytarzem. Stukając wysokimi obcasami o betonową posadzkę, minęła toalety. Dalej był pokój przeznaczony dla muzułmanów, w którym mogli odprawiać modły. Na drzwiach zauważyła napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO. NAPIĘCIE 240 WOLT. W końcu dotarła do magazynu.

Otworzyła drzwi i ujrzała za nimi szafę wypełnioną artykułami biurowymi. Dostrzegła również starszego mężczyznę, który delectował się pączkiem.

— Na pewno przyszłaś po gumki recepturki — burknął, podnosząc się ciężko na nogi.

Wydawał się rozdęty, jakby napompowany od środka. Rozpoznała go: dostarczał do ich biura zamówione rzeczy. Nazywali go Mors, ze względu na sumiaste wąsy.

— Pan Talbot? — upewniła się.

Skinął głową i wręczył jej kartonowe pudełko.

— Dla pani Roe, z wyrazami szacunku. Do wąsów przykleiły mu się grudki dżemu.

Natalie zdusiła w sobie chichot i umknęła. Zabrakło jej odwagi na ponowne spotkanie z chłopakami z ekspedycji, wybrała więc drogę przez podwórze zastawione pojemnikami na śmieci. Mamroczący coś do telefonu komórkowego kucharz obrzucił ją zainteresowanym wzrokiem.

Wróciwszy do biura, oddała pudełko z gumkami pani Roe, swojej kierownicze. Och, gdyby tylko mogła się komuś zwierzyć, z pewnością świetnie by się razem ubawili. Niestety, każdy uznałby ją za szurniętą. Siedziała przy swoim biurku i powtarzała sobie: Natalie, nie trać głowy. Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie. Przecież tylko sobie tych facetów oglądasz, żeby sprawdzić, czy wpadniesz któremuś w oko. A jeśli, przy odrobinie szczęścia, tak się stanie, będziesz się mogła stąd zabrać.

— Masz jakąś gorącą randkę? — zagadnęła ją Sioban.

Natalie w odpowiedzi uśmiechnęła się enigmatycznie, czuła jednak, że już zdążyła się od swoich koleżanek oddalić. A będzie gorzej, znacznie gorzej, skoro nawet zaczątek tajemnicy tak oddała ludzi od siebie. Nie chodzi nawet o to, co się robi — ona przecież jeszcze nic nie zrobiła — ale o to, co siedzi w naszych głowach. Natalie tak była zdumiona własną śmiałością, że nawet sama sobie wydała się obca, a czyż jest coś, co sprawia, że czujemy się jeszcze bardziej samotni? Zadzwoił telefon.

— Pani Natalie Bingham? Mam na linii pana Blashama...

Natalie z hukiem odłożyła słuchawkę. Pan Blasham był dyrektorem jej banku. Wcisnęła na swoim telefonie guziczek z napisem „Zajęte” i sięgnęła po stertę kopert.

Nad wzgórzami przetaczały się burze, oprószając szczyty śniegiem. Wyjący za oknami biura Natalie wiatr niósł ze sobą nie tylko śnieg, lecz także wiadomości, przenoszone na falach eteru głosy łączące się za pośrednictwem telefonów i poczty elektronicznej, wirujące po dwunastu piętrach biurowca NT, rozmowy schwyte i przemienione w pieniądze, w zyski — łyzy, dowcipy, rozmowy z telefonów komórkowych („Jadę pociągiem, jadę pociągiem”), rozmowy odmieniające czyjeś życie („Jestem w ciąży, odchodzę od ciebie”), rozmowy, podczas których

zawierano transakcje kupna mieszkania, rezerwowano wakacje, w których kłamstwa mieszały się ze straszliwą prawdą, rozmowy pomiędzy obcymi sobie ludźmi. A wszystkie one pod uderzeniami sprawnych palców pracowników firmy zamieniały się w funty i pensy, po czym wraz z naciśnięciem klawisza spływały na konto NT, by zniknąć na nim bezpowrotnie.

Natalie siedziała przy swoim biurku, nie słysząc ani słowa z plotek, którymi jej koleżanki dzieliły się między sobą. Podczas tych tygodni znajdowała się w przedziwnym stanie, do czego później chętnie się przyznawała. Czuła się jak koń wyścigowy, młócający kopytami ziemię w nerwowym oczekiwaniu na huk pistoletu startowego. Nie mogła znaleźć sobie miejsca, dręczyła ją bezsenność — ją, która zazwyczaj sypiała jak niemowlę. Miała wrażenie, że szykuje się do długiej podróży. Pewnego wieczoru gwałtownie zateęskniła za Gloria, koleżanką, z którą pracowała niegdyś w fitness klubie w Halifaxie. Zapragnęła nagle odnaleźć łączność z dobrze znaną, bezpieczną przeszłością. Kiedy jednak wybrała numer, z drugiej strony nikt nie odpowiadał. Zupełnie sama na świecie, pielęgnowała swoją tajemnicę niczym narośl, rosnący z każdym dniem guz, o którego istnieniu nie miała jednak odwagi powiedzieć lekarzowi, na wypadek gdyby postanowił jakoś temu zaradzić. Nie panikuj, uspokajała samą siebie. Nie trać głowy. Pamiętaj, nic się jeszcze przecież nie wydarzyło; pamiętaj, nie masz nic do stracenia.

Próba z homoseksualistą i Morsem zaprowadziła ją w ślepią uliczkę. Następnym kandydatem na liście był I. Toole z działu sprzedaży i marketingu. W kolejnym tygodniu zebrała się na odwagę i wsiadła do windy, która zawiozła ją na trzecie piętro.

Drzwi były uchylone. W pokoju młody mężczyzna usiłował trafić do kosza na śmieci zwiniętym w kulę papierem. Na jej widok podskoczył.

— Proszę sobie nie przeszkadzać — powiedziała.

— Myślałem, że to pan Slaughter.

— Nic mu nie powiem.

Uśmiechnął się do niej. Wyglądał jak beztroski chłopak, który do biura wstąpił tylko z wizytą.

— Ładne buty — powiedział. — Czy myśmy się już gdzieś nie widzieli?

— W kantynie?

— Chyba pamiętałbym. Jak długo tu pracujesz?

— Dwa lata.

— Dwa długie lata! Co za strata! Uśmiechnęła się.

— Poradzisz sobie jakoś? Potrząsnął głową.

— Obawiam się, że bez pomocy się nie obejdzie.

— Znam dobrą terapeutkę.

— Wspaniale — ucieszył się. — Jest wolna dzisiaj wieczorem?

Szło lepiej, niż mogła się spodziewać. Zasłona dymna w postaci wyprawy na Kubę Roz okazała się niepotrzebna.

— Cóż, najpierw mam zajęcia z pilates...

— Komu dziś potrzebne pilates?

— A potem miałam iść na drinka z Rhoną...

— Komu potrzebna Rhona?

— W sumie mogę nagrać sobie pilates i Rhonę na wideo i obejrzeć później.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Do pokoju wsunęła głowę jakaś kobieta.

— Ian — powiedziała. — Dzwoni twoja żona. Odbierzesz? Zapadła cisza.

— Ach — westchnął w końcu Ian Toole. Uśmiechnął się z zalem do Natalie. — Wybacz, mój mały synek ząbkuje.

W toalecie Roz spytała ją, czy zebrała jakieś datki.

— Jeden czy dwa — odparła Natalie. — Ludzie są dziwni, nie uważasz? Już myślisz, że coś od nich dostaniesz, i zawsze wtedy coś się dzieje... — Wzruszyła ramionami. — No cóż, raz na wozie, raz pod wozem.

Roz szczytkowała sobie włosy.

— To naprawdę miło z twojej strony, Natalie. Czasem mi się wydaje, że ludzie troszczą się wyłącznie o siebie. Wiesz, co chcę powiedzieć?

Pozostałych trzech wyeliminowała błyskawicznie, wystarczył jej pierwszy rzut oka. K. Terriaki (dział kontroli kredytowej) okazał się Japończykiem, a Japończycy mają małe fiuty. Szafka za plecami C. Tichmarsha (kierownictwo praktyk szkoleniowych) cała oblepiona była kartkami „Gratulacje! To dziewczynka!”, co automatycznie go wykluczało. J. Tanner (ochrona) odrzucał na sam widok.

Był początek grudnia. Natalie poddała się. Prawdę powiedziawszy, cały zapal wyparował z niej kilka dni wcześniej, po wizycie złożonej Ianowi Toole'owi. Do pozostałych trzech panów z nazwiskami rozpoczynającymi się na T poszła kierowana już tylko czystą ciekawością.

Cały ten pomysł był od początku do końca niedorzeczny. Dobrze, że oprzytomniała na czas, zanim zdążyła zrobić z siebie kompletną idiotkę. Co za lichy ją podkusiło, żeby polować na faceta wyłącznie ze względu na jego nazwisko? A gdyby nawet udało jej się go uwieść, skąd

pewność, że skończyłoby się na małżeństwie? Gdyby jednak do tego doszło — zakładając, że ktoś by jej się spodobał, zakochałaby się w nim i ostatecznie poślubiła — czy znalazłaby dość odwagi, by przeprowadzić swój plan do końca?

Lecz już samo rozważanie takiej możliwości urozmaiciło nieco jej życie. Było wtorkowe popołudnie i czas stanął w miejscu. Ludziom wykonującym bezmyślną pracę wtorek ciągnie się zwykle najdłużej. W środę, gdy od weekendu dzieli już tylko pół tygodnia, zaczyna być z górki; w czwartek czas zaczyna płynąć zdecydowanie szybciej i można rozpocząć odliczanie.

— Zauważyłaś, że zegar przestał się poruszać? — spytała Faridę. — Zatrzymał się na trzeciej i ani drgnie?

— Co mi tam. Za rok o tej porze będę w Winnipeg.

— Jasne. Niektórzy to mają szczęście.

— Nie martw się — pocieszyła ją Farida. — W końcu na kogoś trafisz. I na pewno okaże się lepszy od Kierana.

— Zdążyłam już zrozumieć, że facet to nie rozwiązanie. — Rzuciła okiem na fotografię Damona. „Dla Natlie”. Jeden róg fotografii odkleił się i wisiała nachylona w stronę Natalie, jak gdyby Damon próbował jej coś powiedzieć. Niedługo reszta taśmy dwustronnej, którą zdjęcie było przyklejone, przestanie trzymać i Damon w ogóle spadnie za biurko. — Jeśli chcesz coś zrobić ze swoim życiem, musisz zabrać się do tego sama. Zapomnij o facetach...

Umilkła. Drzwi w drugim końcu pokoju otworzyły się i wszedł przez nie mężczyzna. Towarzyszyła mu grupa japońskich biznesmenów. Mężczyzna gestykułując, coś do nich mówił. Wyglądał, jakby oprowadzał ich po budynku. Jego wzrok zatrzymał się na Natalie.

Wszystko w niej drgnęło. W przeszłości nieraz czuła się podobnie — знаła to dźgnięcie, uczucie miękkości w brzuchu — od bardzo dawna jednak nie doświadczała czegoś podobnego. Mężczyzna był wysoki i postawny, miał ciemne włosy. Z reguły nie podobali jej się mężczyźni w garniturach.

— Kto to? — zapytała.

— A bo ja wiem?

Zza szklanej przegródki wychyliła się Stacey.

— To Phillip Tomlinson, nowy dyrektor personalny.

— Tomlinson? — powtórzyła Natalie po chwili.

— Proszę — rozległ się kobiecy głos.

Natalie otworzyła drzwi. Pokój okazał się duży — beżowa sofa, obrazy na ścianach — i mieścił się na samym dwunastym piętrze. Znajdowały się w nim dwa biurka. Przy jednym siedziała kobieta w średnim wieku, drugie było puste.

— Słucham, czym mogę służyć?

— Czy zastałam pana Tomlinsona?

— Jest na spotkaniu. Wolno spytać, o co chodzi?

— Szukam sponsorów i zbieram datki.

Na biurku kobiety zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Jest jeszcze na środkach odurzających. Dali mu nowe kolano.

Natalie wykorzystała tę chwilę, by przyjrzeć się drugiemu biurku. Zauważyła na nim paczkę marlboro i zapalniczkę. Kobieta spojrzała na Natalie.

— Będzie się pani musiała umówić na spotkanie.

Wkładając płaszcz, Stacey przyjrzała się odbiciu Natalie w lustrze.

— Jakie to nie fair — westchnęła. — Widziałam cię w kantine, jak opychałaś się tymi frytkami.

— Aha, ale gdybyś zobaczyła moje cycki. Jestem płaska jak łódź płaskodenna. — Natalie omotała szal wokół szyi. — Jak ci idzie z Derekiem? Zabrał się w końcu do rzeczy?

Stacey kiwnęła głową.

— Wczoraj wieczorem.

— Zajęło mu to trochę czasu, nie uważasz?

— Próbowałam już wszystkiego, aż tu nagle się pokłóciliśmy.

— O co?

— O szanse Leeds w Pucharze. — Stacey sięgnęła po torbę. — W sumie mi to zwisa, ale przeczytałam kiedyś w „Marie Claire”, że złość ma działanie podniecające.

Budynek NT był w kształcie litery L. Palacze ze skrzydła, w którym pracował Phillip Tomlinson, korzystali z innego wyjścia. Natalie znalazła go tam następnego dnia, w porze podwieczorku.

— Czy to pan podjął decyzję, że palacze należy załatwić? — zaczęła go bez zbędnych wstępów.

— Słucham?

— To było bardzo nie w porządku. — Wskazała palcem na jego papierosa. — Założę się, że w a m nie potracają za to z pensji.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego, pani... hm...

— Natalie.

— Natalie. Jestem tu dopiero od miesiąca.

— Macie nawet własne wyjście. Żeby móc tu palić, musiałabym pewnie należeć do rady, dam sobie głowę uciąć.

— To nie jest wyjście przeznaczone dla dyrektorów — odparł.

— Tak się składa, że jest po prostu niedaleko mojego gabinetu.

— Cała ta sprawa jest żałosna. Phillip podsunął jej paczkę papierosów.

— Zapali pani?

Z bliska mogła przyjrzeć się jego gładkim, regularnym rysom. Wyglądał jak zawodowy gracz w golfa. Nie w jej typie. Na dodatek pod sportową marynarką nosił sweter z golfem. Natalie znowu poczuła ogarniające ją pożądanie.

— Nie chcę pańskich zakichanych papierosów — prychnęła.

— Widzi pan, ludzie tacy jak ja zwracają uwagę na drobnostki. — Uniosła głos. — Cały ten bajzel kręci się dzięki nam, a jeśli macie nas za nic, po prostu odchodzimy. To głupota, na dodatek zwiększa koszty, bo przecież wtedy musicie szukać kogoś nowego, mam rację? Trzeba dać ogłoszenie, przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne, przeszkolić. A wszystko z powodu pieprzonych siedmiu minut! — Przerwała, by złapać oddech. — Widzi pan, my zwracamy uwagę na takie właśnie siedem minut. Więc niech pan idzie i powie im, że mogą je sobie wsadzić.

Przez całą tę tyradę nie spuszczał z niej wzroku.

— Rany — powiedział, gdy skończyła. Natalie odwróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Kiedy usiadła za swoim biurkiem, trzęsła się cała od tłumionego śmiechu.

Popołudnie minęło jak z bicza strzelił. Stacey przycisnęła dłoń do brzucha.

— Chyba mam mięśniaki macicy — jęknęła.

Sioban ze łzami w oczach odłożyła słuchawkę. Mieszkanie w Scarborough nie wypaliło.

— Okazało się, że jest tam azbest — powiedziała. — To znak, że nie powinnam jechać. Nie mam szans stać się inną kobietą.

— Weź to. — Farida podsunęła jej pastylki St John's Wort. — Moja ciotka zarzeka się, że działają cuda.

Natalie beztrąsko połknęła jedną, myślami błądząc gdzie indziej. Niecierpliwie i byle jak odwaliała szybko robotę. O piątej, gdy wszyscy zbierali się do wyjścia, pognęła na parking. Je-

go audi stało tam, gdzie się spodziewała, na miejscu podpisanym jego nazwiskiem: P. TOMLINSON. Obok nie było żadnego samochodu, więc szybko przestawiła tam swój.

Kierownictwo firmy zawsze pracowało dłużej. Natalie postanowiła poczekać w toalecie, skąd przez okno mogła widzieć dwunaste piętro w drugim skrzydle budynku. W jego oknie wciąż paliło się światło. Spryskała się perfumami.

„Tu się naciska, to odłącza silnik”.

Jakże bezradna jest kobieta, gdy jej samochód nie chce zapalić! Natalie starała się jak mogła, włączał się rozrusznik, by po chwili z rzeżeniem umilknąć. Wystarczyło kilka chwil, by sama zaczęła wierzyć w swoje kłamstwo. Była w tym dobra, nie darmo pochodziła z rodziny, której członkowie bez trudu ulegali własnym złudzeniom.

We wstecznym lusterku ujrzała, jak Phillip wychodzi z budynku i kuląc się przed wiatrem, zmierza w jej kierunku. Zastukał w jej szybę. Z wahaniem opuściła szybę.

— Czyżby jakiś problem? — spytał.

— Nie, wszystko w porządku.

— Na pewno?

Wybuchła płaczem. Potrafiła zrobić to na zawołanie, wystarczyło tylko, że pomyślała o swojej świętej pamięci złotej rybce.

— Proszę nie płakać.

— Nic mi nie jest — zaszlochała. — Proszę dać mi spokój!

— Proszę się posunąć.

Zrobiła mu miejsce, przesiadając się na miejsce pasażera.

— Przeklęty samochód — mruknęła i wytarła nos.

— Dama w kłopotcie... to dzisiaj widok dość niespotykany na drodze. — Spróbował zapalić silnik. — Siadł akumulator. Pani pozwoli, że wyratuję ją z opresji, służąc swoimi przewodami rozruchowymi.

Omiótł szybkim spojrzeniem jej nogi. Spódnica zadarła się do góry, odsłaniając uda.

— Nie musi pan wracać do domu? — spytała.

— Nie śpieszy mi się — odpowiedział.

— Naprawdę?

— Jestem cały do pani dyspozycji. — Uśmiechnął się do niej.

Parking zdążył już prawie opustoszeć, bez trudu mógł więc wycofać swój samochód i ustawić go w odpowiedniej pozycji, tak że obie maski nieomal się stykały. Zaczął grzebać w

swoim silniku, podłączając przewody. Patrząc na jego pochylone plecy, czuła, iż on wie, że ona mu się przygląda. Wyprostował się i wytarł ręce w chusteczkę.

— Możemy ładować? — spytał, spoglądając na nią z uniesionymi brwiami.

— Czuje się okropnie po tym, co dzisiaj panu nagadałam — wyjąkała.

— Nie ma o czym mówić. — Omiótł spojrzeniem całą jej sylwetkę. Uśmiechnęła się nieśmiało.

Usiedli w swoich stojących naprzeciwko samochodach i spróbowali odpalić. Oczywiście Natalie się nie udało. Czuła, jak przewody niemal wibrują jego pożądaniem. Ich spojrzenia się spotkały i Natalie wzruszyła bezradnie ramionami. Odpowiedział tym samym i wyłączył swój silnik. Poprzez przednie szyby spoglądali na siebie. Mimo iż go oszukała, poczuła dla niego wdzięczność za okazaną pomoc. Otworzył jej drzwiczki i wyciągnął do niej rękę.

— Natalie, czy wybaczysz mi moje wcześniejsze zachowanie? — spytał.

W odpowiedzi skinęła głową. Ujął jej dłoń.

— Wsiadaj — powiedział. — Odwiozę cię do domu.

Ruszył pełnym gazem w stronę obwodnicy. Wbita w siedzenie Natalie pomyślała: jakież on jest męski! Zdążyła mu już wybaczyć wcześniejszą starannie wystudiowaną galanterię na użytek „damy w kłopotcie”. Gdy pędził autostradą, wyprzedzając ciężarówki i migając długimi światłami guzdrającym się według niego innym pojazdom, Natalie z rozkoszą poddała się ogarniającemu poczuciu wyczekiwania na coś wyjątkowego. Miała świadomość, że udało jej się złapać go w sidła: najpierw robiąc mu awanturę, a później zalewając się łzami bezradności. Wywiązała się między nimi wzajemna bliskość. Zwróciła się do niego.

— Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam. Ostatnio trochę mi się nie układało. W zeszłym miesiącu rozstałam się ze swoim chłopakiem.

— Ach — powiedział tylko i umilkł na chwilę. — I jak się teraz czujesz? — spytał na koniec.

— Wspaniale. — Posłała mu promienny uśmiech. — Naprawdę wspaniale.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

— Pełny luz blues?

Nie uszło jej uwagi, że był zdenerwowany. Brawurowa jazda miała po prostu wyrzucić na niej odpowiednie wrażenie. Jedną ręką niedbale trzymał kierownicę, drugą jednak, spoczywającą na kolanach, bez przerwy nerwowo zaciskał. Przyjrzała się jego profilowi. Jak wiele osób, które oglądamy z boku, wydawał się kimś zupełnie innym — zauważyła, że wcale nie

miał tak mocno zarysowanej szczęki, a nos okazał się znacznie bardziej szpiczasty. Jednak to nie umniejszyło jej pożądania — gwałtownej, przesywającej żądz, jaką odczuwać można tylko wobec kogoś obcego, z kim ma się wkrótce nadzieję nawiązać intymne stosunki, dotknąć nie poznanej jeszcze skóry, póki co osłoniętej ubraniem.

— Prawdziwy ze mnie szczęściarz — odezwał się. — Odwożę do domu najpiękniejszą dziewczynę w pracy.

Zaparkował przed jej domem i wyjrzał przez szybę. Z latarni smętnie zwisała poszarpana taśma policyjna, znowu musiał zdarzyć się tu jakiś wypadek.

— Dziadowska okolica — zauważyła. — Ale nie planuję zatrzymywać się tu na dłużej.

Phillip wyłączył silnik i zwrócił się ku niej. W świetle ulicznej latarni dostrzegła porastające mu uszy włoski. Oboje jesteście jak zwierzęta, pomyślała. Ssaki w okresie rui.

— Może wpadniesz na drinka? — zaproponowała.

Zamknęła drzwi. Phillip przyciągnął ją do siebie i pocałował niezgrabnie, zderzając się z nią nosem. Nawet Natalie była zaskoczona. Upuściła torbę i objęła go przez gruby kożuch. Walnął głową o ścianę, przekrzywiając wiszące na niej lustro.

— Marzyłem o tym przez cały dzień — powiedział cicho.

Oswobodzili się nawzajem z wierzchnich okryć i potykając się, ruszyli do sypialni. Panował w niej chłód, a zasłony wciąż były zasunięte, tak jak zostawiła je rano. W ciemności Natalie odnalazła łóżko i pociągnęła go na nie za sobą. Przekręcił ją bezceremonialnie, jak gdyby była szmacianą lalką, rozsunął jej nogi i wsunął między nie głowę.

Musiała przyznać, że był wyjątkowo sprawnym kochankiem, aż nadto świadomym swojej wirtuozerii. Wiedziała, że nie będzie się śpieszył, pragnąc pokazać jej cały arsenał swoich umiejętności — najpierw delikatne muskanie, potem szybka penetracja językiem, błyskawiczne rzucenie ubrania, lizanie piersi, przesiąknięte jej zapachem pocałunki w usta i wprawne nasunięcie prezerwatywy. Wszedł w nią, aż drgnęła.

— Sprawiam ci ból? — spytał namiętym szeptem.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i zamknęła mu usta pocałunkiem. Obejmując go mocno swoimi silnymi, szczupłymi ramionami, poczuła zalewającą ją taką falę rozkoszy, że zupełnie zapomniała, iż wszystko to sobie dokładnie zaplanowała.

Następne dwa tygodnie kompletnie ją zaskoczyły. Jej serce, rozgrzane namiętnością Phillipa, wprost topniało. Zupełnie nie był w jej typie — zbyt lalusiowaty, jak model — ale romans z przełożonym miał w sobie coś bardzo podniecającego: te szybkie, ukradkowe pocałunki w

toalecie, dreszczyk emocji, gdy przychodził do ich biura, by porozmawiać z panią Roe („To niemożliwe, Stello”) i ich spojrzenia się spotykały. Przypadkowe spotkania na korytarzu, gdy mijala go, rozmawiającego z kolegą („Teraz twoja kolej spuścić opierdół Fraserowi”). Gdy siedziała przy swoim biurku z obolałymi udami, znajdowała w swojej poczcie elektronicznej wiadomości dla „słodkich usteczek”: „Już nie mogę się doczekać wieczoru”. Gdy przychodził do działu rachunkowości — co ostatnimi czasy czynił pod byle pretekstem — i przystawał koło jej biurka, wszystkie otaczające ją odgłosy odpływały, podobnie jak wtedy, gdy pracowała nad swoim planem. Na całym świecie istnieli tylko ona i Phillip.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że się zadurzył. Leżąc w jej ramionach, wsłuchany w dochodzące z ulicy krzyki, szeptał:

— Zabiorę cię daleko stąd.

— Dokąd?

Musnął palcem jej pokryte drobnymi piegami ramię.

— Wszędzie, byle dalej od tego miejsca. Zaslugujesz na coś lepszego.

— To prawda.

Tulił ją w swych ramionach, sprawiając, iż czuła się prawdziwą kobietą, pożądaną i wielbioną, co ją samą wprowadzało w zdumienie. Ale potem szedł do domu. Nigdy nie został na noc i mówił, że przed snem musi jeszcze wyprowadzić psa na spacer.

— Jak się wabi?

— Arnold. Ma kłopoty z prostatą. — Poglądził ją po policzku. — Dobrze ci się śmiać, bo nie jesteś facetem. I dzięki Bogu.

Nigdy nie zaprosił jej do swojego domu gdzieś za Dewsbury. Jego była dziewczyna, z którą niedawno się rozstał, wciąż jeszcze miała do niego klucz.

— Rzecz w tym, że dla ludzi nadal jesteśmy razem. Nikomu nie powiedziała.

— Przecież prędzej czy później i tak się dowiedzą.

— Bardzo źle to zniosła. Zostawiła u mnie jeszcze trochę swoich rzeczy i wpada czasem bez ostrzeżenia.

— Trochę to zakręcone.

— Gdyby cię u mnie zastała, dostałaby szau.

— Czemu nie zmienisz zamków?

— Jakoś to załatwię, obiecuję. Nie przeszkadza ci to chyba?

Z wielkodusznością zwycięzcy pokręciła głową. Miłość działała na nią jak narkotyk. Uśmiechała się do strażnika przy wejściu, posłała Phillipowi e-maila, gdy miał spotkanie z jakimiś ludźmi ze Stuttgartu. Wyobrażała sobie jego minę, gdy czytał wiadomość. „Państwo mi wybaczą”, mówił zapewne, wstając. „Muszę sprawdzić pewne dane w innym dziale”. Czekala na niego w damskiej toalecie, z majtkami przerzuconymi przez drzwi do kabiny. Jakże podniecająco działała na nią świadomość niebezpieczeństwa!

— A jeśli ktoś wejdzie? — pytał szeptem.

— Zamknij się.

Rozpięła mu rozporek, zmusiła, by usiadł na sedesie, po czym dosiadłszy go okrakiem, zerznęła z namiętą gwałtownością. Kiedy było po wszystkim, zanosząc się śmiechem, wykończeni i bez sił padli sobie w objęcia.

Patrzył na nią i ocierał jej wilgotne włosy na czole.

— Och, Natalie, Natalie, gdzie ty się podziewałaś przez całe moje życie. — Zapiął spodnie. — Kochanie, posłuchaj, nie mów o nas nikomu, dobrze? Nie chcę żadnych plotek, a wiesz, jakie są biura. — Pocałował ją. — Chcę cię mieć tylko dla siebie. — I wrócił na swoje spotkanie.

Nowa, uległa Natalie zgodziła się bez słowa protestu. Żyła teraz tylko dla wspólnych wieczorów. Jej mieszkanie przestało być dla niej pustym, opuszczonym miejscem, pełnym reliktyw minionej obecności Kierana — podpisanych jego ręką kaset wideo, jego samouczka języka hiszpańskiego z kursu, na który przez chwilę uczęszczał. Do niedawna posiadały tak wielką moc, a teraz ją utraciły, przestając ją zasmucać, Kieran oszedł i po prostu nie zabrał ze sobą wszystkiego. Przepelnione erotyzmem wyczekiwanie nadało jej mieszkaniu całkowicie nowe oblicze. Od dwóch tygodni było pałacem miłości, jak gdyby nigdy dotąd nikt w nim nie oddawał się zwykłym, codziennym czynnościom: suszeniu włosów czy spędzaniu wieczorów przed telewizorem. Natalie nie miała pojęcia o gotowaniu, ale teraz kupiła krewetki i owoce mango, nie zapomniała też o butelce wina, która chłodziła się w lodówce. Kupiła świece zapachowe i rozstawiła je w łazience, jak często robią świeżo upieczeni kochankowie. Siedzieli razem z Phillipem w wannie, ich kolana pokrywała piana, jej palce stóp pieściły jego przyrodzenie.

Gdy tak siedzieli, lustro zaszło parą, a ona opowiadała mu o swoim dzieciństwie. Nauczyła się przedstawiać je jako serię anegdot, z każdą opowieścią dodając im dramatyzmu. Na swoją przeszłość zaczynała patrzeć tak, jakby należała do kogoś innego.

— Płatki pszenne? — zdziwił się. — Przez trzy dni?

— Byłam przecież malutka. Nie umiałam posługiwać się otwieraczem do konserw.

— A dziecko?

— Jemu też trochę dałam. Bardzo mu smakowało.

— Mleko nie skwaśniało?

— Gwizdnęłam jedno sprzed mieszkania obok. A potem już wróciła mama i wszystko było w porządku.

— Wcale nie uważam, żeby to było w porządku. Przecież ta kobieta była alkoholiczką.

— Jest. Wciąż jeszcze żyje, choć nie wiadomo gdzie. — Słowo „alkoholiczka” w odniesieniu do matki brzmiało w jej uszach równie alarmująco jak „ustalone małżeństwo” dla Faridy. W ten sposób rzeczywiście nią się stawała, z czym jej matka zapewne radośnie by się zgodziła. Janey, jeśli akurat nie tkwiła pogrążona w pijackim smutku, była bardzo pogodną kobietą. To trzeba jej było oddać.

— Opieka społeczna się wami nie interesowała? — spytał Phillip.

— Dwójkę najmłodszych zabrali, ale my wiecznie gdzieś się kręciliśmy. Po prostu nie mogli nas namierzyć. Raz Halifax, zaraz potem York... Kiedy mówiła mi, że mam się kłaść spać w ubraniu, od razu wiedziałam, co się święci.

— Twarda jesteś, prawda?

Nabrała w dłoń wodę i spryskała mu nią kolana.

— Na tym świecie człowiek musi się o siebie troszczyć. Na nikogo innego nie może liczyć.

Zawsze ilekroć opowiadała o swoich rodzicach, zaskarbiała sobie męską sympatię. Przy najmniej tyle dla niej zrobili.

— Widzisz, moi rodzice tak naprawdę nigdy nie dorośli. Na zawsze pozostali dziećmi lat sześćdziesiątych.

Opowiedziała mu, jak to jej ojciec, kiedy ona sama była jeszcze malutka, wykpił się ze wszystkiego, wyjeżdżając na Ibizę, gdzie palił trawkę, pracował przy łodziach, by w końcu wyładować w Tajlandii, gdzie żył z tą jakąś tam. Phillip spoglądał na nią z czułością.

— Tęsknisz za nim?

— Och, po nim było mnóstwo innych. Przy mojej mamie nigdy nie narzekaliśmy na brak facetów. — Pomyślała o Raymondzie wślizgującym się cichaczem nocą, gdy jej matka spała. Opowieści o Raymondzie zostawi sobie na później. — Od tamtego czasu miała ich co najmniej pięciu.

— Naprawdę? Skinęła głową.

— Po co miałabym na ten temat kłamać?

— A na jaki skłamałabyś?

— A ty?

— Ja spytałem pierwszy. Zapatrzyła się na resztkę mydła.

— Czasami zaczynam na jakiś temat kłamać, a potem okazuje się, że wcale nie musiałam.

— Dlaczego?

— Bo kłamstwo okazuje się prawdą.

Choć raz powiedziała coś naprawdę szczerze.

Phillip wyszedł, by wrócić do domu. Spoglądała za nim, gdy zbiegał ze schodów. Dobijał czterdziestki. Gdy tak patrzyła na niego z góry, widziała jego przerzedzone na czubku głowy włosy.

Wróciła do łazienki i stanęła przed zaparowanym lustrem. Wyciągnęła palec i napisała na nim: N. TOMLINSON... Potem patrzyła, jak litery powoli znikają.

Pragnęła, by Phillip spędził z nią całą noc. Chciała obudzić się koło niego rano i pozwolić mu skorzystać ze swojej szczoteczki do zębów. Może lubił słuchać w radiu porannej audycji „Dzisiaj”. Nie miałyby nic przeciwko temu, w końcu powinna wiedzieć, co się dzieje na świecie. Mógłby nawet przyprowadzić swojego psa. Lubiała wszystkie zwierzęta z wyjątkiem tych oślizgłych. Pożądała Phillipa, wciąż było go jej mało. Nic dodać, nic ująć.

W czwartek się nie widzieli, Phillip wyjechał do Londynu na konferencję. Do piątku zdążyła się za nim okropnie stęsknić. W czasie porannej przerwy poszła do jego wyjścia dla palaczy, ale nie zastała go tam. Pojechała więc windą na dwunaste piętro i wolnym krokiem minęła pokój, w którym pracował. Niestety, jego biurko było puste. Nie zdobyła się na odwagę, by wejść. Zresztą prosił, by tego nie robiła, gdyż mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

— Pani Johns ma wzrok jak jastrząb — powiedział. Natalie wróciła do siebie i spróbowała zadzwonić na jego telefon komórkowy, lecz był wyłączony.

W porze lunchu zauważyła w kantine panią Johns, jak grzebała widelcem w swoim bryani. Natalie przystanąła obok jej stolika.

— Szukam pana Tomlinsona.

— Dzisiaj przez cały dzień ma spotkania. — Pani Johns znalazła kawałeczek cynamonu i odłożyła go na brzeg talerza. — Jeśli chciałaby się pani z nim umówić, proszę zadzwonić w poniedziałek.

Na dworze rozległ się huk grzmotu. Natalie pocieszyła się zdobytą od Phillipa informacją, że mąż pani Johns zostawił ją dla dwudziestoosmioletniej konsultantki komputerowej.

Przysiadła się do Sioban, która zamknęła czytana właśnie książkę — samouczek dla przyszłych notariuszy.

— Wiedziałaś, że najlepszym sposobem na pozbycie się zmarszczek jest posmarowanie ich maścią na hemoroidy?

Starzeję się, przemknęło Natalie przez myśl. Mam już prawie trzydzieści trzy lata, między oczami zrobiły mi się bruzdy, niedługo będę już tak stara, że nikt nie zechce mnie pokochać. Sioban zrobiła sobie zakładkę do książki z karty pokładowej. Jej ochroniarz zabrał ją na potajemny weekend do Paryża. On i spędzili razem całą noc, wspólnie obudzili się w obcym pokoju hotelowym i zgodnie wyszorowali sobie razem zęby.

Przez całe popołudnie szalała burza. Mimo popiskiwania komputerów i szumu rozmów — ich natężenie zawsze wzrastało w piątkowe popołudnia — Natalie słyszała walenie deszczu o szyby. Dlaczego Phillip nie zadzwonił? Przecież nawet nie umówili się na weekend. Prawdę mówiąc, w obydwie weekendy, jakie upłynęły od ich poznania, był zajęty; w pierwszy miał turniej badmintona, w czasie drugiego musiał odwiedzić rodziców w Keighley.

Chwilowo odczuwała tylko lekkie rozdrażnienie. W końcu miał prawo być zajęty; jego praca była znacznie bardziej wymagająca od jej. Nietrudno było jej się z tym pogodzić.

— Marnujesz się tutaj — powtarzał jej. — Taka bystra dziewczyna.

Niczego nie podejrzewała, ale też miłość zupełnie ją ogłupiła.

O pół do szóstej wszyscy zaczęli się zbierać. Zaczekała do szóstej, po czym napisała do niego liścik: „Cały czas będę w domu. Zadzwon do mnie”. Wsunęła go w przezroczystą koszulkę, „pożyczoną” z szafki pani Roe. Ona i Phillip często zostawiali sobie różne wiadomości pod wycieraczkami samochodów — żarciki, godziny spotkań. Podobnie jak wiadomości przesyłane pocztą elektroniczną, dodawały ich związkowi smaczku urozmaicającego rutynę dni w pracy.

Natalie wyszła z budynku. Zatoczyła się pod gwałtownym uderzeniem wiatru. Wrzosowiska miały własny mikroklimat, temperatura zawsze była tu o dziesięć stopni niższa niż gdzie

indziej. Na dwunastym piętrze, w biurze Phillipa, wciąż jeszcze paliło się światło. Kuląc się przed deszczem, Natalie ruszyła biegiem do miejsca, gdzie parkował swój samochód.

Lecz ku swemu zdumieniu zastała tam zupełnie inny samochód. Natalie przycisnęła twarz do szyby — na tylnym siedzeniu dostrzegła przymocowane dziecięce krzeselko.

Wyprostowała się zaskoczona. Wokół niej trzaskały drzwiczki, słychać było mruczenie włączanych silników. Jakiś mężczyzna wsiadał do samochodu obok. Rozpoznała go, palił z Phillipem tego dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy.

— Kto zaparkował na miejscu pana Tomlinsona? — zawołała do niego, przekrzykując szum deszczu.

— To pewnie samochód Melanie.

— Czyj? — podniosła głos.

— MELANIE! — wrzasnął facet. — Jego żony.

Doświadczony kłamca docenia wartość szczegółów — trzeba szafować nimi oszczędnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ktoś ufny bowiem nie będzie przecież podawał niczego w wątpliwość. Wystarczy mówić tylko tyle, by stworzyć powierzchowny zarys, fikcyjny scenariusz, ukazując nie więcej niż czubek góry lodowej. To prawdziwa sztuka, która choć moralnie wątpliwa, jest bardziej przydatna niż wiele innych umiejętności, i Natalie skrzętnie się w niej ćwiczyła. Rzec nawet można, że przez następne miesiące opanowała ją wręcz do perfekcji. Odkrywszy oszustwo Phillipa, cierpiała nie tylko z powodu jego utraty, lecz w znacznej mierze dręczyła ją także świadomość, że w kwestii kłamstwa trafiła na godnego siebie przeciwnika.

Phillip miał żonę Melanie i dwójkę dzieci: osiemnastomiesięczną Kelly i czteroletniego Toma. Żadnego psa nie było. Arnold, któremu z powodu problemów z wydalaniem moczu Natalie tak współczuła, okazał się wymysłem niezwykle bujnej wyobraźni Phillipa. Nic dziwnego, że musiał co wieczór wracać do domu. Czym była Natalie? Późnymi spotkaniami, służbowymi obiadekami?

O wszystkim tym dowiedziała się, gdy siedzieli oboje w jej samochodzie, o którego dach bębnił deszcz.

— Szaleję za tobą — powiedział.

— Och, doprawdy?

— Szaleję.

— Ty mendo!

— Miałem ci powiedzieć... Z początku myślałem, że wiesz... a potem było już za późno...

— Ty kłamliwy fiucie, ty... ty... — Chciała go uderzyć, ale nie było dość miejsca. Z bezsilną złością zaczęła okładać go pięściami, gruby kozuch jednak skutecznie chronił go przed razami.

— Melanie i ja...

— Mam gdzieś Melanie...

— Melanie i ja nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi, nasze małżeństwo właściwie od lat jest fikcją...

— Och, przymknij się.

— To ciebie kocham...

— I zostawisz ją dla mnie?

Zapadła cisza. Deszcz ustał. Parking zdążył już opustoszeć.

— Wysiadaj — warknęła. — Zabieraj się stąd i niech cię szlag!

Natalie czuła, jak łyzy szczypią ją w oczy, ale nie będzie płakała, nie ona. Jechała autostradą prowadzącą do Leeds. Widziała nieostre światła nadjeżdżających z przeciwka samochodów. Ruch na drodze panował potężny. Był piątek wieczór i ludzie nie siedzieli w domach. Dokąd oni wszyscy tak pędzili? Przecież to zupełnie bez sensu. Miała wrażenie, jakby od rana, gdy jechała tą samą drogą, tyle że w przeciwną stronę, upłynął tydzień — może nawet miesiąc. Czas stracił swój logiczny ciąg, jego trybiki zupełnie się rozstroiły. Nie mogła uwierzyć w swoją własną głupotę — jak to możliwe, że niczego się nie domyśliła? Czyżby rzeczywiście była aż taką idiotką? I proszę, oto jak skończyła — o krok od zakochania. O krok od marzeń o przyszłości.

Zjechała z autostrady w drogę prowadzącą do miasta. Rozmazane przez napływające do oczu łyzy wściekłości światła raziły ją.

Zredukowała bieg i wyskoczyła na drugi pas, by wyprzedzić jadący samochód. Nadjeżdżające z naprzeciwka auto zaczęło trąbić i mrugać długimi światłami. Zahamowała i wycofała się.

Przez całą drogę do Leeds nie przestawała myśleć: A więc to koniec mojego wspianego planu. Odczuwała niemal ulgę, że sprawa sama rozwiązała się w ten sposób. Co dziwne, romans z Phillipem, dzięki któremu być może udałoby się jej wprowadzić go w życie, sprawił, iż nagle przestał być dla niej ważny.

Stała na jakichś światłach. Doprawdy, pomysł był idiotyczny. Być może Phillip od początku wyczuwał w niej coś podejrzanego. Och, co za drań.

Zapaliło się zielone światło. Natalie nacisnęła pedał gazu. Samochód nawet nie drgnął. Silnik zgasł.

Samochody z tyłu zaczęły trąbić. Natalie spróbowała ponownie. Silnik zacharczał, ale nie zaskoczył. Znowu spróbowała, z podobnym skutkiem. Tym razem działało się to naprawdę, jej samochód faktycznie odmówił posłuszeństwa. Inne auta zaczęły ją wymijać. Z hukiem przemknęła wielka ciężarówka McDonalda. Dopiero wtedy zauważyła ostrzegawczą lampkę wskaźnika paliwa. Bak był pusty.

Kiedy człowiekowi wydaje się, że już niżej spaść nie może, nagle z hukiem wali się na twarde jak skała dno. Po chwili ono także pęka i spada się dalej. Mozolnie pokonując dwie dzielące ją od domu mile — wcześniej, sporo się wyczekawszy, namówiła w końcu jakiegoś przechodnia, by pomógł zepchnąć jej hondę na chodnik, gdzie na pewno wlepią jej mandat za parkowanie — mijając po drodze oświetlone puby, skąd dochodził śmiech cieszących się piątkowym wieczorem ludzi, myślała: Pieprzę to wszystko. Znowu zaczęło padać. Miała przesiąknięte wodą buty i dygotała z zimna. Minęła NT Phone Shop, pusty i jaskrawo oświetlony. NT, OTO TWÓJ WYBÓR. Chciała wezwać taksówkę, ale bateria w telefonie komórkowym się wyczerpała, a kiedy próbowała zadzwonić z budki telefonicznej, aparat tylko połknął wszystkie jej dwudziestopensówki. Szła więc dalej główną ulicą, a obok niej z szumem przejeżdżały auta.

Zdradzona i przemoknięta, Natalie z trudem brnęła w deszczu chodnikiem. Jeden z samochodów zwolnił i zatrzymał się kilka metrów przed nią.

Natalie stanęła. Wokół ani żywego ducha, tylko strumień sunących po jezdni samochodów. Udała, że coś na ścianie wzbudziło jej zainteresowanie. Ktoś o imieniu Kevin wypisał na niej sprayem OBCIĄGNIJ MI KUTASA. Kątem oka obserwowała samochód wciąż stojący na skraju jezdni.

„W ostatni czwartek ktoś tu zadzgał dziewczynę”. Natalie rzuciła się do ucieczki. Biegiem skręciła w boczną ulicę. „Ta zgwałcona dziewczyna? Mój brat chodził z nią do szkoły...”. Minęła rząd domów przeznaczonych do rozbiórki o zabitych deskami oknach. Uspokój się, mówiła do siebie. Zaczęła nucić piosenkę Sheryl Crow: „Odmiana, odmiana, odmiana dobrze ci zrobi...”.

Nagle znowu znalazła się na głównej ulicy, której jednak nie rozpoznała, a na światłach czekał Kieran. Serce aż jej podskoczyło z radości. Był tam, na swoim motorze, a za nim unosił się w powietrzu obłoczek spalin.

„Dama w kłopotcie... cóż za rzadki widok w dzisiejszych czasach”.

— Kieran! — krzyknęła. Nigdy, jak długo żyje, niczyj widok tak jej nie uradował. Usiądą razem w pubie, jak za starych, dobrych czasów, a wszystkie urazy pójdą w niepamięć.

— Kieran! — zawołała ponownie, on jednak jej nie usłyszał. Podbiegła i klepnęła go w skórzaną kurtkę na ramieniu. Podniósł szybkę kasku.

Cofnęła się o krok.

— Och, bardzo przepraszam.

*

Zanim Natalie doszła do domu, podjęła decyzję. Tym razem zrobi to naprawdę — spali za sobą wszystkie mosty, rzuci to wszystko w diabły. W poniedziałek złoży wymówienie; naprawdę ma już powyżej uszu całego tego cholerstwa. Gdy gnała po schodach, żeby zdążyć, zanim zgaśnie światło, i zgrabiętymi palcami szukała kluczy, myślała tylko o jednym: Zabieram się stąd. Pojadę do Londynu, już najwyższy czas wypisać się z tego całego bajzlu. Było nie było, moja mama robiła tak setki razy. Jestem bystra, poradzę sobie. Coś na pewno się nawinie.

Następnego ranka obudził ją dzwonek do drzwi. Owinęła się ręcznikiem i poszła otworzyć.

Na progu stał młody człowiek, krępy, mocno zbudowany. Ubrany w jakiś roboczy strój.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam — powiedział. — Jestem z gazowni. — Przeształ z nogi na nogę. — Nienawidzę tego. — Mówił z silnym akcentem z Yorkshire.

Odsunęła się od drzwi.

— Licznik jest tam.

— Nie — chrząknął. — Ja... ee... z przykrością muszę panią poinformować, że przyszedłem odłączyć pani gaz. Ma pani nie zapłacony rachunek.

Natalie wybałuszyła na niego oczy.

— Proszę, tu jest moja legitymacja. — Podsunął jej pod oczy kartę w pożółkłej folii, na której widniało jego zdjęcie, stanowisko służbowe: „Licencjonowany monter gazu” i nazwisko: C. TAYLOR. — Moje uprawnienia — dodał.

Nachyliła się, by móc przeczytać.

— Taylor. Skinął głową.

— Tak się nazywam. Colin Taylor.

Upłynęła chwila. Następnie Natalie, owijając się szczelniej ręcznikiem, wyciągnęła rękę na powitanie.

— Miło mi pana poznać — powiedziała.

Zdumiony postawił na ziemi swoją metalową skrzynkę z narzędziami i uściskał jej rękę.

— Proszę, niech pan wejdzie — zaprosiła go z czarującym uśmiechem.

Rozdział trzeci

Colin, przez przyjaciół pieszczotliwie nazywany Klocusiem, patrzył na świat z niewinną naiwnością. Łatwowierny, z natury pogodnie spoglądający na życie, z przerażeniem wysłuchiwał litanii okrucieństw i przemocy wygłaszanej przez radio, gdy przemierzał ulice miasta swoją roboczą furgonetką. Jak ludzie mogą być dla siebie tacy niedobrzy? Nie mieściło mu się to w głowie, bo na przekór wszystkiemu niezmiennie wierzył w przyrodzoną ludzkiej naturze dobroć. Żyjąc w przekonaniu, że ze strony innych nic złego spotkać go nie może, roztaczał wokół siebie urok sprawiający, iż nie pasował do dzisiejszego świata, a raczej do jakiejś innej epoki. Zupełnie jakby przez całe życie powinien zostać chłopcem.

I w pewnym sensie nim był. Przezwisko Klocuś świetnie do niego pasowało, gdy w ogrodniczkach, z puciołowatą twarzą małego chłopca, kołyszącym się krokiem, z otwartymi ramionami wychodził naprzeciw wszystkiemu, co życie miało mu do zaoferowania. Jeśli był to klaps, jako urodzony optymista otrząsał się i ruszał dalej. Duszę miał tak poczciwą, iż trudno było znaleźć choć jedną osobę, która by go nie kochała.

Najmocniej jednak kochała go matka. Mieszkał z nią przez całe życie, a ona chroniła go i strzegła jak lwica. Na imię miała Peggy i wywodziła się ze starego rodu ponurych i nie poddających się łatwo farmerów z Yorkshire, w mozolnym trudzie uprawiających niewdzięczną ziemię, co nie zostawiało im czasu na obnoszenie się z uczuciami.

Peggy jednak nosiła w sobie uczucia potężne, skoncentrowane całkowicie na jedynaku, którego Bóg jej zesłał w późnym wieku, gdy nadzieje na macierzyństwo zaczynały już w niej dogasać. Syn był dla niej prawdziwym cudem, choć zapewne prychnęłaby z oburzeniem, gdyby ktoś powiedział to wprost. Ojciec Colina zmarł już dawno. Mieszkali więc razem, matka z synem, na obrzeżach Leeds, w ponurej okolicy, gdzie deszcz niemiłosiernie tłukł o szare tynki budynków. Colin był jej promieniem słońca, jedyną miłością życia.

Colin miał już dwadzieścia pięć lat. Kumple nie raz zastanawiali się, czy wciąż jeszcze jest prawiczkiem. O żadnej dziewczynie nigdy nie słyszeli ani teraz, ani tym bardziej w przeszłości, jego samego zaś dziewczyny zdawały się w ogóle nie interesować. W pubie, gdy chłopaki zaśmiewali się ze sprośnych kawałów, on po prostu siedział z obojętnym wyrazem twarzy. Czasem, chcąc wykazać dobrą wolę, próbował się przyłączyć do ogólnej zabawy, nie bardzo

jednak miał pojęcie jak. A młodzieńcem był całkiem przystojnym — niezbyt wysokim, przysadzistym, o potężnych udach gracza rugby i ujmującym, promiennym uśmiechu rozświetlającym jego szeroką twarz. Wszyscy z radością przyjęliby, gdyby pozbył się wreszcie tej wełnianej czapki, Colin jednak, z natury lojalny, nosił ją z uporem godnym lepszej sprawy. Kiedy już raz się do czegoś przywiązał, wiele trzeba było, by to zmienić.

Ogólnie rzecz biorąc, dobry był z niego człowiek, więc dlatego tak serdecznie nie cierpiał swojej pracy. Wyuczył się zawodu montera gazowego, ale ostatnio dostał przeniesienie do działu odłączeń. Przeżywał prawdziwe katusze, gdy dzwonił do drzwi, wiedząc, że na jego widok uśmiech otwierającego szybko zniknie z twarzy... Na samą myśl o tym serce mu krwawiło. Jakąż ci biedacy popełniali zbrodnię? Zamordowali kogoś? Molestowali dziecko? Nie, po prostu nie mieli pieniędzy na zapłacenie rachunku.

Tamtego sobotniego poranka, gdy całe jego życie miało zmienić się tak diametralnie, Colin zdążył odwiedzić już dwa mieszkania: czarnej kobiety, która zalała się łzami, i staruszki, która po prostu zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Żałował, że nie został listonoszem. Tych przynajmniej na ogół witano z radością, czego nie był w stanie zmienić nawet fakt, że bywali dostarczycielami złych wieści. Wszyscy, z wyjątkiem psów, darzyli listonoszy sympatią.

Tak więc z ciężkim sercem Colin wdrapał się po schodach w Meadowview, dawnej kamienicy komunalnej, o wyjątkowo niezręcznie dobranej nazwie. Budynek parę lat wcześniej został nieco odnowiony i sprzedany, sąsiedztwo jednak nadal było siedliskiem biedy. Nieraz bywał tam przy okazji wypełniania przepelniających go smutkiem obowiązków. Nacisnął dzwonek do mieszkania numer 28.

Młoda kobieta, która otworzyła mu drzwi, nie wyglądała na zaskoczoną, ani też nie potraktowała go podejrzliwie. Niezmiernie rzadko mu się to zdarzało. Sądząc po stroju, a raczej jego braku, prawdopodobnie brała właśnie kąpiel.

Colin przestępując z nogi na nogę, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wyjaśnił, z czym przyszedł. Ona po prostu się odwróciła i zaprowadziła go do bojlera. Starał się omijać ją wzrokiem — w końcu miała na sobie tylko ręcznik — nie mógł jednak oprzeć się, by nie spojrzeć od czasu do czasu na jej ramiona. Były delikatne i szczupłe, o skórze pokrytej piegami jak u jaszczurki. Kłocus należał do nielicznych w Brytanii osób, którym udało się te stworzenia rozmnożyć w niewoli. Mógł się poszczycić wylęgowym rekordem: aż sześć jajeczek w minionym roku.

— Szczerze pani powiem, że wcale nie chcę tego robić — powiedział, zmierzając za Natalie do kuchni.

— Niech więc pan nie robi. — Znowu posłała mu uśmiech.

Poczuł dziwny skurcz w żołądku. — Napijmy się herbaty i po prostu zapomnijmy o wszystkim.

Poprawiła spowijający ją ręcznik — wyglądał, jakby lada chwila miał się z niej zsunąć. Colin poczuł, że na twarz wypływa mu rumieniec. Biedactwo, na pewno kona z zimna. Wyciągnął narzędzia.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedział ze smutkiem.

— W żaden sposób nie da się pan od tego odwieść?

Z poczerwieniałą twarzą wyłączył bojler (Potterton Suprema, 40 000 BTU).

— I tak przysłaliby kogoś innego, a panią obciążyli dodatkowymi kosztami za odłączenie.

— Jeszcze mi każą za to płacić? Wspaniale. — Kran zasyczał, gdy napełniała czajnik wodą. — Cóż, w takim razie wolę, żeby pan to zrobił.

Zakręcił główny zawór gazu, po czym wyjaśnił jej całą procedurę: gdy ureguluje zaległości, będzie musiała się umówić na ponowne podłączenie, za co również zostanie pobrana opłata.

— To rozbój w biały dzień — dodał na koniec. — Kompletny bezsens.

Dobiegł go szcęk naczyń. Czyżby robiła to wszystko jedną ręką?

— Wszystko przez to, że jestem splukana — powiedziała. Wyciągnął klucz.

— Guzik ich to obchodzi, ważniaków...

— Nie przejmują się, że mogą zamarznąć na śmierć...

— Zwykłych ludzi mają po prostu gdzieś...

— Takich jak pan i ja. Cukru?

— Poproszę, dwie kostki.

Napał całym swoim ciężarem na klucz, ale przekłete złącze nie chciało się ruszyć.

— W NT, gdzie pracuję... słyszał pan o nich? — spytała. — Oni nawet nie wysyłają upomnienia. Od razu przysyłają ostateczne wezwanie do zapłaty i jeśli klient nie zapłaci w ciągu siedmiu dni, po prostu go odłączają. Tak po prostu. Pieprzone dranie. Wzdrygnął się, słysząc jej język.

— Skąd ja to znam? — powiedział. — Ze mną było tak samo i cała skrzynia żółwi zdechła.

— Żółwi?

Rurka nareszcie puściła i mógł ją zaślepić.

— Facet na lotnisku próbował się ze mną skontaktować, ale nie mógł się dodzwonić. — Usiadł ciężko przy stole. Natalie podsunęła mu kubek z herbatą. — Znają mnie, chłopaki z cła w Manchesterze wiedzą, że umiem sobie z nimi radzić. — Zgarnął na kupkę okruszki. — Nie lubię się przechwalać, ale jestem swojego rodzaju ekspertem. Myślę, że to dlatego, że je lubię, a one lubią mnie.

— Kto taki?

— Żółwie.

Spojrzał na nią z posmutniałą twarzą.

— Nie wolno ich importować, to nielegalne, ale czasem zdarzają się skrzynie. Przycho-
dzą z Turcji i różnych takich miejsc i moi kumple z cła wyczuwają pismo nosem...

— Raczej żółwie...

Do oczu napłynęły mu łzy.

— Są w strasznym stanie, połowa na ogół już nie żyje. Są odwodnione, zagłodzone. Rok temu w lecie przyszła skrzynia, pięćdziesiąt cztery żółwie Hermanna, takie piękne stworzenia...
— Głos mu się załamał. — Tylko siedem zareagowało na reanimację.

Spoglądała na niego.

— To straszne.

— Morderstwo z zimną krwią. Inaczej nie da się tego nazwać. Jak ludzie mogą być tacy okrutni? — Wytarł nos.

— Bardzo lubię żółwie — powiedziała Natalie.

— Naprawdę? Skinęła głową.

— Uwielbiam je. Mają takie słodkie skorupki i mordki. I są takie... powolne. Prawdę mówiąc, kocham wszystkie takie zwierzaki.

— Ma pani na myśli gady? Przytaknęła.

— Wprost je uwielbiam.

— I jaszczurki? Znowu skinęła głową.

— Węże?

Kolejne skinienie. Wyszło słońce i załało swoim blaskiem kuchnię.

Patrzył na nią z zachwytem.

— A płązy?

— Słucham?

— Żaby i ropuchy?

— Je także.

Jej lśniące, kręcone włosy połyskiwały w słońcu. Miały kolor puddingu z melasy jego matki. Ze zdumieniem stwierdził, że jest naprawdę bardzo ładna.

— Nigdy w życiu nie spotkałem dziewczyny, która lubiłaby żaby i ropuchy. — Urwał podekscytowany. — Także je hoduję.

— A gdzie je pan trzyma?

— W domu.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i wypuściła dym. Colin zakaszłał. W zapadłej nagle ciszy usypał z okruszków kolejną kupkę. Myślał sobie: siedzę tu z prawie nagą młodą kobietą. Poczul ogarniającą go panikę i wstał od stołu.

— P-p-powinienem się już chyba zbierać. — W takich chwilach zawsze się jąkał. Co nie oznacza, że zdarzało się to często. — Tylko proszę pamiętać, że z kuchenki także nie może pani korzystać...

— Czy mogłabym je obejrzeć? Wybałuszył na nią oczy.

— Kogo obejrzeć?

— Pańskie żaby, ropuchy i całą resztę?

Colinowi ze zdumienia opadła szczeka. Patrzył na siedzącą przy stole Natalie. Ręcznik związała sobie w węzeł na piersiach, więc obie ręce miała wolne. Strzepnęła popiół na spodeczek i uśmiechnęła się do niego.

— Chciałaby je pani zobaczyć? — zapytał głupkowato.

Skinęła potakująco głową. Ręcznik miała związany dosyć nisko, mógł więc zauważyć, że piegi pokrywają także jej dekolt. Czy wszystkie kobiety są takie piegowe? Jego doświadczenie w tej kwestii było minimalne, w zasadzie ograniczało się wyłącznie do dziewczyn w kostiumach kąpielowych, które spotykał na basenie. Spoglądała na niego jasnymi oczami, najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

Zebrał się w sobie.

— M-m-może wpadłaby pani do nas na podwieczorek — zaproponował. — Jak ją uprzędę, mama upiecze ciasto.

— Kim ona jest? Czego chce?

— Chce zobaczyć moje gady, mamó. Strasznie je lubi.

Matka posłała mu jedno ze swoich wymownych spojrzeń. Jej twarz nie miała przed nim żadnych tajemnic: na ogół ponura i zacięta, czasem zmieniała się jak pogoda, przesłaniała ją chmura lub — co zdarzało się znacznie rzadziej — rozświeślało słońce, rzucając cień lub słoneczny blask na poza tym niezmiennie jak skała oblicze.

— Powiedziałem, że upieczesz jeden z tych swoich biszkoptów — dodał.

Colin oddany był matce bez reszty. Sama myśl o jej śmierci, która niechybnie kiedyś musi nadejść, przepełniała go nieopanowanym strachem. Byli nawzajem dla siebie wszystkim, znali się na wylot. By zasłużyć sobie na jej uznanie, bez wahania rzuciłby się w ogień. Och, wiedział, że kocha go bezgranicznie, czasem jednak trudno było mu ją zadowolić. Życie nigdy Peggy nie oszczędzało, mąż i siostry odchodzili jedno po drugim. Teraz zostało tylko ich dwoje, kurczowo walczących o przetrwanie.

Przyglądał się, jak matka otwiera drzwi do spizarni. Poruszała się wolno, gdyż cierpiała na zwyrodnienie stawów, wiedział jednak, że nie należy jej pomagać. Postawiła na stole miskę i wymieszała w niej masło z mąką. Kłkcie miała bardzo spuchnięte i widać było, że praca idzie jej dużo wolniej niż zwykle. Kiedy tak patrzył, jak sztywno siedzi, zrozumiał, że tym razem dzieje się coś szczególnego. Już czuł rozluźniające się łączące ich dotąd więzi.

— Nie stój jak ten kołek — burknęła matka. — Idź do sklepu i kup mi trochę cytryn. — Wzięła garść mąki i przesypała ją przez palce. Robiła to z wyjątkowym wdziękiem. — Dobry chłopiec.

Nadeszła niedziela. Natalie miała zjawić się o czwartej. Na dworze rozszalała się burza. Stojący przed sąsiednim domem skuter upadł, kawałek plastikowej osłony odłamał się i miotał targany wiatrem, Colin postawił go z powrotem na nóżce, nie przestając zamartwiać się o Natalie. Wyobrażał sobie, jak jej szczupłe ciało musi marznąć w nie ogrzonym mieszkaniu. Wciąż miał ją przed oczami, niemal naga. Jak też wyglądała w ubraniu? Przez prawie cały czas nie podnosił wzroku i teraz z trudem przypominał sobie jej twarz.

Colin włożył kraciatą koszulę, świeżo wyprasowaną przez matkę, i czyste dzinsy. Czekając na Natalie, spoglądał na swoją ulicę tak, jak zapewne ona na nią popatrzy: zabite deskami okna, samotne drzewo z uczepionym gałęzi workiem na śmieci. Domy wydawały się mniejsze, niż były w rzeczywistości, z powodu ciągnących się za nimi ogromnych słupów wysokiego napięcia. Poza fruującymi strzępami śmieci na ulicy panował martwy bezruch, Rowton Creston

zapadła w niedzielne odrętwienie. Gdzie się podziały wszystkie dzieci? Colin tu dorastał, jako dziecko bawił się na ulicy z bandą kumpli. W dzisiejszych czasach dzieci przepadły gdzieś jak czajki na wyżynnych łąkach.

Nagle ogarnęła go przemożna chęć posiadania swoich dzieci. Tęsknił za nimi, pragnął zostać ojcem i sznurować ich małe buciki.

— Wracaj do środka, przeziębisz się tam na śmierć! — krzyknęła z głębi domu matka.

Udał, że nie słyszy — taki mały bunt. Było już dziesięć po czwartej. Rozejrzał się po ulicy. Jak Natalie przyjedzie? Samochodem? Czy też raczej autobusem, na którym nigdy nie można było polegać i który zatrzymywał się przy głównej ulicy, odległej o sześć przecznic? Powinien był zaproponować, że po nią pojedzie, przecież tak się właśnie ludzie zachowują.

Zresztą ona i tak nie przyjdzie. Cały ten pomysł był naciągany. Natalie była urojeniem, mrzonką zrodzoną we wczorajszym blasku słońca. Tak naprawdę wcale nie istniała, więc nie może się zjawić. Zresztą niby dlaczego taka kobieta jak ona miałaby ochotę na podwieczorek w jego towarzystwie?

I wtedy usłyszał: tatam, tatam ryczącego w samochodzie radia. Dudnienie było coraz lepiej słyszalne, zbliżało się wraz z nadciągającą ulicą srebrną hondą. Samochód zahamował z piskiem tuż przed nim.

Wysiadła z niego Natalie. Serce podskoczyło Colinowi do gardła. Jakże pięknie wyglądała! Na dodatek w ubraniu zupełnie inaczej. W mieszkaniu ocenił ją na jakieś trzydzieści lat. A przynajmniej na osóbkę z ogromnym doświadczeniem. Dzisiaj przypominała raczej młodą dziewczynę wybierającą się na przyjęcie urodzinowe — w zapiętym pod szyję płaszczu i aksamitnej przepasce na włosach.

Weszli do środka i Colin pomógł jej zdjąć płaszcz. Pod nim miała bladoniebieski zapinany sweter. Spojrzał na rysującą się pod nim wypukłość piersi i zamknął oczy. Z pokoju wyszła jego matka.

— Dzień dobry pani. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. — Natalie uścisnęła Peggy dłoń. — Jaki śliczny dom!

Nastąpiła chwila ciszy. Nagle w tym towarzystwie Colin poczuł się jako mężczyzna dziwnie niezręcznie. Nawet jego matka pachniała jakimiś perfumami, a może po prostu spryskała czymś przedpokój. Gdy mieli się zjawić goście, matce zaczynał przeszkadzać zapach unoszący się w domu, zapach, którego Colin nigdy nie zauważał.

Natalie przekrzywiła głowę, wsłuchując się w coś.

— Czy to dzwoni telefon? — spytała, marszcząc czoło.

— Och — uśmiechnął się Colin. — To świerszcze.

— Świerszcze?

— Karmię nimi jaszczurki.

— Ach, rozumiem — roześmiała się. — Brzmiały jak te wibrujące telefony, prawda? — Zwróciła się do jego matki: — Pracuję w firmie telekomunikacyjnej.

Skromnie, oto właściwe słowo. Wyglądała skromnie, czysto i grzecznie. Nie tego Colin oczekiwał, pamiętając ich pierwsze spotkanie, no ale w końcu kobiety to istoty zmienne. Nigdy nie wiadomo, czego się można po nich spodziewać.

Spoglądała na wiszący na ścianie talerz.

— Och, proszę pani, jakie to śliczne — powiedziała. — Przywiozła to sobie pani z wakacji?

— My nie jeździmy na wakacje — odparła jego matka. — Wkrótce przekona się pani dlaczego.

— Najpierw zwiedzanie czy podwieczorek? — spytał Colin.

— Podwieczorek. — Natalie uśmiechnęła się do jego matki. — Słyszałam, że pani wspólnie gotuje. A ja mogłabym zjeść wołu.

Matka Colina chyba zaczynała powoli przekonywać się do Natalie, ale oznaki tego były ledwo zauważalne. Z lodowatym wyrazem twarzy przyglądała się, jak Natalie nakładała sobie trzeci kawałek ciasta.

— Mmm — powiedziała, rozkoszując się jego smakiem. — Szkoda, że nie umiem piec. — Spojrzała przelotnie na Colina. — Zresztą teraz to niemożliwe, nawet gdybym chciała.

— On nie cierpi odłączać ludzi — zauważyła Peggy. — To nie leży w jego naturze.

— Och, zresztą ja i tak nie zamierzam zostać tu długo. Colin zadrżał.

— Dokąd się wybierasz?

— Nienawidzę miasta. — Natalie mówiła teraz do jego matki. — Chciałabym przeprowadzić się na wieś. Uwielbiam wieś — no, wie pani, zwierzęta i kwiaty — tam chciałabym naprawdę mieszkać. Poza tym miasto to nie miejsce dla dzieci.

— Dzieci? — zdziwiła się Peggy.

— No, cóż, któregoś dnia... — Natalie napiła się herbaty.

Po tej przelotnej chwili melancholii Natalie ożywiła się. Z rękami złożonymi na kolanach zaczęła wypytywać panią Taylor o dzieciństwo Colina.

— Jaki on był?

— Złote dziecko, zawsze troszczył się o najsłabszych z ulicy.

Teraz chciała dowiedzieć się czegoś o mężu pani Taylor. Był zgorzkniałym człowiekiem, który stracił swoją farmę, i głęboko nieszczęśliwy pracował w dziale zaopatrzenia kolei. Lecz tego jej Peggy nie powiedziała.

— Dobry był z niego człowiek — stwierdziła tylko.

Natalie zaoferowała pomoc przy zmywaniu, ale Peggy się nie zgodziła.

— Coś mi się zdaje, że przypadłaś jej do gustu — szepnął Colin, gdy oboje z Natalie wychodzili z pokoju.

Zdumiewała go łącząca ich zażyłość. Nie dalej jak wczoraj rano nie miał nawet pojęcia o istnieniu Natalie. Pojawiła się znienacka i od razu zaistniała w jego życiu, pochłaniając ogromne ilości cytrynowego biszkoptu jego matki i interesując się rzeczami, na które on po piętnastu latach życia w tym miejscu przestał zwracać uwagę. Tryskała niespożytą energią, dom zdawał się tętnić jej obecnością. Colin miał wrażenie, jak gdyby całe jego życie było drzemką, z której teraz został nagle i gwałtownie wyrwany.

Poprowadził ją na górę, do swojej sypialni. Zewsząd dochodziło cykanie świerszczy, tutaj znacznie głośniejsze.

— Zupełnie jak zagranicą! — zachwyciła się Natalie. — Na przykład w Club Med.

— Club Med?

— Och, gdzieś, gdzie jest ciepło i słonecznie. Gdziekolwiek, tylko nie w Leeds.

Półka wypełniona była pojemnikami na jajka. Mieszkały w nich świerszcze, do chwili, gdy trzeba je było wpuścić do terrariów. Colin wskazał na akwarium.

— Tu mieszka żaba. Ma rumień na łapie, to bardzo poważna infekcja wirusowa.

Wszędzie na podłodze stały kojce wypełnione słomą. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zajmują aż tyle miejsca.

— To mój oddział intensywnej terapii — powiedział. — Mam tu dwa żółwie, *testudo graeca*, z połamanymi skorupami.

— Lubisz ratować, prawda?

— A tu jest bardzo chora jaszczurka. Natalie próbowała dojrzeć coś w stercie siana.

— Gdzie?

— Lepiej zostawić ją w spokoju.

Nagle zobaczył pokój oczami Natalie. Przez te wszystkie lata przywykł przedzierać się do łazienki pomiędzy tymi wszystkimi kojcami, teraz jednak uświadomił sobie, że osobie postronnej może się to wydać prawdziwym koszmarem. Nagle też uzmysłowił sobie panujący tu zaduch.

— Mama się wścieka, ale to chwilowe, do czasu, aż wybuduję następną szopę.

— Masz tego więcej?

— O, tak — powiedział z dumą. — Tutaj są tylko inwalidzi. — Sprowadził ją na dół. — Najbardziej chciałbym mieć pytona.

— Pytona?

— Pytony to świetne zwierzaki. Tylko nie mam pieniędzy, przynajmniej na razie. — Zachichotał. — Musiałbym zaciągnąć hipotekę, żeby sobie takiego kupić.

Gdy otwierał drzwi, ogarnęła go wielka chęć, którą jednak zdusił w sobie, by wziąć ją za rękę. Lecz mając ją u swego boku, przystanął, by objąć wzrokiem swoje włości. Robiły wrażenie, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Z jednej strony ogrodu mieściły się różnej wielkości szopy, z drugiej w ogromnej sadzawce odbijało się ciemniejące niebo. Poprowadził ją ku niej. Jej obrzeża były błotniste i przy każdym kroku spod butów Natalie dobywał się cichy, mlaskający odgłos.

Wskazał na wodę.

— Tam mieszkają twoi przyjaciele.

— Jacy przyjaciele?

— Żaby i ropuchy. I traszki, wszystkie trzy gatunki — zwykłe, palczaste i większe grzebieniaste. *Triturus cristatus*.

Nie podchodząc zbyt blisko, patrzyła zdezorientowana.

— Gdzie one są?

— Zapadły w zimowy sen.

Nagle opuściła go cała pewność siebie. Popołudnie okazało się niewypałem, wszystko to było ponad jego siły. Natalie stała obok, dygocząc z zimna. Zaprowadził ją do największej szopy.

— Tu jest ciepło i przyjemnie — powiedziała.

— Każda szopka ma swój własny klimat — tropikalny, pustynny, umiarkowany. — Pokazał na elektryczny grzejnik. — Termostat utrzymuje stałą temperaturę, 30 stopni.

— Ha — prychnęła. — Niektórzy to mają szczęście.

— Wybacz...

— Nic się nie stało. Co tu trzymasz?

Szopa była jego największą dumą i radością. Zamontował w niej ultrafioletowe światła z czasowymi wyłącznikami. Wisiały uciepione u sufitu, oświetlając rzędy terrariów. W każdym mieściła się miniaturowa piaszczysta pustynia, mikroświat z artystycznie ułożonymi kamieniami i gałązkami. Zza jednej skały wystawał ogon.

— To sudańska jaszczurka plamista. — Wskazał na inny pojemnik. — A tu jest kilka berberyjskich, pod tymi liśćmi...

— Chryste! Co to jest? — Natalie patrzyła z przerażeniem na talerz, którego zawartość się poruszała.

— Larwy mącznika. To ich podwieczorek.

— Jedzą robaki?

— Nie, robaki są bielsze i bardziej miękkie...

— Dobrze już, dobrze — przerwała mu.

Podprowadził ją do następnego akwarium, w którym na piasku wylegiwał się skórzany bicz. Koniec ogona miał zanurzony w pojemniku z wodą jak paluszek gwiazdki filmowej w basenie. W obecności Natalie takie skojarzenia same mu się nasuwały. Podniósł pokrywę i wyjął stworzenie. Natalie wrzasnęła.

— Co to jest?

— Mój pończosznic — odparł. — Nie bój się, jest łagodny jak baranek. Chcesz go potrzymać?

Z gardła przyciśniętej do ściany Natalie wydobył się przytłumiony dźwięk.

— Pogłaszcz go chociaż po głowie — nalegał Colin. Wyciągnęła drżący palec, zawahała się i cofnęła rękę.

— Wybacz — powiedziała. — Lubię węże, tylko nie te małe. Zapomniałam ci powiedzieć.

— Nie ma sprawy. Poczekamy z tym, aż sprawię sobie pytona.

Umilkli. Panujące w szopie gorąco zapierało dech w piersiach. Colin doznał uczucia porażki. Jego kolekcja gadów najwyraźniej ją rozczarowała. W sumie teraz, w jej obecności, jego także. Dzisiaj wszyscy jego podopieczni gdzieś się pochowali, posnęli snem zimowym albo zwyczajnie siedzieli otępiali pod działaniem antybiotyków. Colin czuł się jak ojciec, który najbardziej ze wszystkiego chciał się pochwalić swoimi dziećmi, podczas gdy one jak na złość

siedziały naburmuszone. No, dalej, powyłażcie spod tych kamieni, ponaglał stworzenia w myślach. Pokażcie, co umiecie! Natalie zaczęłaby z zachwytem klaskać w ręce i jej zachwyty dorównałby jego. Przyszła tutaj zdeklarowana gadzia miłośniczka, a te bestie nie potrafiły wykorzystać okazji.

Uznał, że nie ma sensu pokazywać jej pozostałych szop. Wyszli na dwór, na przejmująco zimny wiatr. W ogrodzie było już ciemno, lecz padające z kuchennego okna światło kładło się blaskiem na jej twarzy.

— Och, Colin, to było naprawdę wspaniałe!

Sposób, w jaki wypowiedziała jego imię, sprawił, że serce w nim stopniało. I właśnie tam, na wprost kuchennego okna, przyciągnęła go do siebie i ucałowała w policzek.

Pod Colinem ugięły się kolana. Nagle wszystko było w porządku.

Wieczór, który nadszedł, był w życiu Colina epokowym wydarzeniem. Powążył się na coś, co aż do tego weekendu uważał za rzecz nie do pomyślenia. Uczynek ten przeniósł go w zupełnie inny świat, który zamieszkiwali ludzie łamiący prawo. Od tej pory na zawsze już stał się kimś innym. W oczach świata nie było to może nic wielkiego, inaczej niż dla niego, który dotąd niczym nie zbrukał swego sumienia.

Pojechał swoją furgonetką do mieszkania Natalie. Była dziewiąta wieczorem i wychodząc, zostawił matkę podzemującą przed telewizorem. Hall Road dojechał do Leeds, minął centrum i przejechawszy rzekę, skierował się na południe, gdzie wieżowce wznosiły się na tle wygwieżdzonego nieba. Colin rozkoszował się wieczorem, czuł się rześki i podekscytowany.

Domofon w Meadowview był zepsuty, a drzwi wejściowe stały lekko uchylone. Colin wszedł po schodach. Gdy Natalie otworzyła mu drzwi — była wyraźnie zaskoczona, czego w zasadzie należało się spodziewać — z głębi mieszkania dochodziła końcowa muzyka programu, który jego mama oglądała, gdy wychodził z domu. Colinowi wydało się niewiarygodne, że ten sam quiz trwał przez cały czas potrzebny mu do pokonania takiej odległości, przez wąwóz oddzielający jego dotychczasowe życie od tego, które rozpoczęło się wraz z poznaniem Natalie.

Natalie musiała chyba dopiero co umyć włosy, bo tym razem ręcznikiem miała owiniętą głowę. Ubrana była w skąpą czarną bluzeczkę i getry połyskliwe niczym skóra foki. Roztaczając wokół siebie egzotyczny zapach, znowu jawiła mu się jako zupełnie nowa osoba.

— Przeszedłem podłączyć ci gaz — powiedział, śmiało przekraczając próg. — Pieprzyć ich wszystkich. — Normalnie nie przeklinał, ale co tam, pieprzyć ich.

Stała za nim, gdy otwierał drzwiczki, za którymi mieścił się bojler.

— Rycerz w lśniącej zbroi — powiedziała. — Dzisiaj to taki rzadki widok.

— Mam ich wszystkich gdzieś. — Sprawdził szczelność instalacji. — Nie powinienem tego robić — mruknął ponuro. Delikatnie powiedziane. Za pomocą klucza ściągnął zaślepkę i ponownie złączył rury. Dla kogoś znającego się na rzeczy było to banalnie proste. Zlikwidował skutki swojej wczorajszej operacji, zupełnie jak gdyby zakochany nagle człowiek wymyślił sobie, że dobrze byłoby przeprowadzić zabieg odwrotny do wazektomii. Serce w nim pęczyło, gdy nakrecał mutrę.

Usłyszał pyknięcie otwieranego korka. Przykucnął i zapalką zapalił płomynek kontrolny. On także pyknął, choć znacznie bardziej dyskretnie.

— Proszę bardzo — powiedział, prostując się. — Wszystko wróciło do normy. — Sam jednak odczuwał coś wręcz przeciwnego.

— Colin, jesteś boski.

Odwrócił się. Natalie nalewała do dwóch kieliszków wino.

— W pracy nigdy nie piję — powiedział.

— Ale teraz nie jesteś w pracy. — Spojrzała na niego. Mokry kosmyk wyslizgnał się jej spod turbanu i leżał przyklejony do czoła jak znak zapytania. — Przecież nie na tym chyba polegają twoje obowiązki?

Stali wsłuchani w mruczenie budzącego się do życia bojlera.

— Chcesz, ż-ż-żebym podkręcił termostat? — wykrztusił.

— Chodź tutaj. — Wysunęła się zza stołu. — Wiesz co, Colin? — Zaśmiała się zmysłowo. — Mnie już podkręciłeś.

Colin z hukiem zamknął swoją skrzynkę na narzędzia.

— Pora na mnie — wymamrotał i przemykając obok niej, ruszył do przedpokoju. — Nie musisz mnie odprowadzać.

Pędem pokonał schody. Na zewnątrz w bramie stała grupka skulonych chłopaków, spowita obłokami dziwnie pachnącego dymu. Colin posłał im promienny uśmiech. Z nich także nic dobrego nie będzie. Od dzisiaj Colin należał do przestępczego świata, pełnego niebezpieczeństw, a wszystko tylko dlatego, że się zakochał.

„Cześć, nie ma mnie w tej chwili, ale zostaw wiadomość”.

Przez trzy dni z rzędu Colin, zdjęty tchórzem, odkładał słuchawkę. Jej głos brzmiał tak lekko. Wydawało mu się, że w ten sposób może zwracać się do każdego poza nim. Natalie na pewno ma miliony przyjaciół, prowadzi bardzo intensywne życie towarzyskie. Grali w innej

lidze. Ona była aniołem, jak więc mógł marzyć, że jest godny dotknąć choćby rąbka jej sukienki?

A potem przypomniał sobie jej uśmiech i słowa: „Mnie już podkręciłeś”. Zaproszenie było aż nadto jednoznaczne. Czy chciała mu się tylko odwdziaczyć za podłączenie gazu?

Colin przeżywał koszmar. Nie miał nikogo, kogo mógłby się poradzić. Matkę z góry wykluczył. Ilekroć padało imię Natalie, w jej oczach pojawiał się złowieszczy błysk. Z kumplami także nie mógł pogadać, wiedział bowiem, że ich niewybredne żarty jak taran przetoczyłyby się po przepelniających go, wzniosłych, nieziemskich uczuciach. Długie godziny spędzał w swoich szopach, spoglądając na rzędy terrariów. Skapane w blasku lamp były miniaturą ciepła domowego ogniska: jego dwie jaszczurki o błękitnych języczkach wylegiwały się jedna przy drugiej, opalając w ciepłe lampy; pończoszki splecione ze sobą tak mocno, że nie sposób było odgadnąć, gdzie zaczyna się jeden, a kończy drugi. Ta ich bliskość drażniła go. Leżały bez ruchu, wysuwając tam i z powrotem języczki z pyszczków. Od ostatniej niedzieli nie potrafił odnaleźć uczucia zadowolenia, które dawniej odczuwał, obcując z nimi. Przestały go zadowalać, nadawać sens jego życiu.

W czwartkowy wieczór Colin raz jeszcze zebrał się na odwagę. W końcu zdarzało mu się już kilka razy dzwonić do dziewczyn. Do Hannah jakiejś-tam, poznanej na wspinaczkowym weekendzie. Kilka razy nawet się umówili. Z koleżankami z klasy trzymał się za rękę, czasem nawet z niektórymi całował się w cieniu przystanków autobusowych. Były to ostrożne, rozpoznawcze kroki, które — choć poruszające — jakoś nie przybliżały go do nich, a nawet czyniły je jeszcze większą zagadką. Dwukrotnie nawet posunął się aż do samego końca, lecz za każdym razem przeżył głębokie rozczarowanie, gdyż obydwie dziewczyny, oddając mu się w stanie kompletnego upojenia alkoholowego, po fakcie nie potrafiły sobie niczego przypomnieć. Nie, nie był takim kompletnym nowicjuszem. Był po prostu nieśmiały. Poza tym miał tyle innych rzeczy do roboty. Skąd ludzie biorą na to czas? No i była jeszcze mama.

Tym razem Natalie odebrała telefon.

— Myślałam, że cię wystraszyłam.

— Chciałabyś się wybrać ze mną na spacer do Dales? — Powiedział to tak po prostu, jak najodważniejszy na świecie facet. Po jąkanii nie było nawet śladu.

— Z przyjemnością — odparła. — Uwielbiam spacerować.

Umówili się na niedzielę.

Do końca życia Colin pamiętał ten dzień. U schyłku życia wspominał go jako jedną z tych chwil nie zmaconej niczym szczęśliwości. Nic, co się później stało — żadna z tych strasznych rzeczy — nie było w stanie zepsuć mu tych wspomnień.

Był rześki, słoneczny dzień w połowie grudnia. Skały rzucały ostre jak brzytwa cienie. Uwielbiał skały, ich rdzawoczerwone zabarwienie z czarnymi plamkami, wyrzynające się spod cienkiej powłoki torfu. Uwielbiał je nawet, gdy znajdowały się ukryte tuż pod jego stopami. Wyruszyli z Pateley Bridge, kierując się w stronę Brown Bank Head. Wszędzie wokół nich rozpościerały się wielkie łaty wrzosu, ciemne jak cień chmury. Natalie, w futrzanym płaszczu i botkach, dreptała za nim. Gdy wspinali się na wzgórze, gąbczasta trawa sprężyste reagowała na każdy ich krok. Natalie wsunęła swoją rękę w jego dłoń, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

— Zgubmy się! — zawołała.

— Ze mną się nie zgubisz — odparł z dumą. — Znam te wrzosowiska jak własną kieszeń.

— Nie, zgubmy się i nigdy już nie wracajmy do domu. — Jej słowa porwał wiatr.

— Ze mną będziesz bezpieczna.

— Jesteś taki kochany. Nawet nie wiesz, jacy wredni potrafią być inni mężczyźni. Kłamliwe dranie o moralności skunksa.

— Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby cię skrzywdzić! wybuchnął. Śnieg ostatnio trochę się stopił i musiał ją podtrzymać, gdy poślizgnęła się na mokrej trawie.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie rzeczy opowiadają...

— Przeskoczyła pokrytą cieniutką warstewką lodu kałużę. — Takie rzeczy, że człowiek może... — Jej słowa zagłuszył powiew wiatru.

— Mnie możesz zaufać.

Zmęczyła się. Przystanęła i oparta o skalną ścianę łapała oddech. Jej kochany nosek poczerwieniał z zimna. Colin, silny, doświadczony mężczyzna, czekał cierpliwie. Znajdowali się na płaskowyżu ponurym jak tundra, porośniętym wyblakłą trawą, połyskującą słabo w zimowym słońcu.

— Uwielbiam to miejsce — powiedział. — Ludzie wybierają się do Pennine Way, Haworth, jeżdżą na rowerach, urządzają pikniki i Bóg wie co jeszcze, ale tutaj... tutaj mam wrażenie, jakby poza mną nie było nikogo na świecie.

— Ja tu jestem.

I wtedy właśnie go pocałowała, prosto w usta. Nos miała zimny jak lód, ale jakże ciepłe wargi i jakże rozkosznie wilgotny język, gdy poczuł go w swoich ustach! Drżąc, Colin wziął ją w ramiona. Odwzajemnił jej pocałunek, z początku nieśmiało, ale po chwili z coraz większą namiętnością.

Obejmowali się bez słowa. Natalie wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Gładząc ją po głowie, bał się, że wybuchnie płaczem. Podniósł głowę i spojrział w niebo. Nad nimi leniwie krążył ptak.

— Popatrz! — wykrzyknął Colin, pokazując w górę.

Nie wyswobadzając się z jego ramion, Natalie podążyła za Jego wzrokiem.

— Mówisz o samolocie?

— Nie, tam jest błotniak. — Teraz wskazywał gdzie indziej.

— A tam jest pustułka, patrz! Poluje, zaraz zacznie pikować. Lecz Natalie patrzyła na lecący wysoko samolot.

— Tylko pomyśl... Floryda, Nowy Jork... — Samolot wleciał w słońce i na chwilę przykrył ich cień. — Ciekawe, dokąd lecą, szczęściarze. — Chwyciła go gwałtownie za ramiona. — Nie masz ochoty się stąd wyrwać?

— Ale przecież tu jest pięknie...

— Nie stąd, z Leeds, uciec od nudnej pracy, braku forsy, harowania na jakichś idiotów... — Westchnęła. — Och, ja już nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie zacznę żyć naprawdę.

Odważnie dotknął ręką jej policzka.

— Już zaczęłaś.

Tego wieczoru zaprowadziła go do swojej sypialni. W pokoju, nagrzanym przez nielegalne ciepło, panowała gorąca duchota. Na spodeczkach stały trzy świeczki, które Natalie zapaliła po kolei, jedną po drugiej. Colin stał, a ona rozsunęła zamek w jego kurtce i delikatnie, z wprawą zdjęła z niego całe ubranie. Czuł się dziwnie zmieszany. Ten dzień istniał w jakimś własnym wymiarze, niezwiązany z drobnymi kłopotami i przykrościami jego normalnego życia.

— Muszę ci coś powiedzieć — odezwał się.

— Jesteś gejem — uśmiechnęła się. — Albo masz żonę. Potrząsnął głową.

— Nie, tylko... — Cóż mógł rzec? Że jego doświadczenie jest skromne?

Zaczęła muskać ustami jego piersi, jednocześnie zwinnie wyslizgując się z własnych ubrań. Zsuwała nogawkę z jednej nogi pomagając sobie stopą drugiej.

— Chodź do łóżka — szepnęła, zdejmując przez głowę podkoszulek. Pod nim nie miała nic.

Stał jak oczarowany, wpatrując się w jej połyskującą w blasku świec skórę. Zafascynowany wyciągnął ręce i ujął jej piersi. Były drobne i jędrne, czuł dotyk jej twardych sutków na skórze dłoni.

Choć był podniecony, nie miał ochoty się poruszyć. Pragnął, aby ta chwila trwała wiecznie.

— Chodź — szepnęła. Odsunęła się od niego i wślizgnąwszy się pod kołdrę, wyciągnęła zapraszającym gestem rękę. — Chodź do mnie.

„Zdarza się, że jaszczurki mają kłopoty ze zmianą skóry. Trzeba je wtedy umieścić w pojemniku z gęsto zasadzoną trzykrotką i jak najczęściej zmieniać wodę. Wtedy prawdopodobnie, w gęstwinie roślin i korzeni, skutecznie pozbędą się starej skóry.

Jeżeli podobne problemy mają węże, należy zanurzyć je na kilka godzin w kąpieli z letniej wody. Koniecznie trzeba dopilnować, aby ich nozdrza miały swobodny dostęp do powietrza. Słabych lub wychłodzonych zwierząt nie powinno się poddawać takim zabiegom. Równie korzystne rezultaty przynosi nacieranie skóry oliwą z wątroby dorsza lub jakąkolwiek inną. Skóra wówczas staje się miękka i łatwiej ją usunąć. Lecz należy czynić to ostrożnie, zwłaszcza w okolicach głowy i oczu”.

Tej nocy Colin zrzucił z siebie całą swoją przeszłość. Wyszedł z niej jak ze starej skóry w nowe życie.

Termin ślubu został ustalony na styczeń. Zdarzenia następowały po sobie z prędkością zapierającą Colinowi dech w piersiach. Natalie wzięła wszystko w swoje ręce, zamawiając uroczystość w magistracie i przyjęcie weselne w restauracji czyjegoś wujka, wzięła też kredyt hipoteczny (sto procent) na dom (z pełnym wyposażeniem) w nowej dzielnicy przy Selby Road.

Colin miał wrażenie, że wszystko to mu się śni. Upojony miłością, ociążony od spełnionego pożądanego, dawał się nieść prądowi. Z utęsknieniem wyczekiwał nocy, gdy cały świat się zamykał, a on mógł trzymać Natalie w objęciach pod jej pasiastą kołdrą.

A więc to właśnie tracił przez te wszystkie lata! Był bardzo pewny siebie, przepełniony dumą. Czuł, że nareszcie stał się pełnoprawnym członkiem rasy ludzkiej. Jednocześnie jednak współczuł innym ludziom, żadne bowiem ich doznania nawet w przybliżeniu nie mogły się równać z namiętnością, jaką darzył Natalie — ani, jak miał nadzieję, uczuciem, jakim ona obdarzała jego.

Wszystko przecież wskazywało na to, że ona także jest w nim zakochana, co zakrawało wręcz na cud. Tylko jego matka wciąż była podejrzliwa.

— Ta młódka coś kombinuje.

— Mamo, ona ma na imię Natalie.

— Czego ona od ciebie chce?

— Ona mnie kocha!

— Nie może jej chodzić o twoje pieniądze, bo ich nie masz. Ani tym bardziej o twój zbiór gadów. Taka głupia to ona nie jest. — Zmrużyła oczy. — To ambitna latawica, czego się ciebie uczepliła?

— Mamo, proszę, staraj się ją polubić. Ze względu na mnie.

Lecz szczerze powiedziawszy, w ogóle nie przejmował się matką — on, zawsze taki oddany syn. Miłość uczyniła go ślepym na jej uczucia. Nagle na jakiś czas stał się bezwzględny, co było przecież do niego tak niepodobne.

— Tylko pomyśl — powiedział wesoło. — Klatki przestaną zagracać twój dom...

— Nasz dom.

— Żadnych żółwi w zlewie. Pamiętasz, jaką aferę zrobiłaś z powodu żabiego skrzeku?

— Był w tej sakramenckiej wannie...

— Będę cię odwiedzał co tydzień, masz moje słowo. Dasz sobie radę.

Pocałował ją lekko w czoło — on, który nigdy jej nie całował!

— Czy to dziewczyna stąd? Gdzie ma rodzinę?

Skąd pochodziła Natalie? Colin nigdy o to nie zapytał. Wspominała coś o ciągłych przeprowadzkach z miejsca na miejsce, głównie między Leeds a Halifaksem. To natomiast, co wiedział o jej rodzicach, nie bardzo nadawało się dla uszu jego matki. Już widział wyraz twarzy Peggy. „Jej mama miała siedmioro dzieci z czterema różnymi mężczyznami. Uciekła do Dundee z facetem o połowę młodszym od siebie, a tatuś sprzedaje narkotyki na tajlandzkiej plaży”.

— Jej mama ma na imię Janey i w tej chwili mieszka w Szkocji. Ojciec jest biznesmenem i pracuje na Dalekim Wschodzie.

Matka milczała chwilę, rozważając jego słowa.

— Skąd ten pośpiech? — spytała wreszcie. — Jest w ciąży?

Colin zapewnił ją, że wręcz przeciwnie. Już czuł się w tym domu obco — w nowych, kupionych przez Natalie ubraniach rozpoczął nowe życie, do którego jego matka nie miała do-

stępu. Czy jej ojciec kiedykolwiek wzbudzał w niej podobne odczucia? Na samą myśl o tym zrobiło mu się mdło.

Lecz Peggy była zaprawiona w bojach i nie poddawała się byle przeczuciom. Robiąc więc dobrą minę do złej gry, na wielki dzień dała sobie nawet zrobić trwałą.

Ślub odbył się w sobotę. Natalie przyjechała po Colina do niego do domu. Jego matka, w swoim najlepszym płaszczu i kapeluszu, siedziała na brzeżku kanapy. Siedziała tam tak bez ruchu od jakiegoś czasu.

Wraz z pojawieniem się Natalie cały pokój pojaśniał. Colin wpatrywał się w nią z zachwytem, nie mogąc nadziwić się jej urodzie. Miała na sobie jedwabiste spodnium z wpiętym w butonierkę kwiatem. Szarobura przeszłość Colina, od tej chwili zbędna, wylądowała na boczniczy. Jego prawdziwa podróż rozpoczynała się teraz i tutaj. Wciąż jakoś nie mógł uwierzyć, że Natalie pojawi się naprawdę i doprowadzi wszystko do szczęśliwego finału. Teraz przysiadła na oparciu fotelu i uśmiechnęła się do nich obojga.

— Nosisz już obrączkę — odezwała się Peggy. — Zauważyłam pierwszego dnia.

Natalie spojrzała na swoją rękę.

— Zupełnie o niej zapomniałam. — Obrączka zrobiona była z plecionego drutu. Natalie spróbowała ją zdjąć. — To nic nie znaczy. Noszę ją dla zabawy.

— Na serdecznym palcu?

Natalie wciąż mocowała się z obrączką.

— Masz jakieś nożyczki?

— Mam nawet coś lepszego. — Colin wyszedł pośpiesznie i po chwili wrócił ze swoją skrzynką na narzędzia. Otworzył ją i wyciągnął obcęgi. — Na pewno chcesz, żebym ją przeciął?

Natalie skinęła głową.

— Ona naprawdę nic dla mnie nie znaczy. To tylko kawałek zwykłego drutu.

Przeciął ją więc, drucik po druciku. Zrobił to z wielką ostrożnością, gdyż jego dłonie, choć wielkie, poruszały się wyjątkowo delikatnie. Potrafił przeciąć nimi drut, potrafił też wilgotnym wacikiem oczyścić zatkane nozdrza chorej iguany.

A godzinę później w Urzędzie Stanu Cywilnego miasta Leeds Colin wsunął na serdeczny palec Natalie prawdziwą ślubną obrączkę.

Wyłożono księgę i Natalie wiecznym piórem napisała w niej swoim najbardziej starannym charakterem pisma uczennicy: Natalie Taylor.

Przyjęcie weselne odbywało się w greckiej restauracji. Matka Natalie, Janey, na tę okazję odszukana w Dundee, spóźniła się na uroczystość. Była opalona — jak można się opalić, żyjąc z zasiłku? — a włosy miała ufarbowane na bijący po oczach fiolet. Opróżniając do dna kieliszek, przyjrzała się Colinowi.

— To ten? — Wybełkotała. A jej gardłowy, zachrypnięty śmiech brzmiał wyjątkowo głośno. Ona i jej chłopak Greg zjawili się na weselu pod dobrymi humorkami, bo świętować zaczęli na samym początku swej podróży z południa. — Rety! Nic dziwnego, że ma minę, jakby wszystkie jego Boże Narodzenia odbyły się jednocześnie.

— Jest naprawdę kochany, mamó. I chce się mną opiekować.

— Ty nie jesteś z tych dziewczyn.

— Zawsze byłam — powiedziała Natalie. — Tylko ty nigdy tego nie zauważyłaś.

Spojrzała na siwe odrosty wzdłuż fioletowego przedziałka Janey. Gdzie byłaś, pomyślała, kiedy cię potrzebowałam? Poczowała nagły przypływ czułości do Colina, który w jej życie wprowadził ład. Zacznie wszystko od nowa, tyle że tym razem będzie to jak należy. Colin nigdy jej nie zdradzi i za to go kochała. Nagle uświadomiła sobie, że pragnie uczynić go szczęśliwym. Uczucie to było jej tak obce, że aż sama się zdumiała.

— A, co tam. — Janey uniosła swój kieliszek. — Twoje zdrowie, mała. — Dopadł ją atak kaszlu nałogowego palacza.

Wiedziona nagłym przypływem rodzinnych uczuć Janey przywiozła ze sobą przyrodniego brata Natalie, Lawrence'a. Specjalnie został zwolniony z domu dziecka, ale też i okazja była wyjątkowa. Lawrence był pogodnym chłopcem o skórze w kolorze kawy, którego Natalie nie widziała od dobrych paru lat. Właśnie zaczęła mu się mutacja i wkrótce stanie się mężczyzną.

Colin ujął Natalie za rękę. Pojawienie się tej błazeńskiej rodziny sprawiło, że zaczął kochać swoją żonę jeszcze mocniej. Była taka bezbronna jak krucha łódeczka miotana po wzburzonych wodach, dla której on był bezpieczną przystanią. Gdzie się podziało poczucie odpowiedzialności jej rodziców? On taki nie będzie. Nigdy się z Natalie nie rozwiedzie, razem będą się przy swoim boku starzeć.

Przechodzili od stolika do stolika, przy każdym witając się z przyjaciółmi. Facet, z którym mieszkała, pan Motocykl, nie został zaproszony. Colin chętnie by mu przywalił. Nie — współczułby mu, że tak łatwo ją utracił. Nie — uściskałby go z wdzięczności. Colinowi wirowało w głowie, nie był przyzwyczajony do alkoholu. Nigdy też nie był gospodarzem przyjęcia. Było to dla niego równie nowe doświadczenie jak bycie panem młodym. W tej chwili jedno i

drugie wydawało mu się równie wiekopomne. Obcy ludzie ściskali mu rękę, ktoś napełnił mu kieliszek. Mężczyźni mu zazdrościli, wyczuwał to. Któż jednak nie zazdrościłby mu tej doświadczonej, uroczej kobiety, tak promiennej, emanującej radością życia, której każdy ruch i gest wprost urzekały — sposób, w jaki odwracała swą smukłą szyję, by nie dmuchnąć rozmówcy prosto w twarz dymem z papierosa, wdzięk, z jakim nachylała się nad stołem, by sięgnąć po oliwkę? Lecz jednocześnie wyczuwał też płynącą ku niemu życzliwość. Był to przecież wielki dzień w jego życiu i wszyscy życzyli mu szczęścia.

Czas płynął, obrazy się zamazywały, głosy stawały coraz bardziej przytłumione, jak gdyby znajdował się pod wodą. Ujrzał matkę wpatrującą się w szaszłyk, jakby lada chwila groził wybuchem. Wstał, by do niej podejść, ale musiał usiąść z powrotem. Uśmiechał się do wszystkich, nieświadom tego, co naprawdę się wokół niego działo.

„Jest słodki, ale...”.

„Może pieprzy jak nikt na świecie...”

„Chyba żartujesz.

„Czemu tak szybko? Jest w ciąży czy co?”

„Przecież jest od niego starsza, może się zorientowała, że jej biologiczny zegar tyka...”.

Do Tawerny u Andy'ego przybyło pięćdziesięciu gości: kumple Colina i szkolni przyjaciele, z którymi poczucie lojalności kazało mu utrzymywać kontakty; koleżanki Natalie z college'u, znajomi z biur, w których wcześniej pracowała, dziewczyny z NT. Wszyscy myśleli to samo: Co ona, u licha, w nim widziała? Lecz podobne sytuacje nierzadko się zdarzają, na przykład biurowy ogier żeni się z przysadzistą kuchcią. Ileż podobnie niedobrych małżeństw można spotkać na każdym kroku. Niejeden może myślał tak, spoglądając na swoich życiowych partnerów. Nie ma nic bardziej pozbawionego logiki niż tajemnica miłości.

Natalie usiadła przy nim, za plecami mając kratkę udekorowaną pędami sztucznego wina. Swoim widelcem z czułością nakarmiła swego świeżo poślubionego małżonka kawałeczkiem szaszłyka. Wskazując na jej włosy, Colin szepnął jej coś do ucha. Roześmiała się i potrząsnęła głową jak zmoczony deszczem psiak. Na stół posypało się confetti. Natalie wydawała się upojona szczęściem. Tak wyglądają ludzie zakochani — ich wyraz twarzy zdradza, że są w posiadaniu sekretu: „Ja wiem coś, o czym reszta z was nie ma zielonego pojęcia”.

O miesiącu miodowym nie było nawet mowy.

— Wybierzemy się później — powiedziała Natalie. — Kiedy będzie nas stać.

— Mnie to nie przeszkadza — zgodził się Colin. Natalie uśmiechnęła się.

— Och, na pewno jakoś nam się uda.

Niedzielę spędzili w łóżku, wychodząc z niego tylko po to, by usmażyć nuggety z kurczaka i napić się Red Bulla w nadziei, że zmniejszy nieco dręczącego ich kaca. Ogrzewanie było włączone na pełny regulator. Natalie to odpowiadało, lecz Colin miał wrażenie, że się dusi. O kosztach wolał nawet nie wspominać. Kiedy usnęła, otworzył okno. Wpadł podmuch wiatru i zwiął kartki z życzeniami zostawione na komodzie.

A więc to jest małżeństwo, pomyślał. Jestem żonatym mężczyzną. Kiedy znowu wejść do tego pokoju, ona wciąż tu będzie. Albo w jakimś innym, zajęta czymś. Przypomniała mu się piosenka z serialu *Przyjaciele*, jego ulubionego — *Będę tam na ciebie czekać*. Będę słyszał, jak się porusza, ona, ten cud stąpający po ziemi. I to mnie właśnie zechciała.

Pozbierał kartki z podłogi i zamknął okno. Wrócił do łóżka. Przytulony do żony, wsłuchiwał się w potępińcze zawodzenie odbijające się echem po piętrowym parkingu nieopodal. Gdy zasypiał, zmieniło się w nawoływanie kulików nad miejscem, gdzie pocałowała go po raz pierwszy. Ich krzyki odbijały się echem nad wrzosowiskami tak bliskimi i odległymi jednocześnie; nadlatywały echem z lat, które niosła mu przeszłość.

Deszcze ustały dawno temu, powodzie ustąpiły. Ulice miasteczek wychynęły spod wody i życie wracało do normy. Tamta szara, ponura jesień była już tylko wspomnieniem.

W poniedziałek Natalie zjawiała się w pracy. Usiadła przy swoim biurku, kobieta zamężna, i kręciła na palcu lekko luźną obrączkę. Na ekranie jej monitora ktoś przykleił żółtą karteczkę: TWOJE ZDROWIE, MAŁA. To na pewno Phillip, *Casablanca* była jego ulubionym filmem. Obiecał nawet, że pożyczy jej kasetę. Ale ona zdążyła już o Phillipie zapomnieć. Zostawiła go za sobą, w poprzednim życiu.

Bezpieczna za szybami z mrożonego szkła, jedną po drugiej otwierała koperty. Wszystkie czekki wystawione były dla „NuLine Telecommunications pic”. W końcu z trzydziestej już chyba koperty wyjęła czek na £ 269,23. Dla N.T.

Natalie trzymała go w ręce. Ostrożnie, jakby bała się, że porazi ją prądem. Miała wrażenie, że po raz pierwszy w życiu trzyma w ręce czek. Bił z niego smak przestępstwa. Opuszkami palców wyczuwała jego intensywność.

Klienci (pan i pani L. Dimshaw) do wypisania czeku użyli czarnego długopisu. Natalie rozejrzała się wokół siebie ukradkiem — instynktowne zachowanie przestępcy — dlaczego jednak ktokolwiek miałby ją obserwować? I tak zza mlecznobiałych szyb była dla innych nie-

widoczna. Sięgnęła do torebki po zgromadzoną na jej dnie kolekcję długopisów. Wybrała z niej czarny.

Ostrożnie, naśladowując charakter pisma na czeku, N.T. przerobiła na N. Taylor.

A potem wsunęła czek do torebki.

L R

Część druga

Rozdział pierwszy

Przez zaciągnięte zasłony przeciskało się światło poranka. Podłoga sypialni pokryta była częściami garderoby: rajstopami, majtkami, spodniami od dresu. Elektroniczny zegar przy łóżku wskazywał godzinę: 10:45. Na wszystkich ścianach wisiały plakaty: girls-bandów, boys-bandów, były też dwa plakaty zespołu O-Zone i jeden przedstawiający samego Damona w obcisłej skórze i z uśmiechem na twarzy, mogącym znaczyć jedynie: „Dostaję wszystko, czego zapragnę”.

Nadszedł marzec. Na dworze było zimno. Ciężkie, stalowoszare niebo przygniatało miasto. W sypialni natomiast panował gorący zaduch, lecz jego mieszkanka właśnie to lubiła najbardziej. Z biegnącej pod oknami ulicy dochodziło dudnienie przejeżdżających pojazdów, była ona bowiem popularnym wśród kierowców skrótem łączącym autostradę z centrum Manchesteru i ruch na niej prawie nie ustawał. Z wyjątkiem syreny przemknął samochód policyjny.

Lecz w sypialni panowała cisza. Śpiąca, skulona pod kołdrą, chrapnęła lekko. Gdy zmieniła pozycję, kołdra poruszyła się. Młode dziewczyny, śniące o miłości, potrafią przespać całe życie.

Pukanie do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Kolejne pukanie, tym razem nieco głośniejsze, i do pokoju weszła kobieta.

— Kotku? Pora wstawać.

Kołdra zafalowała. Dożył się spod niej jęk, po chwili wychynęła twarz.

— Ojciec potrzebuje cię na dole. Lennox się spóźni.

Chloe jęknęła i odwróciła się plecami. — Przykro mi — powiedziała jej matka i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Chloe powoli wygramoliła się z łóżka. Nie chodziło o to, że była dziewczyną nieskorą do pomocy; wręcz przeciwnie, z natury była dobroduszna i przyjacielska. Miła dziewczyna, twierdzili zgodnie stali bywalcy. Po prostu ciężko jej było rano zwlec się z łóżka. Powietrze było gęste jak zupa, nic dziwnego, że poruszała się w nim niemrawo. No i prędzej czy później, w trakcie ubierania się, będzie musiała spojrzeć na siebie w lustrze. Gdy jeszcze nie do końca się rozbudziła, Damon szeptał „Pragnę cię, pragnę cię”. Lecz gdy w pełni już przytomna bezradnie

spoglądała na swoje ubrania w szafie, dziewczyny z zespołów (Lurex, Mob Effect) rzucały jej ze swoich plakatów pogardliwe spojrzenia. „Chyba w snach”, mówiły ich błyszczące usta. „Schudnij trochę, kochaniutka”.

Chloe nie była gruba, miała po prostu grube kości. Poza tym faceci lubili dziewczyny, które miały ciało. Moda na anorektyczki to przeżytek. Tak Chloe dodawała sobie otuchy, zmierzając do łazienki. Zamknęła drzwi i usiadła na sedesie. Deska klozetowa zaskrzypiała.

Na ścianie wisiała oprawiona w ramki kolekcja zdjęć: Chloe jako niemowlę, Chloe w wieku lat ośmiu, przebrana za aniołka w bożonarodzeniowej szopce wystawianej w kościele św. Cuthberta, jako jedenastolatka na plaży, z pękiem wodorostów w ręce. Wszystkie one były autorstwa jej taty, a było ich znacznie więcej, pełna szuflada. Lecz żadne z nich nie zostało zrobione ostatnio.

Do oczu Chloe napłynęły łzy. Oderwała kawałek papieru toaletowego i zmięła go w dłoni.

Na dole David tymczasem otwierał. Przekręcając w drzwiach zamek, za plecami słyszał, jak Sheila rozstawia na stołach popielniczki. Jak zwykle to ona, jego żona, musiała posprzątać i umyć podłogę. Gdzie ta moja córunia?, pomyślał David zirytowany. Co ona sobie wyobraża, że całą robotę ma za nią odwalać matka? Chloe miała już dwadzieścia jeden lat. Czy zamierza tak spać przez całe życie?

W pubie unosił się stęchły zapach papierosowego dymu, odór nieodłącznie związany z jego pracą. Stał na chodniku przed wejściem, wciągając powietrze do płuc. Ulicą z hurkotem przejechała ciężarówka Texas Homecare. Każdego ranka David stał tak przez chwilę przed swoim pubem, czekając na pojawienie się pierwszego klienta (będzie nim Archie Bacon, nie ma co do tego wątpliwości).

Po przeciwnej stronie ulicy przed swoim sklepem, Europa Food and Wine, stał pan Hassan. Obok mieścił się warsztat elektryczny należący do kuzyna pana Hassana, a obok niego sklep komputerowy będący własnością brata kuzyna; przekłeta rodzina wzięła we władanie całą ulicę. Dobry Boże, pomyślał David, gdybyż Pakistańczycy pili, gdyby w Koranie znalazł się choć jeden wers chwalcący zalety napojów alkoholowych, byłbym bogatym człowiekiem. W porze lunchu zjawiali się pracownicy biur, by ponownie wpaść na krótko około szóstej, lecz jego głównymi klientami byli przede wszystkim emeryci, którzy w tej okolicy Manchesteru przeżyli całe swoje życie. Lubił ich. Rację miała Sheila, mawiając: „Może to i stare pierdoły, ale przynajmniej nasze”.

David stał na dudniącej hałasem ulicy. Była jednokierunkowa i samochody wlewały się w nią, jakby u jej wlotu pracowały gigantyczne miechy. Jego pub, Queen's Head, wtłoczony pomiędzy wszelakiej maści punkty usługowe, z trawionym szkłem i wykwintną sztukaterią, był typowym wiktoriańskim przybytkiem, którego urok podkreślały tylko wznoszące się po obu jego stronach biurowce. W oknach stały skrzynki z zasadzonymi przez Sheilę żonkilami. Urodzona z niej była gospodyni. Gdziekolwiek mieszkali, zadomawiała się wszędzie i brała do roboty. Była pogodną, zadowoloną ze wszystkiego kobietą.

— Cóż, dobrze, że choć jedno z nas takie jest — mawiała.

David bowiem miał porywczy, łatwo ulegający emocjom temperament. Dzisiaj na przykład od rana czuł się poirytowany. Spojrzał w górę, zasłony w oknie pokoju jego córki wciąż jeszcze były zaciągnięte. Co się z tą dziewczyną dzieje? W jej wieku pracował na dwóch posadach; skończywszy jedną pracę, chałturzył w zespole, pił i ćpał przez całą noc, pieprzył się z kim popadnie, pisał piosenki dla dziewczyn, których twarze dawno już wymazały mu się z pamięci i rozbijał się po autostradach swoim starym MG. Czy Chloe nie miała żadnych planów na własne życie?

Dokładnie w tym momencie (godzina jedenasta) zjawił się Archie Bacon, kuśtykając w stronę pubu ze swoim nieodłącznym bulterierem. David złożył gazetę i wszedł do środka. Sheila rozmawiała przez telefon. Stała za barem i nie przerywając rozmowy, ze słuchawką wetkniętą między ucho a ramię, polerowała szklanki. Wyglądała przy tym jakoś tak dziewczęco. Nagle czas się cofnął i David ujrzał ją taką, jaka była wtedy, gdy się poznali. Tańczyła ze swoją małą siostrzyczką, trzymając ją za ręce, a mała podskakiwała wokół niej. Parkiet pełen był całych rodzin — rodziców, nastolatków, świętujących ostatnią sobotę wakacji. Atmosfera sięgała zenitu, jak to w ostatnich chwilach zwykle bywa. Zostało im do odegrania jeszcze kilka kawałków i wszyscy wyszli na parkiet, ale David, zawodząc do mikrofonu *Wild Thing*, widział tylko Sheilę. „Gdy na ciebie patrzę, moje serce śpiewa”. Miała na sobie zieloną sukienkę i naszyjnik z białych plastikowych muszelek, które, gdy tańczyła, rytmicznie podskakiwały.

David nie powiedział jej, że wciąż to pamięta. Przeżyli razem całe życie, razem pracowali, spędzając w swoim towarzystwie każdy dzień i każdą noc. Mieli dość czasu na podobne rozmowy, lecz jakimś dziwnym trafem nigdy nie trafiał się odpowiedni moment. Zwłaszcza po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa.

Gdy stawiał przed Archiem piwo, wzrok Sheili padł na niego. Nie widziała go jednak, rozmawiała ze swoją matką.

— Potrząśnij nim porządnie w zimnej wodzie — powiedziała. Rozmawiały ze sobą codziennie, skąd więc brało im się tyle tematów? Czasami Davida to bawiło, czasem drażniło. Dzisiaj czuł narastającą irytację. Gadają jak typowe baby! Wygląda na to, że wszyscy znani im ludzie cierpią na jakieś zagrażające życiu potworne choroby. Potem następowała rozwlekła opowieść o sąsiadach matki i wreszcie nie kończąca się nigdy debata na temat rybnej zapiekanki — posypywać ją z wierzchu serem czy raczej nie? David wiedział, że te rozmowy należą do nielicznych przyjemności Sheili. Pub był ich miejscem pracy, ich domem, ich tyranem. Poza sporadycznymi wizytami, tylko rozmawiając przez telefon, Sheila mogła utrzymywać kontakt z rodziną. Mimo to David czuł złość.

— Co za potworność — powiedział Archie.

— Słucham?

Archie wskazał palcem czytany w gazecie artykuł. W lesie koło autostrady M6, w pobliżu Congleton, znaleziono porzucone ciało martwej dziewczyny. Została zgwałcona i uduszona. Z niewiadomych przyczyn Archie wyglądał na zadowolonego.

— Kto jest do czegoś takiego zdolny?

Sheila skończyła wreszcie rozmawiać i podeszła do nich.

— O nie. — Usiadła obok Archiego i zajrzała do gazety. — Biedactwo.

Sheila świetnie sobie radziła z klientami — była przyjacielska, potrafiła dodać im otuchy, zawsze gotowa okazać współczucie. Obojętne, co by im się przytrafiło, zawsze miała pod ręką podobną opowieść z historii swojej rozległej rodziny.

— Wiem, co masz na myśli. Mój wuj Patrick też na to cierpiał i potem przerzuciło mu się na nerki... — Dalej rozmowa toczyła się gładko. Z Sheili emanował spokój, tak bardzo przez Davida podziwiany, tym bardziej że on sam nie potrafił go zachować. Z prowadzeniem pubu radził sobie świetnie — był szczery, uczciwy, z pijakami się nie cackał — ale pogaduszki nie były w jego stylu i ludzie w sposób naturalny garnęli się do jego żony. Niewielu miał bliskich przyjaciół. Prawdę powiedziawszy, żadnych. Całym jego światem była niewielka rodzina — żona i córka.

Pojawiła się Chloe. David zmierzył ją wzrokiem. Miała na sobie niezgrabną, wzorzystą sukienkę. Jej duże, blade ramiona były odsłonięte, tylko z jednej strony spod sukienki wysunęło

się ramiączko stanika. Córka nigdy nie potrafiła ubrać się odpowiednio. Dzisiaj na przykład wyglądała niechlujnie i staro. Bezguście.

— Nie uważasz, że pora zająć się lunchem? — spytał burkliwie.

Chloe wyglądała jak przestraszony królik. Sheila także się zerwała.

— Chodź, kochanie — powiedziała. — Zaczęłam już obierać jarzyny.

— Widziałas gazetę? — spytał Archie z ponurą satysfakcją.

— Nie pokazuj jej — poprosiła Sheila. — To takie smutne. Chloe podeszła i wzięła do ręki gazetę. David stanął za nią.

Jego wzrok spoczął na jej szerokich biodrach. Z tyłu jej ramiona całe pokryte były plamami, łokcie miała pomarszczone i otłuszczone. Poczul przeszywający go spazm bólu. Chloe wypuściła głośno powietrze.

— Jakie to potworne...

— Chloe, posłuchaj...

Obróciła się gwałtownie, stając nieomal na baczność. Dlaczego on tak na nią działał?

— Gdziekolwiek byś była — powiedział — obojętnie o której, choćby w środku nocy... — Zapragnął objąć ją ramieniem, ale od lat tego nie robił. — Za dnia czy w nocy, jeśli nie będziesz miała jak wrócić, po prostu zadzwoń. Rozumiesz? Nie ruszaj się z miejsca, tylko czekaj, póki po ciebie nie przyjadę. Obiecujesz?

Zaskoczona jego przejętym głosem, nie spuszczała z niego wzroku.

— OK.

— Pamiętaj, zadzwoń. W końcu do tego służą telefony komórkowe — dodał. — I pamiętaj o zapłaceniu rachunku. Wiesz, jaka z ciebie zapominalska.

Sheila obrzuciła go ostrym spojrzeniem. Nie powinien był tego dodawać. W ten sposób wszystko, co powiedział, zabrzmiało jak zarzut. David poczuł, jak jego irytacja narasta.

— Idź teraz na drugą stronę i kup matce pomidory. — Wcisnął jej do ręki karteczkę. — Nie było ich w dostawie.

Chloe ruszyła do drzwi.

— Włóż płaszcz! — krzyknęła za nią Sheila.

Ale Chloe zdążyła już wyjść. Gdy otwierała drzwi, do wnętrza wpadł huk ruchu ulicznego. David uczył tak dobrze mu znany smak porażki.

— Przeiębisz się! — zawołała Sheila.

Pub powoli się zapełniał. Najpierw zjawili się stali bywalcy, za nimi nadciągnęli zgłodniałi w porze lunchu pracownicy okolicznych biur — grupki dziewcząt (Chardonnay na kieliszki) i młodzi faceci (Stella Artois, importowany czeski Pilsner w butelkach). Wszyscy krzyczeli i wydmuchiwali dym z papierosów prosto w twarz obsługującego ich za barem Davida. Rozsiadali się wszędzie, przyciągając krzesła od innych stolików („To wolne, stary?”), przytłaczając swoją obecnością starszych gości, którzy z posmutniałymi twarzami, nad kufkami beczkowego piwa wyglądali jak bliski wymarcia gatunek, czym w istocie rzeczywiście byli. Te dzieciaki wydawały furę pieniędzy — skąd je brali? Jeżeli browar postawi w końcu na swoim — a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że tak się stanie — tylko patrzeć, jak ten jego ostatni lokalny pub zamieni się w „tematyczne” dziadostwo w stylu Slug and Lettuce, z pubu serwującego jedzenie stając się jadłodajnią, w której podaje się drinki, ponieważ to przynosi zyski. A tych kilku wiernych mu, stałych bywalców w podeszłym wieku będzie tłoczyć się w kątku, smętnym wzrokiem wpatrując się w butelkę z balsamicznym octem. Przyjdzie wreszcie moment, kiedy poczują się tak obco, że znikną. Wszędzie tak było. Gdzie się pochowają? W ciemnych kątach, by w nich cicho dokonać żywota z przyczyn naturalnych?

David nie wiedział, co o tym myśleć. Na swoich emerytach, kiwających się nad kufelkiem beczkowego piwa, nie mógł się dorobić, z drugiej jednak strony prowadził pub od dziewięciu lat. Znał ich żony i wnuki, w sali bankietowej na piętrze zorganizował dla nich niejedną rodzinną uroczystość. Poza tym on także zaczynał odczuwać ciężar wieku.

„Mam tylko pięćdziesiątkę”, mawiał do siebie, a potem w drodze do toalety dostrzegł w lustrze swoje odbicie, twarz z bardzo już wysokim czołem, przy którym jego brwi wydawały się bardziej krzaczaste i przez to jakieś takie komiczne. Widząc go, mało kto zapewne pomyślałby w pierwszej chwili: o, łysy: Nie mógł jednak zaprzeczyć, że włosy znacznie mu się przerzedziły, obnażając na czole obcą, lśniącą skórę, palącą w słońcu. Wydawało się, że nie dalej jak wczoraj miał ich jeszcze mnóstwo — gęstą, brązową czuprynę, traktowaną jako coś oczywistego. Musiał ją nawet ściągać gumką, gdy wychodził na scenę. Dzisiaj tamte chwile chwały wydawały się żalodne. Kimże on był? Facetem z zespołu Green Jacket na Warner's Holiday Camp, który uważał się za piosenkarza. Tamten młody człowiek dawno już zniknął, a jego miejsce zajął ten znajomo wyglądający obcy, z twarzą klauna poraną zmarszczkami rozczarowania.

Zjawił się Lennox, jego barman. Lennox był młodym, jurnym Australijczykiem, paradującym z gęstwiną bujnych włosów. Klientów traktował ze swobodną, nieomal bezczelną poufałością.

Nie ma zmartwienia — powtarzał z denerwującą regularnością.

Fakt, on nie miał zmartwień. Tylko patrzeć, jak wyruszy gdzie indziej — do Montrealu albo Cape Town. Świat stał przed nim otworem, żadne przeszkody nie mogły go powstrzymać. Mięśnie na opalonych ramionach Lennox'a prężyły się, gdy nalewał piwo do kufli, a porastające je jasne włoski połyskiwały w świetle.

Było pół do drugiej i natężenie decybeli w pubie rosło. Na podstawie poziomu hałasu David mógł regulować zegarek — o pół do drugiej osiągał wartość szczytową, podobnie jak o pół do jedenastej, tuż przed zamknięciem. Po wypiciu swojego kufelka piwa i zjedzeniu opakowania bekonowych chrupek Archie zaczął zbierać się do wyjścia. Cudowne dzieci Internetu przekrzykiwały się nad jego głową, usuwając się na bok, by mógł przejść. David zapatrzył się na psa Archiego. Tylne łapy miał wygięte w łuk, by jego wielkie jaja miały się gdzie pomieścić. Ich wielkość była wręcz niewiarygodna. „Patrz i podziwiał, do czego jestem zdolny”. Gdy na sztywnych łapach szedł w stronę drzwi, ocierały się o siebie. David ujął dyszę miksera. Nalewając tonik do szklanki, próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni kochali się z Sheilą. Dwa tygodnie temu? Trzy?

Spojrzał na żonę ścierającą właśnie „Lasagne” z tablicy, na której wypisane było menu. Stała do niego tyłem i nie dało się ukryć, że trochę przytyła, ale apetycznie, po kobiecemu. Nadal była atrakcyjną kobietą. Fartuch jej się rozwiązał i na widok jednej tasiemki zwisającej luźno David się rozczulił. Kiedy po raz ostatni wziął ją w ramiona i pocałował jak należy — mocno i namiętnie, tak po prostu — na schodach albo w łazience?

Właśnie sobie postanawiał, że zrobi to później, gdy dobiegł go okrzyk:

— Chloe!

Przez tłum pijaków torowała sobie drogę dziewczyna. Nosila mundurek stewardesy i ciągnęła za sobą małą czarną walizczkę na kółkach. Chloe stała za ladą chłodniczą, pomału układając bagietki z tuńczykiem.

Dziewczyna okręciła się z wdziękiem przed kolekcją krojonych w plastry mięs.

— Zgadnij, gdzie byłam dzisiaj rano?

Chloe gapiła się na Rowenę, koleżankę z czasów szkolnych.

— Gdzie?

— W Lizbonie — odparła Rowena. — W Portugalii. — Jak wyjaśniła dalej, właśnie skończyła szkolenie. — Załoga była po prostu boska! Był taki facet, Tim... A wczoraj, moja kochana, nocowaliśmy w Marriotcie i nie zgadniesz...

— Kochaniutka, pośpiesz się trochę z tą kanapką — przerwał jej jeden z klientów.

Rowena przeszła do baru. Gdy ruch nieco zelżał, Chloe przysiadła się do niej. Lennox podał Rowenie wódkę z tonikiem i gawędził z nią swobodnie. Dla beznadziejnie zakochanej w nim Chloe podobna sytuacja była aż nadto znajoma.

— Mówią, że powinnam szybko awansować — szepnęła Rowena, strzelając oczami w stronę Lennox. — W przyszłym roku będę latać na długich dystansach. Tylko pomyśl, Chloe, Miami! LA! Czterogwiazdkowe hotele, można się opalać. Słuchaj, dam ci numer, byłabyś w tym świetna, przecież umiesz obsługiwać i w ogóle.

— Nie mogłabym — powiedziała Chloe. — Boję się latać. Rowena i Lennox spojrzeli na siebie.

— Och, przestań gadać jak łajza. Chloe potrząsnęła głową.

— W samolocie robi mi się niedobrze. Stojący za barem David patrzył na swoją córkę.

Wieczorem, po zamknięciu pubu, David przystanął pod drzwiami do łazienki. Zamknięta w środku Chloe śpiewała. Zawsze śpiewała, ilekroć sądziła, że nikt jej nie słyszy.

— „Miałam kiedyś ukochanego, a teraz nie mam żadnego...”.

Gdy miała czternaście lat, kupił jej gitarę i w ciągu kilku miesięcy nauczyła się folkowych piosenek. Miała piękny głos, jasny i czysty.

— „Lecz gdy się obudziłam, wszystko było inaczej... z moich oczu łzy jak fontanny tryskały...”.

Rozległ się szum spuszczonej wody i Chloe wyszła z łazienki.

— Och! — wykrzyknęła cicho, a na jej twarz wypłynął rumieniec.

— Powinnaś zająć się tym profesjonalnie — powiedział. — Dlaczego przestałaś grać na gitarze?

— Stałaś tu przez cały czas? — Poczzerwieniała jeszcze bardziej. Podśluchiwał ją, jak była w toalecie !

— Nie, usłyszałem tylko...

Ona jednak pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

David zapukał i wszedł. Chloe siedziała na łóżku.

— Chciałem tylko powiedzieć... — Tato, proszę...

— Chciałem tylko powiedzieć, że powinnaś coś ze sobą zrobić.

— To znaczy? — Uniosła rękę do twarzy.

— Masz taki ładny głos. Jest tyle... tyle rzeczy, które mogłabyś robić...

— Na przykład co?

— Chloe! Do cholery, przestań ciągle myśleć tak negatywnie. Tym sposobem nigdzie nie dojdiesz.

— Chcę iść spać.

— Nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyś przestała się ukrywać i zrobiła coś ze swoim życiem?

Zjawiała się Sheila w szlafroku.

— Mamo, powiedz mu, żeby przestał!

— Davidzie...

— Popatrz na Rowenę — mówił coraz bardziej podniesionym głosem. — Nie chcesz zobaczyć świata, zwiedzać? — Nagle doznał ogromnego poczucia żalu. Przypomnił sobie, jak jej uda ocierają się o siebie, gdy idzie. Gdy się t o c z y. — Nie możesz tak tu siedzieć. I gnić...

— David! — przerwała mu ostrzegawczo żona.

— Naprawdę chcesz skończyć tak jak ja i twoja matka...

— A co to niby ma znaczyć? — zdenerwowała się Sheila.

— Tkwić w pubie przez siedem dni w tygodniu? Tego chcesz?

— Tato, przestań!

Żona położyła mu na ramieniu dłoń.

— Wystarczy — powiedziała.

Chwilę później Sheila weszła do ich sypialni.

— Nie powinieneś był tak do niej mówić — szepnęła.

— Chciałem tylko pomóc. Podchodzi do wszystkiego nie tak jak trzeba.

— To ty tak do wszystkiego podchodzisz.

David zapalił papierosa. Wiedział, że Sheila nie znosiła, kiedy palił w sypialni, ale i tak to zrobił. Stał przy oknie i wyglądał na podwórze za domem.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — wyszeptała Sheila. — Jest szczęśliwa, na swój sposób. A kiedy tak mówisz, sprawiasz jej tylko przykrość.

— To dla jej dobra. — Beczki na podwórzu połyskiwały w padających z biurowca światłach, które paliły się przez całą noc. Cóż za marnotrawstwo prądu.

— Nie jest ambitna, przynajmniej nie tak, jak ty byś chciał. Nie możesz zrobić z niej kogoś, kim nie jest. — Sheila usiadła na łóżku. — Jesteś okropnym tyranem, Davidzie. Czy nie rozumiesz, że odbierasz jej pewność siebie, tę odrobinę, która jej jeszcze została? Może uważa, że jest za gruba na stewardesę.

— Dlaczego więc nie zaczniesz się odchudzać?

— Ciii! — Sheila zniżyła głos.

— Mogłaby trochę o siebie zadbać. Może nawet znaleźć sobie chłopaka...

— Jest bardzo ładna, może trochę za pulchna...

— Pulchna? Gdyby weszła do samolotu, nie dałby rady wystartować.

— David! — Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. — Wygadujesz okropne rzeczy.

David odwrócił się i spojrzał na żonę. Pomyślał: gdybyś nie zaszła w ciążę, mógłbym grać zawodowo. Mógłbym wtedy pojechać na to tournée.

— Zrobi, co zechce — powiedziała Sheila. — Kiedy uzna, że nadeszła odpowiednia pora.

— Po prostu chcesz ją tu zatrzymać.

Chcesz, żeby nigdy nie stała się dorosła, pomyślał. Chcesz, żeby nigdy nie przestała się trzymać twojej spódnicy.

— Chcesz ją tu zatrzymać, żebyś miała towarzystwo — odezwał się na głos.

— Czy możesz mieć o to do mnie pretensje? — spytała, patrząc na niego wymownie.

I pomyśleć, przypomniał sobie David, że dzisiaj chciałem ją pocałować.

W swoim pokoju Chloe naciągnęła kołdrę na głowę, chowając się pod nią jak żółw w swojej skorupie.

Rozdział drugi

— „*I'll do it my... way!*”

Natalie darła się, na ile starczało jej powietrza w płucach. Głos miała okropny, ale nie przejmowała się tym. Uwielbiała karaoke. Ze sceny trzeba ją było niemal ściągać siłą.

Było tu parę koleżanek z jej pracy. Podeszła do baru, pomachała banknotem dwudziestofuntowym i zamówiła drinki. Sioban i Farida wybałuszyły oczy, gdy wręczyła im szklanki. Ostatnio działo się z Natalie coś dziwnego, emanowało z niej takie gorąco, była tak ożywiona, że nieomal cała pulsowała. Zarzekała się, że na pewno nie spodziewa się dziecka, więc musiało tak na nią działać małżeństwo — od jej ślubu upłynęły już dwa miesiące — ale kto by przypuszczał? Na siedzącego przy stoliku Colina, pilnującego ich miejsc, zaczęły spoglądać z szacunkiem. Może rzeczywiście był niesamowity w łóżku. Ostatnio nabrał jakby pewności siebie, nawet wyglądał inaczej, bardziej dojrzałe. Miał na sobie sweter w odważny zygzakowaty wzór, Natalie zadbała o niego. Jego twarz przybrała nowy, ostrzejszy wyraz, jaki widuje się u mężczyzn, którzy właśnie awansowali w pracy. Ach, i jak on patrzył na Natalie, gdy przyniosła mu jego lemoniadę! W jego spojrzeniu było tyle autentycznego zachwytu, takiego bezgranicznego uwielbienia, że przebywając tylko z nimi w tym samym pomieszczeniu, czuły się intruzami.

Jakiś wielki facet fałszował niemiłosiernie *Love Me Tender*. Natalie usiadła obok Colina i zmierzwiła mu włosy. Ujął jej rękę.

— Masz prześliczny głos — powiedział.

— Opowiadasz pierdoły — odparła. — Ale jesteś słodki. — Oparła głowę na jego ramieniu i zanuciła: — „*I did it my way...*”.

Przysiadła się do nich Farida, również świeżo upieczona mężatka. Jej dotychczasowa dziewczęcość znikła, teraz zachowywała się z pełną godności rezerwą. Grzecznie odparła, że jej i Bashirovi świetnie się układa.

— Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o tym? — spytała Natalie. — Że to wszystko jest zwykłą loterią?

— Co takiego?

— Że miłość przychodzi później, trzeba po prostu na nią zapracować?

Farida spoglądała na nią z konsternacją. Zezując z obrzydzeniem na dym unoszący się z papierosa Natalie — po ślubie przestała palić — siedziała z rękami skromnie złożonymi na kolanach.

Tego rodzaju rozmowy krępowały Colina. Zwrócił się do Natalie:

— Kochanie, jak będziesz gotowa, powinniśmy już wracać. Jutro wielki dzień.

W drodze do domu Colin zebrał się na odwagę, by poruszyć kwestię, która od jakiegoś czasu nie dawała mu spokoju.

— Musimy zacząć zaciskać pasa, Nat — powiedział. — Czeka nas tyle wydatków. Z domem jest zupełnie inaczej, trzeba płacić rachunki i musimy dać zaliczkę na kanapę. — Dodał z nieskrywaną dumą: — Własny dom to studnia bez dna, ciągle wyskakują jakieś nieprzewidziane wydatki.

— Niczym się nie przejmuj. — Natalie siedziała obok, ramionami obejmując kolana.

— Ale przecież szastamy pieniędzmi na lewo i prawo. Drinki dla wszystkich, wszystko to, co mi kupujesz... to naprawdę bardzo kochane z twojej strony, ale tak sobie myślę, że powinniśmy...

— Poradzimy sobie.

Głową wskazał pas bezpieczeństwa.

— Zapnij się, kochanie. — Wyjechał z centrum i kiedy minęli rzekę, wjechał w Dewsbury Road. — Nie mogę tylko zrozumieć, skąd masz na to wszystko.

— Przecież ci mówiłam, że zapłacili mi premię.

— No tak, ale zapłacili ci już w zeszłym miesiącu.

— NT świetnie sobie radzi. Otwierają sklepy i takie tam, rozwijają się jak szaleni. Mają naprawdę agresywny marketing. — Wypowiadała to wszystko bardzo autorytatywnie. — Pozbywamy się konkurencji, Klocusiu, nawet BT jest zagrożona, a wiesz dlaczego? — Strząsnęła nie istniejący pyłek z wyimaginowanej klapy. — Dzięki nam, mnie i moim koleżankom. To dzięki nam wszystko się kręci, czego jednak te dranie nie są uprzejme zauważyć. Gdybyś widział ich marzę zysku.

Colin był pod wrażeniem. Nie miał głowy do interesów, wszystko to przerastało jego zdolności pojmowania.

Zmierwiła mu włosy.

— Jesteśmy szczęśliwi, prawda? Czy poza tym liczy się coś innego?

W Colinie rosło serce. Przytaknął tylko skinieniem głowy.

Następnego dnia przenieśli się do swojego nowego domu. Colin stał w sypialni na jego tyle, w małym białym pokoiku, pachnącym świeżą farbą. Na dworze świeciło słońce. Był dopiero marzec, ale można by pomyśleć, że to już pierwszy dzień wiosny. Za ich małym ogródkiem rozciągały się niewielkie, błotniste kwadraty innych ogrodów. Do niektórych została już nawieziona ziemia. Część sąsiednich domków była zamieszкана, inne miały w oknach tablice z napisem „SPRZEDANE”. Domki, choć wolno stojące, znajdowały się bardzo blisko siebie, z trudem dałoby się wcisnąć między nie szpilkę. Colinowi się to podobało, nie czuł się w swoim szczęściu osamotniony.

Nowe osiedle powstawało przy Selby Road, nieopodal pola golfowego Temple Newsam. Były tam dwa rodzaje domków: Commodore (w stylu Tudorów) i Burlington (bardziej georgiańskie). Oni zdecydowali się na typ Burlington. Któregoś dnia, myślał Colin, obudzę się. Znowu będę na Rowton Crescent, w saloniku z mamą, słyhać będzie tykanie zegara, a jedyną przyszłością będzie promieniujące z konwektora ciepło. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ten dom należał do niego i Natalie, że ona naprawdę jest na dole, zajęta rozkładaniem w kuchni ich nowych garnków i talerzy (słyszał ich szcęk). Że ona go kocha i mieszka z nim. Czym zasłużył sobie na tyle szczęścia? Nigdy nie był specjalnie bystry, nauczyciele niejednokrotnie tracili do niego cierpliwość. Szybkość przemian zachodzących w jego życiu zapierała mu dech w piersiach. Ciągle jeszcze nie mógł dojść do siebie.

Colin stał przy oknie. Może wszystko to tak naprawdę wcale nie istniało. Przecież jeszcze rok temu tego nie było. Rok temu żaden z tych domków nie był zbudowany. Tu, gdzie dziś stoją, dawniej rozciągały się tereny należące do starej rezydencji, teraz zamienionej w centrum konferencyjne. Porastały je gęste krzewy i pełne były miejsc tajemnych, które Colin jako chłopiec odkrywał, strącając patykiem gniazda i zbierając żabi skrzek ze stawu, który — o ile dobrze pamiętał — leżał na obszarze dzisiejszego parkingu dla działek 15-21. Teraz wszystko zostało zabetonowane.

Podobne zmiany zdawały się zachodzić w jego życiu. Olśniewające pojawienie się Natalie (och, ten ręcznik!) skasowało całą przeszłość. Naturalnie nadal chodził do pracy i wracał na Rowton Crescent, by odwiedzić matkę i nakarmić swoją trzódkę, która lada dzień przeniesie się wraz z nim do nowego domu, jak tylko przygotuje dla niej kwatery. Wszystko to jednak wydawało mu się dziwnie pozbawione znaczenia. Nawet jego gady (przez Natalie pieszczotliwie nazywane jego zwierzakami, choć wcale nimi nie były — to dzikie stworzenia, nad którymi opiekę poczytywał sobie za zaszczyt), nawet one wydawały mu się odległe. Były

jak uczniowie, którymi nauczyciel przestał się interesować z chwilą, gdy założył własną rodzinę.

Zaskrzypiały schody. To Natalie wchodziła na górę. Objęła go ramionami.

— Nasz pierwszy dzień — powiedziała. Przytulił mocno jej kruche, szczupłe ciało.

— Szczęśliwa?

Skinęła głową, muskając włosami jego policzek.

— Pomyślałem sobie, że tu mógłby być pokój dla dziecka — powiedział. — Kiedy już będziemy je mieli. — Wyszwolecił się z jej objęć i zaczął gestykulować. — Mógłbym zrobić kołyskę i małą komódkę, potrafię nieźle majsterkować.

— Colin, wyhamuj. Jeszcze trochę na to za wcześnie.

— Nie chcesz mieć rodziny?

— Czy nie jest nam dobrze tak jak teraz?

— Mówiłaś, że chcesz mieć dzieci. Teraz, kiedy już się urządziliśmy, mogę o ciebie zadbać. Możesz zrezygnować z pracy.

— Zrezygnować? — Spojrzała na niego.

— Zawsze się skarżyłaś...

— Teraz zaczęło mi się podobać.

— Dlaczego? Chwilę milczała.

— Tak po prostu.

Zarumieniała się. Nieczęsto zdarzało mu się widzieć rumieniec na jej twarzy, skóra pod piegami różowiła się jej wtedy lekko. Może trochę zbyt pochopnie zaczął o tym mówić. Skąd jednak miał wiedzieć, jak należy postępować? Nie miał przecież żadnego doświadczenia.

— Zresztą mam dla ciebie dziecko. — Ujęła go za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Zdumiony podążył za nią na dół. Weszli do salonu. Wśród stosów różnych rzeczy — walizek i pękających w szwach worków na śmieci — stało kartonowe pudło.

— Otwórz — poleciła.

Zrobił, jak mu kazała. Wewnątrz, zwinięty na kupce słomy, leżał pyton.

— To nasze dziecko — powiedziała.

Leżał tam, napierając potężnymi zwojami na ścianki pudła. Jego jasna skóra pokryta była delikatnymi zygzakami — oliwkowymi, zielonymi, żółtymi. Gdy się poruszył, skóra zaczęła się ślizgać w dwie strony jak sznur samochodów na autostradzie.

Colin, z otwartymi ustami, nie mógł oderwać od niego wzroku. Wąż pomalutku uniósł małą, kształtną główkę i spojrział na niego, poruszając językiem.

Pyton siatkowaty. Albinos. Te okazy były tak rzadkie, tak cenne, że prawie w ogóle nie trafiały na rynek. Ten był przepiękny — jak zgadywał Colin, najwyżej dwuletni, jeszcze nie w pełni dorosły.

— Natty... — Głos mu się załamał i musiał odchrząknąć. — Nie mogę uwierzyć...

— Podoba ci się? Powiedzieli mi, że to samica, ma dwa lata. Odebrało mu mowę. Piękno węża poruszyło nim do głębi.

Lecz przede wszystkim wzruszyła go Natalie. Podejrzewał, że tak naprawdę wcale nie przepadała za gadami, jak na początku sądził. Poza tamtym pierwszym dniem nie interesowała się nimi prawie wcale. Straszny okazał się głupkiem.

— Mówiłam ci, że lubię węże. — Uśmiechając się, rozpięła mu rozporek.

— Natalie...

— Czy ten tutaj jest duży? — Wsunęła palce w spodnie i zaczęła pieścić go przez slipy.

Colin był skromnym młodzieńcem. Gdy zamieszkał z Natalie, pozbył się częściowo swoich zahamowań, ale teraz nagle przemknęło mu przez myśl: Co będzie, jak nagle wejdzie mama? Czysta głupota, przecież ona nawet z nimi nie mieszkała.

— Chodź — powiedziała Natalie. — Ochrcimy nasze łóżko.

— Ale mają nam dostarczyć kanapę. Gość mówił, że w sobotę po południu.

— Chrzanić go.

Poprowadziła go na górę, do ich małżeńskiej sypialni, gdzie czekało na nich nowe mosiężne łóżko. Pojechała do „Słodkich snów” i kupiła je, tak po prostu. Bez żadnych zaliczek, rat, niczego. Popchnęła go na materace.

— I musimy jeszcze pojechać po resztę rzeczy... — zaczął. Siadając na nim okrakiem, pocałunkami zamknęła mu usta.

*

„...przedstawiając kolejne rządowe inicjatywy zmierzające do powstrzymania narastającej fali przestępstw...”, mówili w radiu. Natalie pędziła autostradą. Był kwiecień, a ona jechała do pracy. „Najnowsze dane wskazują, że w całej Brytanii nastąpił znaczny wzrost przestępczości...”

Natalie była w wyśmienitym nastroju. Dzień zapowiadał się przepięknie. Rozgrzane słońcem kasyty leżały na siedzeniu dla pasażera. Wzięła O-Zone — ostatnio kupiła sobie najnowszą — i włożyła do odtwarzacza.

„Giveittome giveittome giveittome...”.

Natalie na cały głos wtórowała Dantonowi, muzyka puszczona na pełny regulator dudniła. W przeciwieństwie do swego męża, nie była wielbicielką wsi. W czasie tamtego pamiętnego spaceru w grudniu omal nie zamarzła na śmierć. Tak powinno się podziwiać wrzosowiska: z pędzącego samochodu z otwartym dachem, z muzyką O-Zone puszczone najgłośniej jak się da. W dolinach wznosiły się opuszczone młyny z połyskującymi w słońcu rzędami okien. Ludzie tłumnie stąd uciekali. Czy jednak można ich za to winić? Gdzieniegdzie spomiędzy drzew wyrastały kominy. Pomyślała, że wyglądają jak sterczące spomiędzy włosów łonowych penisy.

To skierowało jej myśli ku Colinowi. Darzyła go prawdziwym uczuciem. Och, od początku bardzo go lubiła — z drugiej strony, kto by nie lubił? Był taki słodki. Z czasem zaczęła myśleć o nim coraz cieplej. Trudno sobie wyobrazić bardziej oddanego męża. Przynosił jej drobne prezenty. Był jak pies kładący swemu panu u stóp kość i patrzący na niego pełnymi oddania ślepiami. Rano podawał jej herbatę do łóżka, wieczorami przygotowywał kolację — znacznie lepszy był z niego kucharz niż ona. Nauczył się wszystkiego przy matce. Opróżniał dla niej popielniczki, zbierał z podłogi jej ubrania, składał z nabożną czcią i układał starannie na krześle, gładząc z czułością. Troszczył się o nią do przesady: „Na pewno się nie przeziębisz?”

Z czasem mogło się to stać uciążliwe, póki co jednak nie przeszkadzało jej, tym bardziej że większość czasu spędzał na zewnątrz, tłukąc się w warsztacie, który zbudował w ogrodzie. Z entuzjazmem oddawał się wszelkim pracom domowym. W każdy weekend pogwizdując wesoło, zbijał półki lub zajmował się swoimi obrzydliwymi zwierzakami. Dzięki Bogu, trzymał je z dala od domu, choć zdarzało się jej natrafić na ślady jego hobby: łapki na muchy, pracowicie splecione z drucianej siatki czy torbę z mrożonymi myszami w zamrażarce. Była jednak zbyt szczęśliwa, by się uskarżać. Czasami nawet żartowała na ten temat. Nie dalej jak dzisiaj rano udawała, że ćwierkanie świerszczy bierze za odgłos dzwoniącego telefonu.

— Halo, mówi Natalie — powiedziała, podnosząc słuchawkę. — Czym mogę służyć?

Podczas tych pierwszych, szczęśliwych miesięcy często się razem wyglupiali.

Naturalnie fakt, że nie brakowało jej pieniędzy, znacząco przyczyniał się do dobrego samopoczucia Natalie. Gdy zaczynała się dusić w domu, wskakiwała do samochodu, jechała trzy mile do centrum miasta i szła na zakupy. Natalie uwielbiała kupować ciuchy, nigdy nie miała ich dość. Zadowalała się na krótko, głód jednak szybko powracał i ulegała mu bez oporu.

Po każdej takiej wyprawie podłoga w ich sypialni zasłana była cienkimi plastikowymi drucicami w kształcie litery T, gdy z nowych ubrań odrywała metki z cenami.

Mogli chodzić do kina, stać ich było na kuchenkę mikrofalową. Przywykli, by codziennie rano pić sok ze świeżo wyciskanych pomarańczy z Sainsbury's, z kawałeczkami prawdziwych owoców. Natalie zdumiewało, jak szybko się do tego wszystkiego przyzwyczaiła. Była z natury ekstrawagancka, zawsze bez opamiętania wydawała pieniądze, mając nadzieję, że do czasu przyjscia wyciągów z rachunków kart kredytowych wszystko jakoś samo się wyjaśni, lecz prawda była taka, że do czasu małżeństwa uczucie przerażenia, a nawet wręcz paniki, rzadko ją opuszczało. Teraz napięcie zelżało, a jego miejsce zajęło cudowne poczucie wolności. Kto powiedział, że pieniądze szczęścia nie dają?

Colin bez przerwy o coś się martwił, ona jednak łagodziła jego obawy. Wystarczyło, by objęła go ramionami i uciszyła pocałunkami. Zawsze odnosiło skutek. Jej ciało go zniewalało. Był jej, całkowicie i bez reszty. Z początku miał w łóżku zahamowania, ona jednak niestrudzenie go zachęcała, aż w końcu obudziła w nim niezdarną namiętność, która go przerażała — czy nie robi jej krzywdy? Lecz Natalie uczyła go, jak ją zadowolić. Brała jego rękę i pokazywała, jak wodzić palcami po jej ciele. Mruczała do niego czule, a zapął, z jakim tym naukom się poddawał, wzruszał ją do głębi. Naprawdę był z niego miły chłopiec i choć w zasadzie nie mieli ze sobą wiele wspólnego, życie, jakie razem wiedli, zbliżało ich do siebie. Byli młodzi, zdrowi i dobrze nastawieni do siebie nawzajem. Jak dotąd, nie pokłócili się ani razu i oboje jednakowo kochali swój nowy dom — ku jej zdumieniu nawet wspólna wyprawa do IKEA sprawiała jej przyjemność. Zapowiadało to początek małżeństwa równie dobry jak każdy inny, choć słowo „mąż” dziwnie jakoś nie pasowało do Colina. Ale być może to na początku normalne.

I tak tego wtorkowego poranka Natalie zabrała się do pracy pozytywnie nastawiona do reszty świata. Śmieszne, że jeszcze nie tak dawno to, co robiła, nudziło ją tak koszmarne. Teraz codziennie czuła przyśpieszone bicie pulsu, sprawy nabierały rozmachu. Za każdym razem, gdy brała do ręki kopertę, była jak węszący za tropem lis. Czy kiedy ją otworzy, będzie tam na nią czekać jej zwierzyna? Zmysły miała wyostrzone, wszystko jawiło się jej jako bardziej wyraziste. Nawet same biurka wyglądały znacznie bardziej biurkopodobnie, miała wrażenie, że wcześniej ich nie zauważała. Namacalnie wręcz wyczuwała barierę dzielącą ją od współpracowników i nie mogła się nadziwić, że oni niczego nie zauważają. Pracowali i gawędzili ze sobą, pogrążeni w błogiej nieświadomości innego świata, w którym żyła teraz ona.

Myślała sobie: tak muszą się czuć szpiedzy. Nie używała słowa „przestępcy” nawet w odniesieniu do samej siebie. Przecież tak naprawdę jedynie wykorzystywała system. No bo niby, do ciężkiej cholery, czemu nie?

W niektóre dni trafiały się jej cztery чеки, które mogła wykorzystać; kiedy indziej znowu nie było ani jednego. Na swój własny, sekretny użytek określała je mianem „trafień” (dzisiaj dwa trafienia). Wybierała tylko te opiewające na skromne sumy — do dwustu funtów. Jej mottem było mało, ale często. W ten sposób zmniejszała ryzyko, że zostanie nakryta.

Lecz taka możliwość w ogóle nie istniała. Nawet jeśli ktoś zauważył te niewielkie braki, w żaden sposób nie połączył ich z nią. To właśnie było w całym przedsięwzięciu najpiękniejsze. Obmyśliła wszystko tak chytrze, że gdy po latach wspominała swoje poczynania z mieszanymi uczuciami, nawet wtedy ten właśnie aspekt wzbudzał w niej niekłamane poczucie dumy.

Gdyby bowiem po prostu przelewała sumy na własne konto, prędzej czy później ktoś by się zorientował, że coś jest nie tak. Klienci przekonani, że zapłacili swoje rachunki, otrzymywali ostateczne wezwanie do zapłaty, a nawet wyłączano by im telefony. Zaczynaliby się awanturować, w NT sprawdzano by dane, by stwierdzić, że чеки nigdy nie wpłynęły. Załóżmy, że zostałyby wszczęte wewnętrzne dochodzenie. Jedynie pracownik, i to pracownik z działu rachunkowości, mógłby mieć dostęp do czeków. Tylko kwestią czasu byłoby dotarcie do Natalie.

Jej metoda była niezawodna. Ze względów bezpieczeństwa rejestrowaniem i przetwarzaniem wpłat zajmowały się dwa oddzielne działy. Każdy z nich pracował na swoim własnym programie komputerowym, lecz nietrudno było zdobyć dostęp do programu przetwarzania. Potrzebne było tylko hasło i nazwisko kogoś z działu, by mogła się zalogować.

Zajmowało jej to nie więcej niż kilka minut. Natalie wklepywała hasło, które dostała od swojej koleżanki Belindy, logowała nazwisko Belindy i ściągała rachunki różnych klientów. Małe domowe konta jej nie interesowały. Ona wykorzystywała do swoich celów rachunki wielkich firm — międzynarodowych, przemysłowych gigantów z terenu całej Brytanii — których rachunki telefoniczne były tak wielkie, że dodatkowe nędzne dwieście funtów nie mogło zwrócić nikomu uwagi. W końcu cóż znaczy dwieście funtów tu czy tam, gdy rachunek opiewał na tysiące? Albo nikt nie zauważył, albo w najgorszym razie odpisze je jako prywatne rozmowy pracowników — lokalne, nie wyszczególnione. Przerzucała kwoty na te konta, oryginalne rachunki zapisywała jako ZAPŁACONE, a чеки chowała do kieszeni.

Najpiękniejsze zaś w tym wszystkim było to, że rachunki w rzeczywistości były zapłacone, tyle że przez wielkie firmy. Żaden z Jej Ludzi — jak czule nazywała w myślach swoich nieświadomych niczego współników — tak uroczco wypisujący na czeku N.T., nie dowie się nigdy, że coś podobnego w ogóle się zdarzyło. Przecież ich rachunki zostały zrealizowane i nikt nie miał o niczym pojęcia.

I nikomu nie działa się najmniejsza krzywda.

I nikt nie wiedział. Jediną osobą, przed którą się wygadała, był Kieran, ale on na pewno zdążył już o wszystkim zapomnieć. Nadużycie środków chemicznych zrujnowało jego krótkoterminową pamięć. Poza tym on i Angie, która była Australijką, przeprowadzili się do Melbourne i zaczęli tam nowe życie. Kieran, jak biały pies, znikł na zawsze.

W sumie więc wszystko przebiegało nawet lepiej, niż się spodziewała. Tego dnia jednak pojawił się szkopuł. Wróciwszy po przerwie na lunch, Natalie stwierdziła, że komputery nie działają; padł serwer. Jej koledzy nie mając nic do roboty, wynajdowali sobie jakieś zajęcia. Sioban grała w karty z Amir, która dopiero co zaczęła w tym tygodniu pracę; Stacey wybrała się do działu ekspedycji, by odwiedzić Dereka. Nikomu ta przymusowa przerwa w pracy oczywiście nie przeszkadzała. Bywało już tak przedtem; przy odrobinie szczęścia może uda im się wyrwać do domu wcześniej.

Minęła godzina. Nowa kierowniczka pani Coles rozmawiała w swoim biurze z dyrektorem finansowym. Natalie widziała przez szybę, jak potrząsa głową i spogląda na zegarek. Gdy wyszedł, poszła do kierowniczkii.

— Co się stało? — spytała Natalie.

— Jeszcze nie wiedzą. Pracują nad tym.

— Wie pani, jak długo to potrwa?

Pani Coles uniosła brwi. Zdawało się ją cieszyć, że jedna z pracownic nie może się doczekać, by wrócić do pracy.

— Bardzo prawdopodobne, że nie zdołają ich uruchomić do jutra. Prawdziwy pech.

A co tam, pomyślała sobie Natalie. Dzisiejszego ranka nadeszły trzy czeki, wszystko ostateczne wezwania. Leżały na jej biurku, nie zdążyła się nimi zająć. No trudno, tylko ten jeden raz.

I tak pod koniec dnia wrzuciła je wszystkie do torebki. A w drodze do domu jak zwykle zatrzymała się przy skrzynce na listy i wysłała je na rachunki w trzech różnych towarzystwach budowlanych, które otworzyła na swoje nowe nazwisko.

Gdy wróciła do domu, gdzie powitał ją zapach pieczonego kurczaka, o wszystkim zdążyła już zapomnieć.

Rozdział trzeci

Kobieta w średnim wieku, o imieniu Margaret, spaceruje plażą w Brighton. „Gdy najokrutniejszy z miesięcy kwiecień...”. Wiersz wypływa na powierzchnię, zdanie po zdaniu. Tyle słów tam się czai w osadach jej umysłu. Zbłąkane, pojedyncze frazy wyskakują w najmniej oczekiwanych momentach, jak bąbelki uciekającego gazu.

Margaret była nauczycielką. Uczyła T.S. Eliota — gdy jeszcze był w programie — dziewczęta, które słuchały jej z różnym stopniem niezrozumienia. Dzisiaj wszystkie są już zapewne dorosłe. Dużo o nich myślała, a wraz z upływającym czasem coraz częściej. Dawne uczennice towarzyszyły jej jak duchy. Teraz pewnie mają mężów i dzieci. Ich losy, dla niej zakończone z chwilą, gdy pokończyły osiemnaście lat, toczyły się dalej, w nie widzianych nigdy domach, w rozrzuconych po całej Brytanii nie odwiedzonych nigdy miastach. Może któraś z nich — Annette, Diana lub któraś inna z bystrzejszych uczennic — podczas szciotkowania włosów zamyśli się czasem i wspomni słowa Chaucera, zapamiętane z okresu, gdy przygotowywały się do egzaminów: „...deszczu rzęsistym strumieniem marcową suszę zmoczy...”.

Margaret raczej w to wątpiła. Dawno temu utraciła je wszystkie. Do niej jednak słowa powracały ze straszliwą mocą. Rzeczywiście, kwiecień był najokrutniejszym z miesięcy, zwłaszcza gdy bezlitosne promienie słońca obnażały w lustrzanym odbiciu włoski porastające jej brodę. Ostatnio w Wenecji uniosła lusterko, by przyjrzeć się malowidłom Tintoretta na suficie Scuola Grande di San Rocco. Zamiast nich ujrzała jednak w nim odbite swoje własne podgardle, obwisłe i pomarszczone jak indyjskie korale. „Skoro mowa o antycznych zabytkach” zażartowała wtedy do swojej towarzyszki.

Przez całe życie starała się postępować najlepiej jak mogła, pracując do upadłego, wieczorami podgrzewając sobie dania dla jednej osoby w kuchence mikrofalowej i dbając o siebie, a teraz jakby nagle przestało jej zależeć. W pewnym sensie przyjęła to z ulgą. Podczas gdy żyjące w jej pamięci dziewczęta bezmyślnie dorastały — jak być powinno, bo czyż nie życzyła im wszystkiego najlepszego? — z niej stopniowo uchodziła para. To one, dawne uczennice wkraczały w przyszłość. Ten świat twardy i brutalny, oszałamiająco wolny w porównaniu z tym znanym jej — do nich teraz należał. Z drugiej jednak strony nie dawało się

ukryć, że więź łącząca ją z dziewczętami była nieco jednostronna. Czy wszystkie one były zbyt zajęte, by napisać choć słówko? Zwykle świąteczne życzenia w zupełności by wystarczyły.

Margaret, pogrążona w myślach, szła wolno po chrześzczących kamieniach. Nagle zorientowała się, że ma towarzystwo — tuż przy jej nodze dreptał pies. Szedł obok niej, jak gdyby odbiegł tylko na chwilę, a teraz wrócił, by resztę spaceru odbyć wraz ze swą panią. Kudłate stworzenie trzymało się tuż za nią, co jakiś czas podnosząc tylko mordę, by sprawdzić, czy się nie zgubiło. Gdy Margaret zatrzymała się w miejscu, skąd zwykle podziwiała morze, pies usiadł przy jej nodze i dysząc, cierpliwie czekał, co dalej.

Zanim doszła pod pałacowe molo, którego wielkie żelazne wsporniki wbijały się w piach, miała wrażenie, że znają się z psem od lat. Przyklękła i gładząc jego wilgotne poskręcane kudły, wymacała metalowy krążek. Był na nim wyryty numer telefonu i adres, gdzieś w Kemp Town.

Pies szedł z nią do domu, grzecznie czekając, gdy zatrzymywała się na przejściach dla pieszych. Jego ślepia, ledwie widoczne spod sierści, spoglądały na nią z wilgotną miłością. Ostatni raz była przedmiotem takiego uwielbienia, gdy hinduski sprzedawca gazet wybrał ją sobie na adresatkę swych nieprawdopodobnych seksualnych zalotów. Kiedy jednak wcisnął jej do ręki Toblerone, uznała, że pora swym patronatem objąć kogoś innego.

W mieszkaniu dała psu wodę w misce.

— Jesteś bardzo słodki, ale nie należysz do mnie — powiedziała. Pies przestał chleptać i spojrzał na nią, jakby czekał, aż pozwoli mu pić dalej. Niektóre z jej bardziej nieśmiałych uczennic miały takie samo spojrzenie. — Jeśli mam być całkiem szczerą, zatrzymałabym cię z radością, ale byłoby to tylko tymczasowe, a nie chciałabym zawieść naszych nadziei.

Sprawdziła numer na krążku i podeszła do telefonu. Psi ogon miarowo uderzał o podłogę.

Podniosła słuchawkę. Sygnału nie było.

Nagle opadła z sił. Spotykało ją to często w chwilach, gdy nie mogła odkorkować butelki, gdy pękła rura wodna w łazience. Nie dalej jak tydzień temu, mocując się z plastikowym opakowaniem kanapki z krewetkami i awokado, nagle i bez powodu zalała się łzami.

Nie mogła zadzwonić od sąsiadów.

— Wiesz co? — zwróciła się do psa. — Chyba nawet nie rozpoznałabym ich na ulicy. To zabawne, nie sądzisz? Ale ja naprawdę jestem bardzo zajęta, a wystarczy zacząć z kimś

rozmowę i nigdy nie wiadomo, do czego to może doprowadzić... Zaczną zapraszać mnie na kawę i moje życie przestałoby należeć do mnie... — Umilkła. Dziwnie się poczuła, przemawiając na głos we własnym mieszkaniu. Pies obserwował ją spod krzaczastych brwi, najwyraźniej czekając na ciąg dalszy. — Poza tym moje własne towarzystwo w zupełności mi wystarcza. Jestem tak zajęta, że z trudem znajduję czas, żeby otworzyć książkę. — Nastąpiła cisza. Pies czekał. — Będziemy musieli zadzwonić z budki telefonicznej. Zostaniesz tutaj czy wolisz pójść ze mną?

Wstała. Pies także. Podszedł do drzwi i czekał na nią. Razem wyruszyli do stojącej na rogu budki telefonicznej. Pies usiadł na zewnątrz i nie odrywał ślepiów od jej twarzy, podczas gdy ona wybierała numer NuLine.

Rozległ się dziewczęcy głos.

— Dzień dobry. Mówi Ashley. Czym mogę służyć?

Margaret wyjaśniła, że chyba na jej linii wystąpiło uszkodzenie, i poprosiła o przysłanie techników. Ashley poprosiła, by nie odkładała słuchawki. Zamiast jej głosu usłyszała *Canon Pachelbela*, utwór, do którego Margaret pałała szczególną niechęcią. Pies spoglądał na nią przez szybę, jak gdyby starając się dodać jej otuchy.

Zgłosił się mężczyzna.

— Mówi Clive. W czym mogę pomóc?

Margaret powoli, jak gdyby miała do czynienia z niezbyt bystrym uczniem, wyjaśniła wszystko od początku. Znowu rozbrzmiał Pachelbel. Margaret kończyły się pieniądze. Wrzuciła ostatnią dwudziestopensówkę i przeklęła NuLine. Zdecydowała się na nich, ponieważ BT dręczyła ją, wydzwanając w czasie kolacji, by spytać, czy jest zadowolona z ich usług.

Wreszcie ktoś o obco brzmiącym imieniu poprosił, by raz jeszcze podała swój numer telefonu, po czym oświadczył:

— Z przykrością muszę panią zawiadomić, że pani telefon został odłączony z powodu nieuiszczenia opłaty.

— Ale przecież ja zapłaciłam!

Czyżby nie wysłała czeku? Przecież pamięta, jak go wypisywała. Lecz może zapomniała go wysłać, przez ostatnie miesiące hormony płały jej podobne figle. Zawsze szczyciła się swoją doskonałą pamięcią, ostatnio jednak nie mogła już na niej tak bezwzględnie polegać. O, na przykład wczoraj odkryła swoje rękawiczki skrzętnie schowane w zamrażarce. No i jeszcze

te zmiany nastroju. Nagle, zupełnie bez powodu, wybuchła płaczem. Doktor Scott sugerował zastępczą terapię hormonalną.

Rozmyślenia przerwało jej nagle wściekłe psie szczekanie. Jakiś terier atakował jej psa. Margaret odłożyła słuchawkę i wypadła na zewnątrz.

— Freddy! — ktoś krzyczał. — Freddy, uspokój się! Leżeć! — Przystojna kobieta w skórzanej kurtce szarpała się z terierem. Próbowwała złapać go za obrozę. — Freddy! Ty łajdaku! — W końcu udało jej się schwytać i odciągnąć psa, który warcząc i szczekając, ślizgał się po chodniku. Kobieta szarpnęła smyczą. — Bardzo panią przepraszam — powiedziała, patrząc na Margaret. — Czy pani psu nic się nie stało?

— To nie jest mój pies. — Nagle z niewiadomych powodów Margaret się rozpląkała. — Nawet go nie znam.

Cóż za krepująca sytuacja. Co się z nią dzieje?

Kobieta podniosła się.

— Dobrze się pani czuje?

Margaret przytaknęła skinieniem głowy.

Upłynęła chwila i Margaret pokręciła głową przecząco.

Z Sally, legendarnej postaci w tym biznesie, była stara wyjadaczka. Od nie wiadomo ilu lat — nigdy nie zdradzała swego wieku, a nikt nie pracował w tym biznesie dostatecznie długo, by pamiętać — zajmowała stanowisko redaktora działu mody w eleganckim czasopiśmie. Po liftingu wszystkiego, co się dało, elegancka, jak zawsze w będącej jej wizytówką czerni, zdolna przetrwać wszystko w jednej z najbardziej bezwzględnych profesji świata, zdawała się nie starzeć nigdy. Projektanci od Nowego Jorku do Tokio drżeli przed nią i starali się zaskarbić sobie jej łaski, ona jednak zdawała się nie ulegać pochlebstwom — a nawet chyba wszelkim uczuciom. Przed wielu laty miała dziecko. „Wydała na świat istotę ludzką?”, spytał kiedyś Willy Landells, redaktor „Harpers & Queen”. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, bo też nigdy nie było o nim mowy. Sally nigdy nie przyznawała się do żadnego życia osobistego. Była prawdziwą profesjonalistką, dziewczyną ze stali.

Zdarzały się jednak chwile, gdy budziły się w niej ludzkie uczucia. Potrafiła czule matkować młodym projektantom i szlochać na pogrzebach ich kochanków. Nie była z niej taka twarda, stara wiedźma. Bywało też, że serce w niej miękło, gdy przeglądała zdjęcia modelek.

Tym właśnie była pochłonięta w ten kwietniowy dzień, siedząc na kanapie od Brauera wraz z Berenice, szefową wielkiej i prestiżowej agencji. Na zewnątrz Carnaby Street pławiła

się w słonecznym blasku, lecz Sally nigdy nie zwracała uwagi na pogodę. Oglądała zdjęcia młodych dziewcząt, artystycznie naświetlone arcydzieła zrobione przez Nicka Knighta i Maria Testina.

— Tabula rasa, oto, czego mi trzeba — powiedziała. — Świeżej, nie doświadczonej przez życie. Czegoś specjalnego... I musi być młodziutka.

Te dziewczęta na jakże krótko rozkwitały! Niektóre miały ledwie siedemnaście lat. Ze zdjęć spoglądały na nią z nadzieją ich twarzyczki. Uroda niektórych była tak krucha, że po kilku latach nie zostawał po niej nawet ślad. Zeszpecone nadmiarem alkoholu lub po prostu zwykłym, codziennym życiem, traciły swój blask i znikwały z katalogów agencji. Niektóre wpadały w szpony narkotyków lub zaburzeń łaknienia. Inne po prostu gdzieś przepadały. Ich pięć minut było ulotne; uwiecznione przez aparat już należały do historii.

— I musi być wolna jutro — dodała Sally. — Żeby polecieć na sesję.

Wreszcie Sally ją znalazła. Tyle razy miała to przecucie, że oto natrafiła na żyłę złota, i jak dotąd nigdy ono jej nie zawiodło. Ze zdjęcia spoglądała dziewczyna — szeroko rozstawione oczy, blond włosy jak woda spływające na ramiona, cudowne kości policzkowe. Moira Hunt.

— Nie ma żadnego doświadczenia — zauważyła Berenice.

— Widzę. A jak myślisz, dlaczego mi się spodobała?

— Takie duże zlecenie. Ale nie mogę się z tobą nie zgodzić, kochana. Jest idealna. — Sesja miała się odbyć w Maroku, do pięciostronicowej rozkładówki. — Namierzaj ją, kotku, natychmiast — zwróciła się Berenice do swojej asystentki.

Moira Hunt wykladała towar na półki w drogerii przy Stanmore Broadway. Ręce miała zajęte, wystawiając odżywkę Pantene na regał opatrzony napisem: PRODUKTY DO PIELEGNACJI WŁOSÓW: OFERTA SPECJALNA. Myślami jednak była daleko. Marzyła o Malcie — o tym, co się tam wydarzyło, i zastanawiała się, czy on zadzwoni. Minęły już trzy tygodnie, ale wiedziała, że on jest zajęty, na tyle potrafiła się z nim dogadać. Pracował przez cały dzień, podając do śniadań, obiadów, kolacji.

Wokół niej toczyła się rozmowa w hindi. Szef, pan Ramesh, kłócił się ze swoją żoną.

— Telefon nie działa.

— Wiem, że telefon nie działa.

— Co z nim zrobiłaś?

— Nic. Idź obok i zadzwoń do biura napraw.

— Jestem zajęty.

— To ja jestem zajęta...

Przez całe popołudnie nikt nie zadzwonił — ani kelner z Malty, ani nikt inny. Moira podniosła puste opakowanie. Przystanęła przed lustrem nad testerami Max Factora i spojrzała na swoje odbicie. On mówił jej, że jest śliczna. Naginając trochę fakty, odparła, że jest modelką. W końcu miała kilka drobnych zleceń. Teraz potrzebny był tylko przełom.

Lecz agencja nie mogła się do niej dodzwonić, linia była nieczynna i z Maroka wyszły nici. Przynajmniej dla Moiry. Wybrali inną dziewczynę i to jej życie odmieniło się na zawsze.

Tymczasem w Brighton w jeszcze jednym życiu zaszły zmiany. W dniu psa Margaret się zakochała. Fakt, iż źródłem uniesienia okazała się kobieta, w pierwszej chwili zaskoczył Margaret, szybko się jednak otrząsnęła. Gdy spojrzała wstecz, na minione lata, zrozumiała, iż było to nieuniknione. Jakże była ślepa! Nigdy żaden mężczyzna tak naprawdę jej nie poruszył. Dawno temu miała kilka przelotnych romansów, lecz z powodu braku poważniejszego zainteresowania z obu stron, kończyły się szybko i bezboleśnie. Kładła to na karb pochłaniającej całą jej uwagę pracy, a poza tym na swojej drodze napotkała niewielu mężczyzn — zazwyczaj żonatych tatusiów na szkolnych wywiadówkach.

Pies został zwrócony właścicielowi; słońce skryło się za horyzontem. Ona zaś, pięćdziesięcioośmioletnia kobieta jadła makaron w towarzystwie Clare, o istnieniu której jeszcze dzisiaj rano nie miała zielonego pojęcia, a która teraz wydawała się jej bratnią duszą, brakującą połową jabłka. Miała wrażenie, jak gdyby znały się przez całe życie.

— Gdybym była esejem — powiedziała Margaret — napisałabym na swoim marginesie: banalne.

Clare roześmiała się. Margaret czuła się ogromnie zabawna, rozbawiała nawet samą siebie. A Clare miała teriera, której to rasy Margaret szczególnie nie znosiła — małego, wrzaskliwego, podskakującego wiecznie jak piłka tenisowa.

Jakiś czas później opowiadały znajomym, że połączył je wyłączony telefon, znak, że rzeczy normalnie człowieka irytujące mogą przyjąć niespodziewanie cudowny obrót. Dodać należy, że Margaret tak była wdzięczna NT, że od razu, następnego dnia raz jeszcze zapłaciła rachunek za swój telefon.

Minie kilka tygodni i takie drobne przykrości pójdą w zapomnienie. W tej chwili jednak tyle ich się na siebie nałożyło, że nerwy Davida napięte były jak postronki.

Najpierw barman Lennox złożył wymówienie. Postanowił zrobić sobie sześciomiesięczny urlop i wybrać się z dziewczyną do Afryki Południowej.

Później Sheila zgubiła kluczyki do samochodu, więc David musiał pojechać dorobić nowe. Gdy jednak jakiś czas potem podjechał na stację, żeby zatankować, odkrył, iż zapomniał dorobić klucz do baku, a to oznaczało podróż autobusem do domu po łom, jazdę z powrotem kolejnym autobusem i na koniec otwieranie wlewu do baku siłą. Uszkodził przy tym karoserię, no i naturalnie wyrwał zawias. A wszystko to działo się pod obojętnym wzrokiem etiopskiego kasjera.

Miarka przebrała się następnego ranka, gdy sprawdzając dostawę z browaru, stwierdził brak jednej beczki. Wrócił do baru i zanim podniósł słuchawkę, przystanął, by spojrzeć na swoją córkę. Chloe siedziała, przeglądając jakieś czasopismo. Identycznie jak matka podwinęła pod siebie nogi.

— Chloe, co jest stolicą Ekwadoru? — zapytał.

— Słucham? — Chloe popatrzyła na niego z otwartymi ustami. Były śliczne, ślicznie wykrojone, bez wątpienia stanowiły jej największy atut, kiedy jednak tak je rozdziawiała, wyglądała jak niedorozwinięta.

— No dobrze — powiedział. — A stolicą Peru? — Czemu ona nie zadba o swoje włosy? Proste i brązowe, nosiła spięte byle jak gumką.

Sheila przerwała odkurzenie,

— Ja nie wiem, co jest stolicą Peru — odezwała się zaczepnie.

— Spytajcie Lennox — zezłościł się David. — On ma zamiar zwiedzać świat, chce coś zrobić ze swoim życiem.

— Bardzo pięknie, ale co to oznacza dla nas? — warknęła Sheila. — Że zostajemy bez cholernego barmana i tyle!

Och, Boże, jakież te jego kobiety miały wąskie horyzonty! David poczuł ogarniającą go rozpacz. Świadom wymownych spojrzeń, jakie między sobą wymieniły, podniósł słuchawkę.

Telefon był głuchy.

— Psiakrew!

Wziął telefon komórkowy Chloe i zadzwonił do firmy telekomunikacyjnej. Zanim przebrnął przez barierę trzech głosów, z których każdy nie wiadomo po co mu się przedstawiał, po czym uprzejmie kazał czekać, puszczając jakąś kretyńską muzyczkę, Sheila otworzyła pub i przy pomocy Chloe, która ślamazarnie podniosła się z krzesła, zaczęła obsługiwać pierwszych klientów. Wreszcie jakiś damski głos poinformował Davida, że jego telefon został wyłączony, gdyż nie zapłacił rachunku.

Nawet Archie, człowiek z natury raczej mało ciekawski, obrócił się, przysłuchując się wrzaskom Davida. W końcu z hukiem odłożył telefon.

— Może zaszła jakaś pomyłka — podsunęła Sheila.

— Ale ja zapłaciłem.

— Jesteś pewny?

— Oczywiście, że jestem pewny.

— W takim razie musiała zająć pomyłka.

— Tyle że ich, nie moja. Nie mam zamiaru płacić cholernego rachunku, który już raz zapłaciłem.

— Ale, Davidzie...

— I jeszcze każą mi płacić ekstra za podłączenie.

— Kochanie, posłuchaj...

— Co za pierdolona bezczelność!

Przy barze czekał mężczyzna, wymachując ujętym między dwa palce banknotem pięciofuntowym. Jak się prowadzi bar, człowiek nie ma za grosz prywatności. David musiał wiecznie trwać na posterunku, aby obsłużyć każdego klienta, który jak gdyby nigdy nic zjawiał się w drzwiach. Frontowy pokój jego domu, serce rodzinnego życia, nieustannie nachodzili obcy, którzy rozsiadali się na jego krzesłach, jak gdyby mieli do tego w pełni uświęcone prawo. Naturalnie David nie zawsze myślał o nich w ten sposób — na ogół tylko wtedy, gdy w samym środku jakiejś dyskusji z żoną nagle musiał na powrót stać się właścicielem pubu i nalać kufel piwa. Klótnię trzeba było odłożyć, czasem nawet na wiele godzin, i dopiero po wyeksmitowaniu ostatniego pijaczka mógł ją David podjąć w punkcie, w którym mu przerwano. Przez te wszystkie lata zdążył się już do tego przyzwyczaić, wpisało się to w rytm jego życia zawodowego. Zdarzało się, że po zamknięciu tracił zainteresowanie klótnią i awantura rozchodziła się po kościach. Bywało jednak, że dopiero wtedy sprawa nabierała impetu i burza rozpętywała się na dobre. Wszystko zależało od nastroju.

— Pewnie zawieruszył się gdzieś pod stertą papierów — powiedziała Sheila, gdy zamknęli pub.

— Co takiego?!

— Czek. Oni się nie mylą, mają w końcu komputery.

— Komputery! — prychnął. — Rzeczywiście, w takim razie wszystko jest w porządku.

— Po prostu zapłać, Davidzie. Musimy mieć telefon. Jutro rano ma dzwonić mama, żeby mi powiedzieć, jakie są wyniki badań. No i jeszcze mają dzwonić Millerowie w sprawie rezerwacji sali.

— To znaczy, że mam ustąpić?

— Och, nie bądź taki uparty.

— Po czyjej ty właściwie jesteś stronie? Sheila zaryglowała drzwi.

— Coś ty taki drażliwy ostatnio? Co się z tobą dzieje?

Wtedy powinien był się uspokoić. W kolejnych latach niczego bardziej gorzko nie żałował. Powinien był powiedzieć: „OK, masz rację” i zapłacić za podłączenie telefonu. Powinien był wziąć ją w ramiona, ucałować, jak chciał zrobić już od kilku tygodni, i wyjaśnić, że tak naprawdę wcale nie chodziło o telefon, tylko o całokształt, a telefon był po prostu ostatnią kroplą, która przepełniła miarę. Powinien był jej wytłumaczyć, że dręczyło go tyle spraw, o których bał się jej powiedzieć z obawy, że weźmie jego żale do siebie. A tak naprawdę wcale nie chodziło o nią, lecz o niego. Ona jest cudowną żoną, którą on wciąż kocha tak samo, a jej sterane, poczerwieniałe ręce wzbudzają w nim tkliwość. Przez te wszystkie lata znosiła go bez słowa skargi, chociaż na pewno w chwilach zwątpienia musiała czuć dokładnie to samo co on. Nigdy jednak nie miał dość odwagi, by ją o to spytać, gdyż bał się, że jego podejrzenia okażą się prawdziwe.

Lecz David milczał. Żadne z tych słów nie przeszło mu przez gardło. Z wściekłością wytarł bar i powiesił wilgotną ścierkę na dystrybutorach do piwa. Sheila, zmierzająca już na górę, przystanąła.

David pogasił światła.

— Nie zapłacę.

Przez cały następny dzień, a był to piątek, David próbował dodzwonić się do kierownika działu obsługi klienta NuLine. Lecz nawet wściekle wrzaski do słuchawki nie na wiele się zdały. W piątki zazwyczaj panował największy ruch, ludzie wychodzili z pracy wcześniej i wpadali na kilka drinków przed dalszą wędrówką w stronę centrum miasta. O piątej po południu w pubie było pełno.

— Gdzie jest Chloe?! — krzyknął David.

— Na gorze, szykuje się. — Sheila strząsnęła pianę z guinnessa. — Wychodzi dzisiaj, nie pamiętasz?

Chloe przyglądała się w lustrze swojemu odbiciu. Na łóżku piętrzył się stos ubrań. Przy mierzyła je wszystkie i wszystkie bez wyjątku były okropne. Poprawka, były okropne, gdy ona je na siebie włożyła. W sukienkach wyglądała jak sprzątaczką. Spódnice (rozmiar 46) uwydatniały jej wielkie obwisłe brzuszysko. To nie jest moje ciało, pomyślała. Narosło wokół mnie jak jakiś obcy twór, należący do kogoś innego. Błagam, niech je ktoś zabierze! W głębi serca dobrze wiedziała, dlaczego ojciec przestał robić jej zdjęcia — wstydził się tego, czym się stała. Wielka kreatura, mutant spłodzony przez niego. Przecież to niemożliwe, żeby ją jeszcze kochał.

Zresztą czy ktokolwiek mógłby ją kochać? Dwa piętra niżej słyszała szmer ludzkich głosów. Ludzie wylegli na ulice. Śmiali się. Wchodzili do baru, żeby napić się i porozmawiać. Następna scenka — jako wiecznie stojąca tylko z boku obserwatorka świetnie znała ten skomplikowany rytuał zalotów — siedzą razem przy stoliku, niby to przypadkiem się dotykają, z uwagą studiując w wieczornej gazecie repertuar kinowy. A potem następował okres rozrodczy (jakże marzyła, żeby mieć własne dziecko), podczas którego znikali z widoku, choć facet pojawiał się od czasu do czasu, by obejrzeć na Sky jakiś wielki mecz. Ale miał dom, do którego wracał, życie. Był kochany.

Ostatecznie wybór Chloe padł na czarne legginsy — same w sobie obrzydliwe, bezlitośnie podkreślające wszystkie jej otłuszczone krągłości, lecz w połączeniu z obszerną górą dużo bardziej do przyjęcia. Bluzka miała głębokie wycięcie z przodu, odsłaniające jej dekolt. W głowie Chloe zaświtała nagle myśl: czy któregoś dnia jakiś mężczyzna oszaleje na punkcie moich piersi? Były one bowiem jedyną częścią jej ciała, z której była odrobinę dumna. Mam też niebrzydkie stopy, pomyślała, ale kto by tam na nie zwracał uwagę? Tylko ja wiem, że mam smukłe palce u stóp, chociaż wyglądają, jakby należały do kogoś zupełnie innego.

Chloe ciężko zeszła po schodach i zaczęła torować sobie drogę przez bar. Lennox stał odwrócony do niej plecami, zajęty zbieraniem pustych szklanek. Nigdy wcześniej nie знаła nikogo, kto potrafiłby w jednej ręce unieść jednocześnie tyle pustych szklanek. Była to kolejna cudowna rzecz, którą w nim uwielbiała.

Jaka szkoda, że nie zauważył jej, gdy była tak starannie ubrana. Nigdzie też nie widziała matki. Ojciec natomiast stał tam gdzie zwykle, za barem.

Spojrzał na nią i znieruchomiał. Na jego twarzy pojawił się grymas irytacji wywołanej widokiem córki, a raczej tego, co z niej wyrosło. Ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział, brzmiały:

— Masz klucze?

Chloe wybierała się na przyjęcie urodzinowe Roweny — jej koleżanki stewardesy — które odbywało się w klubie w centrum miasta, gdzieś za Debenhams. Chloe nie należała do bywalczyń klubów Manchesteru. Ten, do którego teraz zmierzała, nazywał się Pixies. Dobiegającą z niego muzykę słychać było aż na ulicy. Wejścia broniła zagroda ze sznura i bramkarz. Chloe była bliska wydania taksówkarzowi polecenia, by zawrócił i zawiózł ją z powrotem do domu. Powstrzymała ją od tego jedynie myśl o wyrazie, jaki na jej widok odmaluje się na twarzach rodziców; chyba nie zniosłaby takiego upokorzenia.

W środku, na widok tłumu ludzi Chloe poczuła ogarniającą ją panikę. Wiedziała, że powinna była tu przyjść. Nazywało się to miłym spędzaniem czasu. „Musisz zacząć żyć”, powtarzał jej ojciec. On lubił balować, ale czy to oznaczało, że ona musi być w tym do niego podobna? Trzeba było przedzierać się przez tłum do baru po drinka, na którego tak naprawdę wcale nie miało się ochoty. Wydierać się do ludzi, którzy i tak niczego nie słyszeli, ani też nie byli zainteresowani, co się do nich mówi. Ryczeć ze śmiechu z kawałów, nie rozumiejąc nawet ich pointy. Co wieczór w pubie wszystko przebiegało w ten sam sposób — ludzie pchali się, wrzeszczeli, zalewali w trupa.

Ściskając kurczowo szklanę z koktajlem, Chloe tęskniła za swoim pokojem. Za jego ciszą i spokojem, przysłoniętą abażurem z frędzelkami lampą i nie przeczytanymi numerami „Elle”. Wszystko to tam na nią czekało. „Nie możesz tak gnić”. Jak jej ojciec mógł powiedzieć coś takiego? „Gnić”. Przecież jeszcze nie umarła. Po prostu czekała, aż jej czas nadejdzie. Może na przykład zgłosi się do służby cywilnej. On się jeszcze przekona, na co ją stać. Kiedy w końcu na coś się zdecyduje, zrobi to. Okropny był z niego dręczyciel, zupełnie wyzuty z wrażliwości. Czy nie potrafi pojąć, że nikt by jej nie zatrudnił jako stewardesy?

Chloe wypila całą zawartość szklanki. Z zasady nie piła, alkohol nigdy jej nie smakował, ale ten koktajl był taki smaczny jak syrop. Rozpoznała w tłumie kilka znajomych ze szkoły twarzy — Shelley, Anne-Marie. Krzyknęła do nich na powitanie, one odkrzyknęły coś w odpowiedzi. ...fryzjerstwo ...mały trzyletni chłopczyk ...jakieś wieści od Andy'ego? Dobrze wiedziała, co każda z nich myślała: „Chryste, ależ ta Chloe się spała”.

Lecz po drugim koktajlu jakby zaczęła się tym mniej przejmować. Podobnie jak tym, że — co było wysoce prawdopodobne — jest w tej sali jedyną dziewczyną. Zdarzało jej się parę razy z kimś pieścić, ale byli to na ogół kompletnie ululani chłopcy, a ona, jako córka właściciela pubu, pogardzała pijakami. Lecz nadejdzie dzień, gdy spotka swoją prawdziwą, tę jedyną

miłość. „Twoje piersi”, powie on zachwycony, „uwielbiam je”. Nie tylko jej piersi — ją samą. Będą patrzeć sobie w oczy, trzymać się za ręce i poza tym wszystko inne przestanie się liczyć.

Czas płynął i Chloe czuła się coraz swobodniej. „What will be, will be...”. Uwielbiała stare standardy, których nauczył ją ojciec... „Que sera, sera...” Słowa kołysały się jej w głowie jak brandy w kieliszku. Przyszłość sama się o siebie zatroszczy. Niespodziewanie, ku swemu zaskoczeniu, Chloe zaczęła się dobrze bawić. Około dziesiątej przeskoczyła na wyższy bieg i nagle zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Zatańczyła nawet z grupką dziewcząt — ich ręce, jakby żyjące własnym życiem, klaskały nad ich głowami. „*Thank you for your days*”, śpiewał Ray Davies. Była to jedna z ulubionych piosenek jej ojca i Chloe poczuła, jak na myśl o nim zalewa ją fala czułości. Nie był tak naprawdę zły, przecież szczerze ją kochał.

Lubiła teraz wszystkich. Z dodającym jej pewności siebie uczuciem zadowolenia dostrzegła nawet, że nie każdy w klubie był taki piękny. Prawdę powiedziawszy, niektóre dziewczyny były wręcz brzydkie, choć usilnie — podobnie jak ona — starały się jakoś temu zaradzić. Świat najwyraźniej nie dzielił się na nią, wielkiego kłoca, i urodziwych. Wszyscy byli w tym razem, jednakowo mozoląc się i walcząc, po prostu członkowie jednej rasy, ludzkiej. Ze zdumieniem uświadomiła sobie tkwiące w tym piękno. Czemu wcześniej tego nie widziała?

Naprawdę dobrze się bawie, pomyślała z niekłamanym zdumieniem. Lekko się wstawiła, ale czy, komuś to przeszkadzało? Nagle muzyka umilkła i wszyscy odśpiewali *Sto lat* na cześć Roweny, a sama jubilatka nieco chwiejnie wdrapała się na estradę i sama sobie zaśpiewała „Niech żyje Rowena nam”. Po tym występie w jej ślady szli inni i nagle Maddy jakaś-tam, kolejna przyjemnie tłusciutka koleżanka ze szkoły, zaczęła szarpać Chloe za rękaw.

— Chloe, idź, zaśpiewaj coś, masz taki niesamowity głos.

I oto Chloe stała na estradzie, śpiewając swoim czystym, donośnym głosem:

— „Gdybym miała skrzydła jak gołąbka Noego, poleciałabym nad rzekę, do mego ukochanego...”.

Tłum wpatrywał się w nią zahipnotyzowany. Jej skrepowanie gdzieś znikło.

— „Gdy odrobinę rozchyliłam fartuszek, nie mogłam odpędzić cię od moich drzwi...”.

Jej głos zawsze ją zdumiewał. Należał do niej, dobywał się z aż nadto dobrze znanego ciała, lecz jednocześnie istniał jakby niezależnie od niej, był jak ulatujący z jej otwartych ust ptak. Uwielbiała śpiewać.

— „Lecz teraz mój fartuszek zbyt wiele zakrywa, przechodzisz obok, lecz do mnie nie zaglądasz... żegnaj, mój ukochany, żegnaj...”

Sala słuchała w milczeniu. Poza nią nikt nie znał ludowych piosenek, nie mogli więc jej wtórować. Piosenka wypływała z niej, wylewała się niczym płynne złoto. Jakże smutna była, ale jakże piękna! Nawet ci, którzy wyglądali, jakby niczego im do szczęścia nie brakowało, musieli mieć świadomość, że miłość to coś ulotnego, podobnie jak całe życie, i że tak naprawdę pewnym można być tylko tej chwili — tu i teraz — w ten tylko wieczór.

— „Któregoś dnia, niezbyt odległego, zawołasz moje imię, ale mnie już nie będzie... Żegnaj, o mój ukochany, żegnaj...”

Umilkła. Rozległy się oklaski.

— Jeszcze, jeszcze!

Lecz czar prysł. Zaczerwieniona uciekła z estrady. Nagle jakiś mężczyzna ujął obie jej dłonie w swoje ręce.

— Ja płacę, płacę — przemówił z silnie obcym akcentem. — To jest piękne.

Rzeczywiście, w jego oczach błyszcząły łzy. Był wielkim mężczyzną, o wielkiej płaskiej twarzy, zeszpeconej bliznami po trądziku.

Rozpoznała go — to ochroniarz. Zaczęli rozmawiać.

— Jestem Cheddar — przedstawił się. Mówiono tak na niego, bo nikt nie potrafił wymówić jego prawdziwego imienia. Powiedział, że służył w jugosłowiańskiej armii i że Manchester to wielkie i samotne miasto.

— Przez chwilę ja słyszę swoją wioskę — mówił dalej. — Ja słyszę moją matkę śpiewającą, gdy pierze ubrania.

Opowiedział jej, że jego wieś położona była w górach i gdy w sąsiedniej dolinie zakaszła koza, oni ją słyszeli. Chloe przynajmniej zdawało się, że o to właśnie mu chodziło. Nawet zakaszła, żeby łatwiej mogła go zrozumieć.

Wraz z nim podeszła do jego posterunku przy drzwiach. Patrzył na nią przez cały czas i zaglądał jej w oczy.

— Takie piękne. — Otarł łzę. — Świat taki zły, a to takie piękne.

— Dawno temu mój tata zarabiał na życie śpiewaniem, ale teraz przestał.

— Nawet to miejsce... — Cheddar dźgnął palcem w stronę ulicy. — Nawet to miasto, są ludzie i oni się zabijają.

— Kupił mi gitarę, ale mnie zadrećzał, nigdy mu się nie podobało, jak grałam.

— Patrzę ludziom w oczy. To moja praca. Przychodzą do tego miejsca i w jednym momencie — podniósł do góry swój wielki palec — w jednym szybkim momencie już wiem. Czy przyszli tu w złości, robić kłopoty?

— Masz takie wielkie dłonie — zauważyła Chloe. Udał, że kogoś dusi.

— Sześć ludzi — powiedział. — Pierwszy człowiek, ja płaczę i płaczę.

— Chcesz powiedzieć, że ich zabiłeś, tam, w Jugosławii? —

Zadrżała. Jednak nie przerażał jej, był w nim jakiś wielki smutek, jak gdyby wszystko to robił z największą niechęcią.

Stali razem przez jakiś czas. Dobrze się czuła w jego obecności, niczego od niej nie chciał. Oboje nigdzie nie pasujemy, pomyślała.

— Angielskie dziewczyny, one są takie zimne — powiedział.

— Wiem. — Pokiwała głową. — Anglicy są bardzo grzeczni, nigdy nie mówią, co myślą naprawdę. Dlatego lubią się upijać, bo tylko w ten sposób potrafią się rozluźnić. — Zaśmiała się krótko. — Ja wiem najlepiej. Moi rodzice prowadzą pub.

— Angielskie dziewczyny... takie chude. — Ułożył palec wskazujący i kciuk w taki sposób, że powstała między nimi niewielka przestrzeń.

Przytaknęła entuzjastycznie.

— Sama skóra i kości.

— Skóra i kości?

— O cholera... nie chciałam powiedzieć, że nie żyją. — Tam, skąd pochodził, zapewne tak się właśnie mówiło.

Rękami zarysował w powietrzu kształt klepsydry.

— To mi się podoba.

— To dobrze. Prawdę powiedziawszy, podoba się wielu mężczyznom.

Ludzie zaczęli wychodzić. Cheddar żegnał ich skinieniem głowy. Miał eleganckie maniery człowieka ze wschodniej Europy. Była przekonana, że brytyjski bramkarz nigdy by się w ten sposób nie zachował.

Stojąc przy wielkim Jugosłowianinie, Chloe ogarnęło obce, nieznanne uczucie — tak obce, że przez chwilę nie potrafiła go nazwać. Czuła się jak drobna istotka. Obecność Cheddara sprawiała, że czuła się jak młoda, potrzebująca opieki kobieta. Naprawdę się upiłam, przemknęło jej przez myśl.

Wychodziło coraz więcej ludzi. Przepływali obok niego, a on tkwił na swoim posterunku jak skała po odejściu fali odpływowej.

Tego wieczoru Chloe znalazła się w dziwnym stanie: upojona euforią wywołaną występem — czuła się podczas niego jak ktoś wyjątkowy! — a teraz obdarzona zachwytem tego lubiącego duże kobiety wielkoluda. Pewnie w jego wiosce wszystkie wyglądają jak ona. Wyobraziła sobie baby jak piece, z chustkami na głowach, tulące równie wielkie niemowlęta. Gdzieś chyba musiała widzieć takie zdjęcie. Jak mogła tak się nad sobą uzalać? Pomyśleć tylko o tych wszystkich tragediach, których on był świadkiem.

— Moja ciotka... — Zrobił gest, jakby podrzynał sobie gardło. — I jej trójka malutkich dzieci...

— To potworne!

Powiedział jej, że w ciągu dnia pracuje w myjni samochodowej i wysyła pieniądze swojej rodzinie w górach.

— Dasz sobie radę? — spytała Denise, koleżanka ze szkoły, wychodząca właśnie ze swoim chłopakiem. — A może cię podwieźć?

Chloe pokręciła głową. Denise obrzuciła ich oboje spojrzeniem, uśmiechnęła się konspiracyjnie i odeszła.

— Idziesz do domu? — zapytał Cheddar. — Masz samochód? Zaprzeczyła.

— Wezwę taksówkę.

— Nie... chcę powiedzieć... któregoś dnia przyjdiesz do mnie, a ja umyję twój samochód.

Serce jej podskoczyło z radości.

— Ach, rozumiem. Nie, nie mam samochodu. Nie umiem prowadzić.

— Przyjdiesz do Pixies znowu? Skinęła głową.

— Jutro... — Urwała gwałtownie. Czy nie jest zbyt chętna? — Tak, kiedyś na pewno.

Umilkli. Wciąż stali w holu. Z sufitu zwieszały się zrobione z folii aluminiowej gwiazdy.

Wychodzili już chyba ostatni goście.

— *Arrivederci*, mała — powiedziała jubilatka Rowena. Idąc, zataczała się nieco. — Byłaś świetna... — Jej słowa połknęła noc.

— Mam samochód — odezwał się Cheddar. — Volkswagena polo. Pojedziesz ze mną któregoś dnia?

Chloe kiwnęła głową. Czuła się jak pod działaniem uroku, lecz wiedziała, że i ona powinna już wracać do domu.

— Przepraszam na chwilę — powiedziała i poszła po kurtkę. Dziewczyna w szatni malowała usta szminką. Przed nią także rysowały się wspaniałe możliwości. Byli w tym wszyscy razem. Chloe znalazła swój telefon komórkowy i zadzwoniła po taksówkę.

— Kotku, przez najbliższą godzinę nic — poinformował ją jakiś głos. — W najlepszym razie.

Chloe nie wiedziała, co robić. Nie chciało jej się czekać przez godzinę. Choć Cheddar bardzo jej się podobał, nie chciała go zatrzymywać tak długo. Marzyła, by wrócić do domu i myśleć o nim. Pragnęła znaleźć się w łóżku i bez końca odtwarzać sobie w myślach tę noc, minuta po minucie. Poza tym zrobiło się już pół do drugiej i klub opustoszał.

Wybrała numer do domu. „Gdziekolwiek byś była, obojętnie o której... po prostu zadzwoń... czekaj, póki po ciebie nie przyjadę”.

Ale telefon domowy nie działał.

No jasne. Przecież go odłączyli. Dlatego tata był przez cały dzień w takim podłym nastroju.

Chloe stała, nie wiedząc, co robić. Nie mogła poprosić Cheddera, żeby odwiózł ją do domu swoim volkswagenem polo. Po pierwsze i tak był jeszcze w pracy. A po drugie... czy to wypada?

— Znasz jakiś inny numer radio-taxi? — zwróciła się do szatniarki.

Dziewczyna podała jej kartkę. Chloe zadzwoniła, ale i tym razem usłyszała:

— Co najmniej pięćdziesiąt minut. Mamy prawdziwe urwanie głowy.

Pozostało jej tylko jedno — powrót do domu na piechotę. To w sumie niedaleko, zaledwie kilka mil, a nie zaszkodzi jej, jak się trochę porusza.

Wychodząc, uściśnęła Cheddarowi dłoń. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

— Idziesz sama? — spytał ze ściągniętymi brwiami. — Nic mi nie będzie.

Księżyc był w pełni. Wychynał zza budynku tak niespodziewanie, że aż ją zaskoczył. Jaki wielki był tej nocy! Przysłonięty chmurami, rozmywał się jak rozpuszczana w wodzie pastylka. Niebo wokół niego było rozświetlone jego blaskiem.

Chloe szła w swoich ciężkich, sznurowanych butach. Przeszła wzdłuż Debenhams z butami Adidasa w oknach wystawowych, minęła Piccadilly. Przecięła tory tramwajowe i ruszyła dalej Mosley Street, szeroką i ponurą, z ciągnącymi się po obu stronach zamkniętymi

na głucho bankami. To dziwne, że wszystkie taksówki były takie zajęte, przecież ulice świeciły pustkami. Jeśli skręci w lewo i pójdzie na skróty przez Chinatown, wyjdzie na Oxford Street. A stamtąd droga do domu była już prosta.

Restauracje były pozamykane. W Woo Sang Cantonese nie paliły się żadne światła, tylko na zewnątrz leżała sterta worków ze śmieciami. Nawet knajpa o nazwie Legs Table Dancing Bar była zamknięta. Gdzie się wszyscy podziali? Świecące pustkami bramy cuchnęły uryną. Skręciła w prawo. Może jednak trzeba było skręcić w lewo? Zmysł orientacji miała raczej słaby. Minęła szumiący miarowo wentylator. W tej części miasta budynki były wyższe, groźnie wznosiły się w ciemnościach. Dotarła do końca ulicy i po drugiej stronie ujrzała bar i napis: PARKING NCP.

Zawróciła, przystanąła na skrzyżowaniu i skręciła w lewo. Ulica wydała jej się jakby znajoma. Może szła tą samą drogą, którą tu doszła? Czy gdyby poszła w prawo, na pewno znalazłaby się na

Oxford Street? Zmieniając kierunek, skręciła w biegnącą na prawo ulicę i mijala sklepy ze spuszczoneymi roletami. Na rogu zobaczyła sklep sprzedający towary z rabatem: WSZYSTKO MUSI SIĘ SPRZEDAĆ. Rozpoznała go i poczuła się nieco pewniej. Tutaj kupiła sobie odtwarzacz CD. Jeśli pójdzie dalej tą ulicą, dotrze do innej, prowadzącej do Oxford Street, i wtedy wszystko już będzie dobrze. Przejdzie pod mostem i minie budynek BBC, skąd od domu dzielić ją będzie już tylko jedna mila.

Chloe zadrżała. Po chodniku frunęła unoszona wiatrem plastikowa torba. Uparcie toczyła się w stronę Chloe, jak gdyby wzięła ją sobie na cel. Sodowe światło latarni zalewało wszystko nie dającym cienia blaskiem. W mieście, pomyślała, księżyc nigdy nie odbija się od chodników. W wiosce Cheddara stanęłaby na szczycie wzgórza i uniosła twarz ku obsypanemu gwiazdami niebu, a wiszący na nim ogromny księżyc skąpałby jej twarz swym blaskiem, czyniąc ją nieziemsko piękną. Wszystko inne przestałoby się liczyć — wieczne krytyki jej ojca, nerwowa, pełna opiekuńczej troski miłość matki. „Rób coś, zwiedzaj świat”, powtarzał ojciec. Jeszcze ona mu pokaże! Ucieknij do Jugosławii, czy jak się to tam teraz nazywa, i ciekawe, jakie wtedy będą mieli miny? Najpierw będzie musiała się dowiedzieć czegoś o Serbach i Chorwatach. A muzułmanie? Jak z nimi miały się sprawy? Nigdy nie słuchała uważnie, gdy była o nich mowa w wiadomościach. Lecz Cheddar na pewno nie krzywiłby się na jej ignorancję. W przeciwieństwie do jej ojca, był łagodnym i cierpliwym człowiekiem.

Rany boskie, ależ było zimno! Chloe szczelniej otuliła się kurtką. „Kwiecień to miesiąc najśrodszy ze wszystkich”. Gdzie ona to czytała — w szkole? Alkohol już zupełnie wyparował jej z głowy. Teraz po prostu czuła się szczęśliwa. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie był jej tak bliski. W porównaniu z tym jakże żałośnie dziecinne wydawało się jej beznadziejne zadurzenie w Lennoksie! Zmierzając ku głównej ulicy, myślała o skórze Cheddara, tak okrutnie zeszepeczonej przez trądzik. On na pewno też cierpiał z powodu swojego wyglądu. Także i to mieli ze sobą wspólne. Łączyło ich braterstwo dusz.

Chloe zatrzymała się na krawężniku. To nie była główna droga, tylko jednokierunkowa ulica, zupełnie pusta. Na widniejącym w oddali skrzyżowaniu światła zmieniły się na czerwone. Nigdy wcześniej tu nie była.

Spojrzała w górę. Księżyc zniknął, pozostała po nim jedynie mleczna poświata. Chyba przesunął się na lewo od niej, a przecież powinna go mieć przed sobą.

Skreśliła i pośpiesznie ruszyła boczną ulicą, kierując się mlecznym blaskiem. Nie bała się, czuła tylko zmęczenie i było jej zimno, buty ją ocierały, lecz od wewnątrz czuła przepelniające ją ciepło. Wiedziała, że Cheddar ją polubił i że prędzej czy później przyjdzie po nią. Wyciągnie swoje wielkie dłonie, uwolni ją od życia, które wiodła, i będą razem szczęśliwi.

Ulica rozdzielała się na dwoje. Księżyc przepadł gdzieś bez śladu. Na niebie pojawiła się pomarańczowa luna. Skąd się wzięła? Może krążyła w kółko i teraz wracała z powrotem do centrum miasta. Na wprost niej wznosiła się wieża kościoła, zakończona ostro jak igła. Widoczny na niej oświetlony zegar wskazywał dwadzieścia po czwartej.

Chloe czuła mętlik w głowie. Czy to możliwe, że zrobiło się tak późno? Miała jednak wrażenie, że błąka się już od wielu godzin.

Spojrzała na swój zegarek: dwadzieścia po drugiej. Zegar na wieży musiał być zepsuty. Noc zupełnie zwariowała, jakby nie umiała się odnaleźć. Stojąc koło kościoła, Chloe usłyszała nagle odległy, cichuteńki pomruk, jak szum jadących autostradą samochodów. Tylko którą? A może po prostu szumiało jej w głowie?

Nie wpadła w panikę. Odwróciła się i dziarsko pomaszerowała drogą, którą tu dotarła. Jeśli uda jej się odnaleźć sklep z tanimi artykułami, będzie mogła zacząć od początku. Nagle poczuła bolesne pragnienie, by być już w domu, bezpiecznie leżeć opatulona ciepłą kołdrą. „Gdzie byłaś, kochanie?”, zapyta matka, w szlafroku stając w drzwiach. Nachyli się i Chloe pocałuje ją na dobranoc. „Dzięki Bogu, że już jesteś w domu. Powinnaś była zadzwonić”.

Ale przecież nie miała jak zadzwonić.

Chloe postanowiła wrócić do centrum. Poczula palącą potrzebę, by znaleźć się wśród ludzi, nawet gdyby to miały być gromady pijaków, ujrzeć palące się w oknach światła. Jeśli uda jej się odnaleźć drogę do Piccadilly Station, może tam złapie na postoju taksówkę. Chyba że odjechał już ostatni pociąg.

Przyśpieszyła kroku. Jasne, że już odjechał. Dworzec kolejowy był pusty, tylko na chodniku piętrzyły się stosy pękających worków na śmieci, połyskujących w świetle latarni. Były tak przepełnione, że puściła taśma, którą były związane. Czy tędy już szła? Minęła chińską restaurację z jedzeniem na wynos, ale to nie było w Chinatown. Tu budynki były wyższe i nie stały tak blisko siebie. Nagle znalazła się nad kanałem, którego wcześniej nie widziała. Przebiegła obok cichych i ciemnych biurowców, drzemiących w oczekiwaniu na poniedziałek. Ujrzała podziemny parking z jasnym neonem: WOLNE MIEJSCA. Wszystko to widziała po raz pierwszy. Czy aby jednak na pewno? Ojciec zawsze powtarzał, że chodzi jak nieprzytomna. „Uważaj, gdzie idziesz, na miłość boską!”

Wtedy usłyszała samochód. Z początku dźwięk był cichy, narastał jednak. Nadjeżdżał od tyłu.

W pierwszej chwili przeraziła się. Zaraz jednak pomyślała, że to na pewno on. Wiedziała, że Cheddar ją uratuje, wyczuwała to od samego początku. „Idziesz sama?”, spytał zaniepokojony. Martwił się o nią, wiedziała o tym. Skąd? Bo byli sobie przeznaczeni. Natychmiast oboje to zrozumieli.

Cheddar w swoim polo odnalazł ją i teraz odwiezie ją do domu, pocałuje na progu i ani się obejrzy, jak będzie się nazywać pani

Chloe jakaś-tam, nosić jego cudowne, niemożliwe do wypowiedzenia zagraniczne nazwisko.

Chloe szła dalej. Uśmiechając się do siebie, myślała: udawaj, że o niczym nie wiesz. Samochód podjechał do niej. Odwróciła się z twarzą rozpromienioną uśmiechem.

Tylko że to nie był on.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Sobotni świt wstał różowy, mokry od rosy. Powietrze było łagodne i balsamiczne, jak w lecie. Wczesnym przedpołudniem Colin, który od rana kopał staw, rozebrał się i pracował w samym podkoszulku. Glina była ciężka, Colin nabrał jej pełną łopatę i zrzucił na stale rosnącą przyzę. Obok czekała porządnie zwinięta gumowa wyściółka na dno. Pod koniec tygodnia ukończy budowę stawu i będzie mógł przenieść do niego kijanki (właśnie się wykluły) ze starego stawu do ich nowego domu. Im głębiej kopał, tym bardziej mokra i ciężka stawała się glina. Z wysiłkiem nabrał kolejną łopatę i wyrzucił jej zawartość za siebie.

— Patrz, mamusiu, on tam zakopie trupa!

— Ciszej, Dominic!

Do domu obok wprowadziła się rodzina. Dziecko, które widocznie musiało się na coś wspiąć, przyglądało mu się znad płotu. Colin wyprostował się.

— Nikogo tu nie zakopię — powiedział. — To dla żab.

— Fuj — prychnął malec i zniknął.

Kobieta odsunęła włosy opadające jej na twarz. Ona także się pocila.

— Ogląda za dużo telewizji — stwierdziła.

— Tu kiedyś był prawdziwy staw.

— Wieczorem sprawdza, czy drzwi są porządnie zamknięte. To śmieszne, żeby dziecko tak się zachowywało. — Odwróciła się. Nad płotem widział czubek jej głowy zmierzający w stronę domu.

Natalie wciąż jeszcze spała. Zawsze przesypiała najpiękniejszą porę dnia, ale Colin zdążył się już do tego przyzwyczaić. Powinna robić tylko to, na co ma ochotę. Świadomość, że jest tam, śni pod ich kołdrą, wystarczała mu w zupełności — nawet więcej niż w zupełności; niezmiennie go zdumiewała. Nie mógł odpędzić myśli, że któregoś dnia wejdzie na górę, a jej tam nie będzie. Po prostu odejdzie, jak gdyby nigdy jej nie było. Usłyszał dzwonek, więc wszedł do domu. Na progu stało dwóch mężczyzn.

— Dostawa dla pana Taylora. Jedna składana ogrodowa szopa.

Zdumiony Colin wybałuszył oczy. Za sobą usłyszał na schodach kroki i pojawiła się Natalie — zaspana, w samym podkoszulku i majtkach.

— To dla ciebie.

— Ale, kochanie, przecież sam je sobie buduję.

— To prezent. — Pocałowała go w policzek. Zauważył, jak mężczyźni taksują ją wzrokiem. — Budowa zajmuje ci tyle czasu i zrobiło mi się ciębie żal. Zresztą ta jest o niebo lepsza.

— Ale przecież nie mamy pieniędzy. Przytuliła się do niego.

— Mamy.

Pachniała snem, ich sekretnymi, wspólnymi nocami. Jej pozbawiona makijażu twarz była czysta i delikatna. Taką właśnie najbardziej uwielbiał — Natalie, która należała wyłącznie do niego.

— Przecież wiem, że chcesz jak najszybciej przenieść tu swoje zwierzaki. Mama ma ich już powyżej uszu. Tak będzie szybciej. Wciąż mówiła o nich „zwierzaki”, on jednak nie starał się jej poprawiać. Zdążył się już przyzwyczaić, że ani strona naukowa, ani jego program hodowlany czy oddział rehabilitacyjny zupełnie jej nie interesowały.

— Chłopczyk, który mieszka obok, myśli, że jestem mordercą. Roześmiała się.

— Ja też tak pomyślałam, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy: „Chryste, to monter psychopata, morderca!”

Nagle przyszło mu do głowy, że to prawda — rzeczywiście mógłby kogoś zabić. Gdyby ktoś chciał skrzywdzić moją żonę, pomyślał, zarąbałbym go na śmierć. Odkąd spotkał Natalie, wciąż nachodziło go tyle zdumiewających myśli, doświadczał tak wielu nowych przeżyć, że ta ostatnia myśl nawet go nie poruszyła. Zresztą, biorąc pod uwagę okoliczności, czy ktoś jest w stanie przewidzieć swoje reakcje? Na szczęście, większość ludzi nigdy nie musiała się o tym przekonywać.

— Martwię się, że wypruwasz sobie żyły tylko po to, żeby mi coś kupować.

— Niczego sobie nie wypruwam. — Połaskotała go pod brodą. — Możesz mi wierzyć.

Do niedzieli staw był wyłożony wyściółką, a jego brzegi otoczone kamieniami. Teraz Colin musiał zamontować jeszcze tylko pompę, napełnić go wodą, wlać roztwór neutralizujący chlor i staw będzie gotowy na przyjęcie nowych mieszkańców. Dzień znowu był gorący — zbyt gorący jak na kwiecień, lecz cóż, ostatnimi czasy pogoda ciągle ich zaskakiwała.

Colin popatrzył na rozłożone na trawniku elementy szopy. Prawdę powiedziawszy, wolałby sam sobie ją wybudować. Te wszystkie gotowce były do niczego i po roku zaczynały się sypać. Nie miał jednak serca powiedzieć o tym Natalie.

W południe pojawiła się w ogródku ubrana w bikini i rozłożyła się na kocu.

— Wysmarowałaś się olejkiem do opalania? — spytał zaniepokojony. — Żebyś nie dostała poparzeń.

Spuściła okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnęła się.

— Lepiej pilnuj, żeby ci się dobrze stawiało.

Zaczerwienił się i włączył radio. Właśnie nadawali wiadomości. Rozerwał plastikowy woreczek ze śrubami — były ćwierćcalowe, zupełnie nieodpowiednie — i zapatrzył się na opalającą się Natalie. Była taka blada i bezbronna jak świeżo wylęgła larwa.

— ...dzisiejszego ranka w Manchesterze znaleziono ciało młodej, zamordowanej kobiety, zidentyfikowanej jako...

— O matko! — jęknęła Natalie. — Wyłącz to. — I obróciła się na brzuch.

W poniedziałek po pracy Natalie znalazła bukiet kwiatów wetknięty za wycieraczkę jej samochodu. Poza tym nie było niczego, ale i tak mogła się domyślić, kto był ofiarodawcą. Głupkowaty drań, pomyślała. Przecież każdy mógł go zobaczyć. I tak cud, że nie włączył się alarm.

Przez ostatnie tygodnie Phillip pojawiał się w biurze coraz częściej. Rozmawiał ostentacyjnie z panią Coles, ale nie spuszczał wzroku z Natalie. Jej były kochanek dość mizernie się prezentował — wychudł i był jakiś taki wybiedzony. Ktoś — ciekawe kto? — ostrzygł go zbyt krótko, z czym nie było mu do twarzy. Natalie nie zwracała na niego uwagi. Od czasu do czasu jednak znajdowała na swoim biurku drobne prezenty; na przykład w zeszły czwartek leżało tam przewiązane wstążką pudełko czekoladek.

Cisnęła kwiaty na podłogę w samochodzie, gdzie zostały, więdnąc w swoim opakowaniu. Nie miała czasu dla Phillipa. Nie mogła pojąć, jak kiedyś mógł się jej podobać. Teraz była zbyt pochłonięta własnymi sprawami.

Dni stawały się coraz dłuższe. Colin postawił już swoją ostatnią szopę, tę, którą mu sprezentowała, i szykował się do przewiezienia ostatniej partii żółwi. Właśnie wyszły ze stanu hibernacji.

— Tak samo jak ja — śmiał się Colin. — Ja także byłem zahibernowany.

Ostatnio coraz częściej mówił podobne rzeczy. Z dawnego milczka zrobił się gadatliwym młodym człowiekiem. Najwyraźniej miłość rozwiązała mu język.

— Pojedź ze mną — poprosił. — Nie widziałaś mamy od tygodni.

Natalie pokręciła przecząco głową. W obecności matki Colina czuła się nieswojo. Te jej oczy jak szparki zdawały się przewiercać Natalie na wylot. Pani Taylor — jakoś nie mogła się zdobyć, by zwracać się do niej Peggy — była jedyną osobą przepełniającą Natalie strachem.

— Myślę, że woli, kiedy przychodzisz sam — powiedziała. — Przecież i tak prawie wcale cię nie widuje.

Później pomyślała: Nie wygłupiaj się. Nie masz się czego bać.

Mimo to następnego dnia aż podskoczyła, gdy Sioban oznajmiła jej konspiracyjnym szeptem:

— Między nami jest złodziej.

— Co to znaczy? — spytała Natalie.

— Ktoś podprowadza różne rzeczy. Mors wszystko wyczał.

— Ach. — Natalie odetchnęła. — Chodzi ci o artykuły biurowe i takie tam.

— Jest bardziej cwany, niż się wydaje, stary sukinkot.

Sioban zdusiła niedopałek papierosa czubkiem buta. Odkąd Farida stała się stateczną matroną i przestała kurzyć, koleżanka palaczką Natalie została Sioban.

— NuLine to strasznie gówniana instytucja — powiedziała Sioban. — Za kogo oni się mają? Za Wielkiego Brata? Gdyby mi tylko przyszło do głowy, jaki numer by im tu wywinąć, nie zastanawiałabym się ani minuty. Co to jest kilka spinaczy, na miłość boską? — Z irytacji na twarzy wykwitł jej rumieniec. — Wszyscy to robimy. Przecież to nie kradzież.

— Nie — zgodziła się z nią Natalie. — To zwykła redystrybucja dóbr.

Niestety, o pół do szóstej czekał ją kolejny niemiły wstrząs. Gdy zeszła na dół, do głównego holu, dostrzegła dwóch stojących przy wyjściu policjantów. Zatrzymywali wychodzących pracowników i przeszukiwali im torby.

Natalie jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Obróciła się na pięcie i wbiegła na schody. Na pierwszym półpiętrze przystanąła, gorączkowo myśląc. W portmonetce miała dwa чеки, dzisiejsze trafienia. Jeśli przeszukają jej torebkę, mogą je znaleźć.

Pognała do toalety. Była pusta. Weszła do kabiny i zaryglowała drzwi. Szybko wyjęła чеки. Gdzie by tu je schować? Dzień był ciepły i miała na sobie tylko kusą spódniczkę i bluzeczkę. Po chwili zastanowienia wepchnęła чеки do majtek.

Stała, ciężko dysząc, ze wzrokiem wbitym w podajnik papieru toaletowego. Uspokój się, mówiła sobie. Przecież czeków nie będą szukać. Upchnięty między nogami papier drażnił jej skórę. Wyobraziła sobie, jak kuśtyka w dół po schodach, wykrzywiając nogi niczym grecka niańka, i zaczęła chichotać. Szybko obliczyła w myślach: £226,40 plus £212,25 daje... £438,65. Taka kupa forsy, bezpiecznie ukryta między jej włosami łonowymi. Nie można powiedzieć, tania panienka to ze mnie nie jest, pomyślała.

Otworzyły się główne drzwi prowadzące do toalety. Usłyszała, jak szczęknął zamek, lecz nie rozległy się kroki, nikt nie wszedł do żadnej z kabin. Ktokolwiek to był, musiał stać przed lustrem i cichutko poprawiać szminkę.

Natalie czekała, aż intruz się wyniesie. Przypomniały jej się chwile spędzane dawniej w różnych toaletach — pośpieszne niuchy kokainy, gdy chciała zrobić wrażenie na firmie księgowej; nerwowe próby włożenia krążka w greckim sraczu pełnym much w okresie, gdy nie stosowała jeszcze pigułki, a Niemiec o imieniu Hans czekał, by zabrać ją na plażę. Kilka szybkich numerków, w tym także jeden z Phillipem. Toalety wzbudzały w niej czułe, potajemne wspomnienia. A teraz w majtkach miała upchnięte fundusze wystarczające na weekend w Paryżu dla dwóch osób, plus te pantofle z imitacji wężowej skórki, które widziała w Pied a Terre. Prawdziwa skóra byłaby lepsza, pomyślała, przypominając sobie pytona Colina. Cóż za odrażający z niego stwór, gdy tak się wiję i skręca wokół samego siebie. „Zabija, dusząc swoją ofiarę”, wyjaśnił jej Colin. „Ściska tak długo, aż padnie”. Wszystkie gady były odrażające — albo siedziały bez ruchu z wybałuszonymi oczami i pulsującymi gardzielami, albo ciskały się gwałtownie, aż serce skakało do gardła.

Ktokolwiek to był, musiał już sobie pójść. Natalie zwolniła zasuwkę i wyszła z kabiny.

Ujrzała Phillipa.

— Wynoś się — powiedziała.

— Musiałem cię zobaczyć...

— To jest damska toaleta.

Rzucił się na nią i schwycił za ramiona.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

— Odpieprz się, Phillip. — Spróbowała się od niego uwolnić.

— Kocham cię, dłużej już nie mogę tego znieść...

— Do ciężkiej cholery, jesteś żonaty.

— Mówiłem ci, Melanie i ja...

— Ja także jestem mężatką. Odpierdol się!

Trzymał ją mocno. Czowała znajomy zapach jego skóry.

— Przeżywam prawdziwe piekło, nie mogę tego wytrzymać...

— I przestań przysyłać mi te cholerne kwiaty.

— Muszę się znowu z tobą zobaczyć.

Ścisnął ją tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Na brzuchu czowała ucisk jego stwardniałego członka.

— Ktoś może wejść! — zasyczała.

— Kocham cię. — Pchnął ją na umywalkę. — Kocham cię, Natalie, szaleję za tobą. —
Wsunął jej rękę pod spódnicę.

— Odpierdol się! — wrzasnęła w przypiływie paniki.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa. — Zaczął ściągać jej majtki.

Natalie wyrwała mu się.

— Co jest, do cholery?! Chcesz mnie zgwałcić?

Zapadła cisza. Nagle Phillip rozplakał się.

— Kochanie, przepraszam... tak bardzo cię przepraszam. — Po policzkach płynęły mu łzy.

Poprawiła spódniczkę. Serce waliło jej jak oszalałe.

— To koniec, Phillipie. Pamiętasz, jak mnie oszukałeś? A może zdążyłeś już zapomnieć?
Wracaj do swojej rodzinki, ty mazgajowaty mały kutasie. — Chwyliła torebkę i przerzuciła ją sobie przez ramię. — A jeśli jeszcze raz mnie zaczepisz, poskarżę się, że mnie molestujesz.

Wyszła.

Niech to szlag, pomyślała. Niewiele brakowało. Chwilkę później była już w holu i uśmiechając się promiennie do policjanta, otworzyła torebkę.

— Przepraszam za kłopot — powiedział.

— Nie ma sprawy. W końcu wykonuje pan tylko swoją robotę.

Oddał jej torebkę i Natalie wyszła przez drzwi, na wolność.

Rozdział drugi

Przez te pierwsze tygodnie David bardzo dużo spał, i to spał jak zabity. Sheilę przerażała łatwość, z jaką popadał w zapomnienie, w ciemność oddzielającą go od niej, leżącej tuż obok, czekającej, aż świt rozjaśni zasłony. Pigułki, które brała, nie zdawały się na nic. Nie tylko nie pomagały jej zasnąć, ale też nie tłumiły ogarniającej ją paniki.

Albowiem była przerażona. Leżała bez ruchu, starając się kontrolować strach. Każdej posiadanej cząsteczki energii potrzebowała, by zapanować nad swoim ciałem. Wymagało to pełnej koncentracji. Panika jednak skręcała jej kiszki i nadchodził moment, gdy musiała podnieść się z łóżka, bardzo powoli, i ruszyć do łazienki. Jak stary człowiek chwytając się klamki, by nie upaść. Kiedy już siedziała na sedesie, wydawało jej się, że nie da rady wstać. Jeśli się poruszy, zapanuje chaos. Dosięgnie jej i pociągnie w nicość.

Poza tym, czy jest sens, by się poruszać? Dlaczego niby ma być w tym miejscu, a nie w jakimś innym? Ta myśl ją przestraszyła. Musi się z tego otrząsnąć. Wolno i z trudem podnosiła się na nogi, gotując się do długiej drogi powrotnej do sypialni. Przed drzwiami do sypialni córki nagle traciła całą wolę, by iść dalej. Gdy Chloe była mała, Sheila na palcach szła sprawdzić, czy dziewczynka oddycha. I za cud poczytywała, że tak się dzieje.

Uływały godziny, a Sheila wciąż siedziała przed drzwiami do sypialni, dygocząc z zimna w cienkiej koszuli. Nareszcie świt w końcu nadciągał. W te pierwsze majowe dni poranki były przepiękne. Jakaś oderwana jej część zauważała to. Za murem podwórza dostrzegała jedno drzewo, pokrywała je delikatna jak mgielka zieleń. Ruch na ulicach już się rozpoczynał, słyszała jego szum, lecz dochodził jakby z bardzo daleka, z zupełnie innego świata. Wydawało jej się niepojęte, że ludzie wciąż jeżdżą, ich życie toczy się normalnie, wsiadają i wysiadają z samochodów, tkwią w ulicznych korkach, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Czy to nie dziwne, że denerwowali się, czy hydraulik jednak się pojawi? A dziwniejsze jeszcze, że dni mijały, jeden niepowstrzymanie następował po drugim. Czy nikt o niczym nie miał pojęcia?

Ostrożnie jak inwalidka kładła się z powrotem do łóżka. Nie zbliżała się do Davida, bała się go dotknąć. Miała wrażenie, że porani mu skórę. Jej ciało wydzielało kwaśny odór. Mycie się było wysiłkiem nie do pokonania. Niepokoiło ją to, ale niezbyt mocno. Poza tym każdy ruch powodował ból. Bolały jakości. Wnętrza miała jak przeżarte kwasem. Czasem odczuwała tak przenikliwy fizyczny ból, że nie mogła oddychać. David cuchnął także wszystkimi tymi

papierosami, które wypalił od śmierci Chloe, tysiącami papierosów i whisky, którą pijał wie- wieczorami.

Tak więc Sheila leżała, lecz czy było coś innego, co mogłaby robić? Leżała, modląc się, by zostać przy zdrowych zmysłach. Ach, jakież potworny to był wysiłek! Zdarzały się chwile, gdy myślała, że nie warto się starać. Może po prostu się poddać i swobodnie spaść w otchłań? Tymczasem pragnęła, by David jeszcze trochę pospał, pogrążony w słodkim zapomnieniu. Bała się momentu, w którym się budził. Kiedy otwierał oczy, przez ułamek sekundy był normalnym, na wpół przytomnym człowiekiem, mającym przed sobą kolejny, normalny dzień. Lecz natychmiast sobie przypominał.

A potem przez drzwi z głuchym stukotem wpadać będą listy z kondolencjami. Wciąż jeszcze przychodziło ich po kilka dziennie, niektóre od zupełnie obcych ludzi. Pan Hassan z naprzeciwka otworzył swój sklep, jak gdyby w życiu liczyło się tylko to, żeby wyłożył swój towar, a potem znowu go schował. Wsunął im pod drzwi liścik. Sheila przypuszczała, że wiele osób wiedziało. W końcu wszystkie gazety się o tym rozpisywały. Przez kilka dni oblegali ich dziennikarze, nie dawali im ani chwili spokoju, ale David kazał im się odpieprzyć.

Ich klienci wiedzieli, przynajmniej ci stali. David uparł się, by już po trzech dniach otworzyć pub.

— Inaczej interes padnie — powiedział. — Ty nie musisz schodzić, damy sobie z Lennoxem radę.

David wierzył w rutynę. Sheila wiedziała, że ona trzymała go przy życiu, teraz może nawet bardziej niż zwykle, że on także starał się zapanować nad chaosem na swój własny prywatny sposób. Rano brał prysznic, zjadał dwa tosty, jak zawsze miał w zwyczaju, i przez kilka minut stał na ulicy, póki nie wybiła punktualnie jedenasta, gdy otwierał pub. Archie jednak przestał przychodzić.

Wśród klientów dawało się wyczuć pewne skrepowanie — niektórzy mamrotali jakieś słowa współczucia, a większość odwracała oczy. W tych dniach pojawiała się ich znacznie mniej, wiele znajomych twarzy znikło. Ostatni tydzień przyniósł spadek obrotów o dwadzieścia procent. Trudno się dziwić, któż bowiem ma ochotę na drinka w domu śmierci? „Hej, chodźmy gdzieś dzisiaj i dajmy sobie w gaz! Co powiecie na Queen's Head — wiecie, który to? Zamordowali im córkę i porzucili ciało na Whitworth Street”.

Sheila pomagała mężowi za barem. Była mu potrzebna, bo w tym tygodniu Lennox miał odejść.

— Niechaj Bóg was nie opuszcza w tych ciężkich dla was chwilach— powiedział Lennox, okazało się bowiem, że stał się odrodzonym chrześcijaninem, co w poprzednim życiu David i Sheila uznaliby za komiczne. — Żyjcie tylko dniem dzisiejszym i zachowajcie w sercach Jezusa, naszego Zbawiciela.

Być może, pomyślała Sheila, praca rzeczywiście by pomogła. Cóż z tego, skoro z trudem udawało się jej uczynić choćby krok. Przez cały czas czuła się chora, jakby lada chwila miała wymiotować. Ogłupiałej przez rozpacz mieszały jej się zamówienia. David odnosił się do niej z anielską cierpliwością, podobnie jak klienci. Ilu z nich wiedziało? Nie miała nawet siły, by się nad tym zastanawiać, lecz niektórzy z nich zwracali się do niej łagodnie, powtarzając swoje zamówienia, jak gdyby mieli do czynienia z osobą opóźnioną w rozwoju. Przestała przygotowywać lunchy, w tej chwili nie mogło być o tym nawet mowy. Zresztą i tak na widok jedzenia zbierało jej się na mdłości.

Zdarzały się też momenty, że nagle, niezdolna się poruszyć, zamierała bez ruchu. W Europe Food and Wine, dokąd wybrała się po cytryny, zamarła tak przed regałem z kuchennymi urządzeniami. Jej wzrok przykuła maszynka do drylowania czereśni. Ktoś musiał ją wymyślić, czy to nie dziwne? Chloe nie żyła, a ktoś myślał o drylowaniu pestek z czereśni. Potem pomyślała, że urodziny Chloe wypadają dwudziestego siódmego czerwca. Skończyłaby dwadzieścia dwa lata.

Ciężko było jej stawić czoło światu. Na czyjś krzyk reagowała gwałtownym drgnięciem, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że ten wrzask skierowany jest do niej. Przejście przez ulicę przerażało ją — jakież wielkie i brutalne były przejeżdżające z hukiem ciężarówki! Gdy jakiś kierowca wrzasnął na inny samochód „Głupia cipa!”, podskoczyła, jakby ktoś ją postrzelił. Na domiar złego każdy dzień przynosił nieuniknione spotkania z klientami, którzy otwierając i zamykając usta, robili taki hałas.

Tyle już czasu upłynęło od pogrzebu. Wtedy myślała, że to najgorszy dzień w życiu jej i Davida, ale nie miała pojęcia, co czekają dalej. W tych pierwszych dniach rodzina zjawiała się tłumnie, była jej matka i siostry, wuj i siostrzeńcy, cały klan Sampsonów. Nie ukrywali swoich uczuć, szlochali wraz z nią i tulili ją w ramionach. Jej matka, której wyniki badań okazały się negatywne — w wieku siedemdziesięciu pięciu lat otrzymała kredyt na dalsze życie — jej matka poszła do pokoju Chloe i dokładnie go posprzątała. Wychynęła z niego z pustymi pojemniczkami po jogurtach i brudnymi łyżeczkami. Gdy Sheila weszła do kuchni, matka wyrzucała właśnie do kosza na wpuł zjedzone opakowanie ciastek Jaffa. A później, widząc

twarz Sheili, przygotowała jej kubek gorącej czekolady, tak samo jak wtedy, gdy jej córka była małą dziewczynką. Po jakimś czasie do uszu Sheili doszedł szum pralki piorącej ubrania Chloe.

Teraz jednak już rodziny nie było przy niej, nie mogli przecież zostać na zawsze. Oni także mieli swoje życie. Nadeszła chwila, w której Sheila musiała dalej radzić sobie sama.

I została sama. Czasem David obejmował ją ramieniem.

— Bierzesz swoje pigułki? — pytał.

Na pogrzebie krótko zapłakał — głośnym, rozdzierającym szlochem, który ją przeraził. Potem jednak zamknął się w sobie. Jego gwałtowna, kamienna rozpacz była dla niej straszliwa.

Od czasu do czasu, wieczorami, jeździł gdzieś samochodem. Słyszała dochodzący z tyłu domu kaszel zaskakującego silnika, a po chwili rozlegało się jego wycie na wstecznym biegu. Mąż zniknął na godzinę, czasem dwie.

— Gdzie byłeś? — pytała, gdy po powrocie rozbierał się do snu.

— Przewietrzyć się.

Po czym kładł się do łóżka i zasypiał kamiennym snem. Czasem denerwowało ją to, kiedy indziej znowu cieszyła się ze względu na niego. Bywało, że podczas długiego bezsennego czuwania wsuwała rękę w jego dłoń. Ścisnął ją lekko — czy tak naprawdę on także nie spał i tylko po prostu udawał? Po chwili jednak jego ręka opadała bezwładnie i Sheila poddając się, zabierała swoją.

Gdy następnego dnia wsiadła do samochodu, cały przesiąknięty był zapachem papierosowego dymu.

— Dostaniemy go, panie Milner — powiedział detektyw. — To tylko kwestia czasu.

— Kwestia czasu? — warknął David.

— Trzydziestu policjantów pracuje nad tą sprawą. Po nadaniu „Crimewatch” odzew był ogromny, mamy kilka śladów, które badamy. Nie uwierzyłby pan, co się pojawia... Nagle komuś odświeża się pamięć, ludzie przypominają sobie rzeczy, które widzieli, a na które wtedy nie zwrócili uwagi... — Poprawił leżące na biurku dwa długopisy, układając je porządnie obok siebie. — Wiem, że nic, co powiem, nie może państwu pomóc, proszę mi wierzyć, doskonale to rozumiem...

— Czyżby?

— David... — Sheila położyła mu dłoń na ramieniu. Jej samej ten gest wydał się teatralny. Oboje zachowywali się nienaturalnie. Lada chwila obudzi się i wszystko okaże się tylko koszmarnym snem.

— Wytropimy to bydlę i wymierzmy mu sprawiedliwość. — Facet chyba także powtarzał wyuczoną rolę. Był nowy, może jakiś inspektor, nie miała pojęcia. Przedstawił się, ale nazwisko jej umknęło. Cała sytuacja wyglądała jak żywcem wyjęta z jakiegoś telewizyjnego serialu. Ale wówczas wszystko tak wyglądało.

— Co tak naprawdę robicie? — spytał ostro David. — Minęło już sześć tygodni, a ten potwór wciąż chodzi wolny.

Potwór? On także przemawiał jak na scenie.

— Może poszliby państwo ze mną do sali operacyjnej? — zaproponował policjant. — Poznalibyście państwo ludzi zajmujących się sprawą.

— Nie! — zaprotestowała Sheila.

Wszyscy będą się na nich gapić. „To rodzice ofiary”. Może nawet mają tam — Boże broń! — poprzypinane do ściany zdjęcia. Widziała takie zdjęcia ofiar w telewizji. Wówczas odczuwała przyjemny dreszczyk emocji. Czyż to nie jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Poczula mdłości. Chciała, żeby zabrano ją do domu i delikatnie ułożono w łóżku.

David zasypywał detektywa gradem pytań. Kogo przesłuchali? Jaki był wynik sekcji? Robił wrażenie świetnie zorientowanego, z tej strony dotąd go nie znała, ale wręcz osaczał policjanta. Zupełnie jak gdyby cały swój gniew skierował na policję. Prawdę powiedziawszy, zawsze miał do nich raczej podejrzliwy stosunek — dawne narkotykowe imprezy i tym podobne. Sheila była skłonna bardziej im wierzyć i powtarzała mu, że mają trudną pracę. Ten temat należał do stałego repertuaru ich kłótni.

Nagle aż do bólu zatęskniła do tamtych sprzeczek. Wszystko wtedy było takie normalne, jak w zwykłym małżeństwie. Śmierć Chloe niczym buldożer przetoczyła się po krajobrazie ich związku, czyniąc z niego otwartą ranę, niszcząc wszystko, odmieniając go tak całkowicie, że teraz nie potrafili już sobie nawet przypomnieć, jak dawniej wyglądał.

Agresja Davida wprawiała ją w zakłopotanie. Jednak bez względu na wszystko pragnęła mu towarzyszyć. Policja była ich sojusznikiem. Świat był wrogi; nie bacząc na nic, pożerał własny ogon. Tutaj, na posterunku policji, Sheila przynajmniej przez chwilę czuła się u siebie. Być może Chloe była tylko kolejną sprawą do rozwiązania, ale przynajmniej przykuwała ich uwagę. Dręczyły ich te same pytania. Gdzie dokładnie została zabita? (Sheila nie była nawet w stanie nazwać po imieniu tego, co spotkało jej córkę, zanim zginęła; jeszcze było na to za wcześnie). Gdzieś po drodze do domu, policja bowiem, przesłuchując ludzi w nocnym klubie, stwierdziła, że dziewczynie nie udało się złapać taksówki i postanowiła wracać piechotą. Lecz

znaleziona została nieopodal dworca kolejowego, a więc zupełnie nie po drodze, pozostawiona na kawałku nieużytku (nie była też w stanie użyć słów „ciało” czy „porzucona”). Policjanci podejrzewali jednak, że została zabita gdzie indziej. Wszystkie te przypuszczenia były prawdziwą torturą, lecz przynajmniej tutaj nie była sama w jej obliczu.

— To oczywiście bardzo sprawę utrudnia, gdyż była to napaść pozbawiona motywów — o ile nam wiadomo, nie ma żadnych powiązań z innymi morderstwami ani przestępstwami na tle seksualnym...

Nikt chyba nie podlewał zielistki detektywa. Rosła sobie samotnie na okiennym parapecie, z korzeniami wylazącymi z plastikowej doniczki. Mimo to jednak, na przekór wszystkiemu, kierowana silnym instynktem przeżycia chciała się rozmnażać. Wypuszczała nowe pędy z drobnymi listeczkami, które zwisały z parapetu.

— ...spodziewamy się jednak przełomu. Prędzej czy później ktoś popełni błąd, powinien mu się noga. Komuś coś pozornie nie związanego z naszą sprawą wskaże jakiś trop. Zdarza się tak częściej, niż można by przypuszczać...

Pytanie, którego nie mogła zadać — podobnie jak David. Pytanie, które skrzętnie skrywali w głębi swych serc: „Jak bardzo cierpiała?”

„Ostro walczyła”, ktoś powiedział. A może napisali tak w jednym z artykułów, których starała się nie czytać, nie widzieć nawet. By ją chronić, David wrywał je wszystkie.

W innych pokojach bezustannie dzwoniły telefony. Musiały dotyczyć Chloe. Niemożliwe, by cokolwiek innego zaprzętało ludzką uwagę. Rozmowa Davida z detektywem dobiegła końca. Stali już i wymieniali uścisk dłoni. Sheili brakło sił, by się podnieść.

Czy nikt nie odbierze tego telefonu? W pokoju obok dzwonił i dzwonił bez przerwy. Przecież ktoś może dzwonić z kluczową informacją, tą, na którą wszyscy czekają. „Znam faceta, to nasz sąsiad”. Pewnie dzwoni jakiś chłopak. „Widziałem jego samochód na stacji benzynowej, zapisałem numer”.

Kimkolwiek ten człowiek był, żył na tej planecie, rzecz zupełnie niepojęta. Pewnie jeździ sobie samochodem (tym samochodem). I zapewne wygląda zwyczajnie. Chodzi do sklepów, kupuje różne rzeczy, może nawet ma żonę i dzieci. W taki upał rozkłada pewnie basen w ogrodzie. Pewnego wieczoru wyszedł, a gdy wrócił, żona zapytała: „Gdzie byłeś?” A on odparł: „Przewietrzyć się”.

— Idziemy, kochanie? — David spoglądał na nią z uniesionymi brwiami. Włosy tak bardzo mu się przerzedziły, że na ich tle brwi wydawały się gęstsze niż zwykle. Pozbawiona

włosów część głowy była kompletnie łysa, nie został na niej nawet kosmyk. Czy jednak włosy wokół uszu zawsze miał takie siwe?

Wyszli na ulicę. Zaatakowało ją słońce, poraziło jej oczy, podrażnione od wielogodzinnego płaczu. Dziw doprawdy, że zostały jej jeszcze jakieś łzy...

„Umarła w samotności”.

Gdy przechodzili przez ulicę, David ujął jej rękę, co dodało Sheili otuchy. Jesteśmy w tym razem. Jeśli będziemy sobie pomagali, być może jakoś uda nam się przetrwać.

Zachęcona gestem spytała:

— Ty także ją widzisz?

— Widuję?

— W autobusach, w tłumie. Ciągle gdzieś ją zauważam i dziwię się, dlaczego się nie odwraca.

David puścił jej rękę. Schodzili ze wzgórza w stronę samochodu.

— Wczoraj w nocy usłyszałam zatrzymujący się samochód — powiedziała. — Pomyślałam sobie: to taksówka, złapała w końcu jakąś. Widziałam, jak wysiada i mówi: „Wiem, że okropnie długo mnie nie było”. Wiesz, jak ona mówi, kiedy za coś przeprasza, tak jakoś urywanie. „Wyjechałam w daleką podróż, ale teraz już wróciłam”.

Zapanowała cisza. Nagle David odezwał się:

— Dziękuję ci, gołąbku.

Przez chwilę Sheila sądziła, że skierował te słowa do niej. I wtedy zauważyła biały ślad na przedniej szybie.

David grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki.

— W ogóle ze mną nie rozmawia — skarżyła się Sheila. — Zamyka się w sobie, z każdym dniem coraz bardziej. Staram się jakoś do niego dotrzeć, ale on mi nie pozwala.

— Może w ten sposób stara się jakoś sobie z tym poradzić — powiedziała jej siostra.

— Chcę, żebyśmy o niej rozmawiali. Jeśli tego nie robimy, staje się jeszcze bardziej... — Nie mogła wypowiedzieć tego na głos. — Jeszcze bardziej nieobecna.

Fiona, jej siostra, pokiwała ze zrozumieniem głową. Siedziały obie w jej kuchni, w Hebden Bridge.

— Zawsze był cholernie trudny we współżyciu — zauważyła Fiona. Ona i David nigdy nie potrafili dojść od porozumienia. Byli zbyt do siebie podobni: drażliwi, zadziorni. Sheila starała się bronić męża, łagodzić wybuchające nieporozumienia. W swojej rodzinie zawsze ona

była mediatorem. — Jest piekielnie apodyktyczny — mówiła dalej Fiona. — Bez przerwy tobą rządzi. Powinnaś mu się bardziej przeciwstawić.

— Teraz to chyba nie jest najlepsza pora. Fiona ponownie napełniła ich kieliszki.

— Tak samo postępował z Chloe. Dlatego teraz czuje się tak podle.

— On ją kocha. Kiedy była młodsza, był wspaniałym ojcem.

— Och, w skrytości ducha bez wątpienia. Ale nie okazywał tego, prawda? Zawsze ją krytykował, sprawiał, że czuła się beznadziejna.

Sheila poczuła się pokrzepiona. Dobrze było rozmawiać o córce, nawet w tak irytujący sposób. Przez chwilę miała wrażenie, że wszystko wróciło do normalności.

Fiona miała dość ponure zdanie o mężczyznach. Przed kilkoma laty rozwiodła się ze swoim mężem, budowniczym, i od tamtej chwili poddawała się katorżniczym rygorom przeróżnych diet i balansowania na linie. Wkroczyła na wojenną ścieżkę, poszukując kolejnego kochanka, którego by w końcu zapragnęła. Jej własne dzieci trochę się jej bały, podobnie jak Chloe.

— Nie chodzi tylko o Davida — powiedziała Sheila. — Prawie nikt nie chce nawet wspomnieć jej imienia. Pewnie czują się niezręcznie, boją się, że może mnie to zdenerwować. Inni z kolei, których ona wcześniej nic nie obchodziła, nagle składają mi kondolencje, co z kolei sprawia mi przykrość. Zupełnie jak gdyby jej jedynym osiągnięciem była śmierć. A ja chcę rozmawiać o zwykłych, normalnych rzeczach, nawet tych denerwujących, nie przeszkadza mi to... „Wiesz, na czym polega moja praca?”, spytała kiedyś córkę. „Jestem Panią Gąbką. Chodzę za tobą i wszystko ścieram”. Och, ileż razy chichotały razem w kuchni. — Chcę, żeby ludzie z Clarence Street i Morecambe, ze wszystkich tych miejsc, w których mieszkaliśmy, po prostu rozmawiali o niej, o różnych głupstwach. Siadalibyśmy sobie i wspominali, jak kiedyś próbowała woskiem ogolić sobie nogi albo jak zdawała egzamin na prawo jazdy. To była prawdziwa klęska... — Umilkła. — Czy nikt tego nie rozumie?

Wodziła wzrokiem po ścianach. Widniały na nich smugi szorstkiego gipsu, odkąd Alan, mąż Fiony, postanowił zrobić porządek z instalacją, tyle tylko, że nigdy jakoś nie udało mu się to do końca. Żadne pomieszczenie w domu nie było wykończone — na wpół wykafelkowana łazienka, nie pomalowany hol. Podobnie jak życie jej córki, wszystko to nagle zostało przerwane. Fiona już tego nie zauważała, zdążyła się przyzwyczaić. Nie była też osobą, która sama by się tym zajęła.

— Dopiero się wprowadziłaś? — mówili odwiedzający.

Ich matka mieszkała w bungalowie tuż obok. Być może to częściowo przyczyniło się do odejścia męża Fiony. Czuł się przytłoczony tą wielką, nieprzewidywalną rodziną, sposobem, w jaki w obliczu kłopotów zwierali szyki. Gdyby ona sama do niej nie należała, także by ją to denerwowało. David nie miał nikogo, na kim mógłby się oprzeć. Bez niej był samotny jak palec.

Sheila popatrzyła na leżącą na stole dzisiejszą pocztę. „Wieczór samotnych w Shangri La: pierwszy drink na koszt firmy!” Nagle na myśl o Davidzie zakłuło ją w sercu. Jakim prawem czuła się samotna?

— Straszne jest to, że on czuje się winny — powiedziała. — Nie wspomina nawet o tym, o tej sprawie z telefonem.

— Jakiej sprawie?

Opowiedziała Fionie całe zdarzenie. Siostra wiedziała, że mieli wtedy odcięty telefon, i Chloe, nie mogąc się do domu dodzwonić, musiała wracać piechotą. Dopiero jednak teraz Sheila opowiedziała jej o kłótni i o tym, jak David nie chciał zapłacić za podłączenie.

— Widzisz, on obwinia siebie. Obwinia siebie o jej śmierć.

Fiona patrzyła na nią. Jej oczy były przenikliwie niebieskie, nosiła kolorowe soczewki kontaktowe.

— A ty? — spytała. — Ty go nie obwiniasz?

Pewnego czerwcowego wieczoru, dwa miesiące po śmierci Chloe, Sheila wyszła z domu. Mogła wyjść z pubu, gdyż zatrudnili nowego barmana. Wiedziała o nim tylko tyle, że miał na imię Kit. Dawniej matkowała swoim pracownikom, wraz z nimi przeżywała ich miłości, rozmawiała o nadziejach i planach na przyszłość. Teraz jednak nie potrafiła się do tego zmusić. Nie interesowało jej nawet, czy nowy barman wie, co się stało. Smutek nie uszlachetnia, nie sprawia też, że stajemy się wobec innych bardziej szczerzy. Dzięki niemu nie stajemy się miłsi. Wręcz przeciwnie, skupiamy się na sobie, jesteśmy przepełnieni goryczą, zaczynamy cuchnąć. Jadąc autobusem, Sheila myślała: Kit pewnie sądzi, że traktuję go tak dlatego, że jest czarny. Ale to także nic a nic mnie nie obchodzi.

Nie potrafiła też przejąć się tym, że pub stale tracił klientelę. W minionych tygodniach wszystkie zamówione imprezy zostały odwołane.

— W tej sytuacji nie wydaje się to na miejscu — mówili ludzie. — Nie chcemy się narzucać, przeszkadzać państwu. Ale gdybyśmy mogli się jakoś przydać... jeśli jest coś, w czym moglibyśmy pomóc...

— Wynajmijcie pieprzoną salę bankietową — mamrotał wściekle David za plecami Sheili.

W taki jak dzisiejszy, piątkowy wieczór ruch panował zwykle największy, ale w tym tygodniu pub świecił pustkami. Trudno się dziwić. David stał za barem niczym sklepowy manekin — czysty i elegancki jak zawsze, w koszuli i krawacie, lecz zachowywał się lodowato oficjalnie. Poruszał się sztywno, jak gdyby w obawie, że się rozsypie. Ostatnio zawsze miał w zasięgu ręki szklaneczkę whisky, ale nie po to, by wychylić ją w towarzystwie. Wypijał ją samotnie. Sheila nie zachowywała się lepiej — z nie umytymi włosami, całymi godzinami chodziła nieprzytomna jak lunatyczka. Stoliki pokrywał kurz, skrzynki na kwiaty stojące na zewnątrz świeciły pustkami.

Nikt nie wspominał o Chloe. Zupełnie jak gdyby nigdy nie istniała. Od wizyty Sheili u siostry przed dwoma tygodniami jej imię nie padło ani razu. A na ulicy ludzie unikali Sheili. Widziała, jak spoglądali na zegarki i pośpiesznie, jak gdyby nagle coś sobie przypomnieli, przechodzili na drugą stronę.

Mogła obwiniać o to sposób, w jaki Chloe umarła. Podejrzewała, że gdyby zginęła w wypadku lub zmogła ją choroba, być może byłoby odrobinę łatwiej się z tym pogodzić. Lecz to, co się stało, tak daleko wykraczało poza granice ludzkiego zrozumienia, że trudno było o słowa mogące to wyrazić. Ludzka rasa odsunęła się od Sheili, skazała ją na izolację jak cierpiącą na zaraźliwą chorobę. Ale czym, myślała Sheila, mogliby się ode mnie zarazić?

Wysiadła z autobusu przy Piccadilly Gardens. Była godzina dziewiąta. Sheila przeszła obok Debenhams i ruszyła dalej Tib Street. Znała drogę. W latach sześćdziesiątych kupowała ubrania w butik na rogu. Była wtedy w tym samym wieku, co Chloe, i równie wrażliwa na swoim punkcie. W minispódniczkach nie wyglądała dobrze — miała za obfity biust i zbyt szerokie biodra — a jednak solista Taboo zwrócił na nią uwagę, czyż nie? David Milner, najseksowniejszy facet w sali. Nie minął miesiąc, gdy zamieszkali razem.

Butik dawno już przestał istnieć. Budynek został odnowiony, teraz mieściła się w nim kawiarenka internetowa, a wielki napis głosił, że jest w nim „6 apartamentów na sprzedaż”. Kiedyś kupiła sobie cytrynową minispódniczkę. Jej młodsza siostra Monica pożyczyła ją sobie bez pytania i oblała czerwonym winem. Czy gdyby Sheila miała więcej dzieci, łatwiej byłoby jej przeżyć stratę tego jednego? Czy byłyby dla niej jakimś ukojeniem? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Niczego już nie potrafiła sobie wyobrazić.

Słońce zaczęło zachodzić. PIXIES. Neon migotał w gasnącym świetle. Sheila słyszała muzykę, widziała wchodzące do środka dzieciaki. Była jakaś perwersja w tym, gdy tak znikwały w mroku, nie bacząc na złocisty wieczór. Lecz czyż w końcu nie byli młodzi?

Przy drzwiach stał ochroniarz. Wielki i czarny. Czy to on? Tylko ochroniarz utkwił jej w pamięci z policyjnego raportu — ostatni człowiek na ziemi, z wyjątkiem jednego, który widział jej córkę żywą — miał niemożliwe do wypowiedzenia imię.

Spojrzała na niego. Uznała, że miał dobrą twarz. Pragnęła, by był dobry.

— Przepraszam. Czy pracował pan osiem tygodni temu, w piątkowy wieczór jak dziś?

Pokręcił głową.

— Jestem nowy... hej, ty nie, stary! — Obrócił się i zastąpił drogę wytatuowanemu młodzieńcowi. — Zacząłem pracować dopiero we wtorek, psze pani.

— Znasz go? Chciałabym z nim porozmawiać. — Po chwili dodała słabo: — Jestem matką.

— Nie, nie znam go.

Sheila weszła do środka. Na chwilę przystanąła, by przyzwyczaić oczy do mroku. Znajdowała się w wąskim korytarzu z wychodzącymi z sufitu schodami. Dzieciaki przeciskały się obok niej i wchodziły po schodach. Czuli się nie na miejscu, przeszkadzała im. Starła się zapamiętać otoczenie — ze względu na Chloe — lecz to miejsce jakoś nie pasowało do jej córki.

Policja przesłuchiwała też szatniarkę. To ona powiedziała im, że Chloe dzwoniła po taksówkę. Na końcu korytarza siedziała za ladą jakaś dziewczyna. Sheila podeszła do niej i zadała jej to samo pytanie. Czy tamtego wieczoru pracowała w klubie?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

— Zastępuję koleżankę — powiedziała. Miała coś dziwnego w twarzy. Ach, tak, wyskubała sobie brwi. Gdy je unosiła, skóra dziwnie się poruszała. — Mogę pani jakoś pomóc?

— Szukam jej.

— Mel? Wróciła już do Nowej Zelandii.

— Och. — Sheila nie wiedziała, co powiedzieć. — A ten ochroniarz... też wtedy pracował. Miał takie obce imię.

— Aha, chodzi pani o Cheddara, tak? Wielki facet, który wygląda jak seryjny morderca?

— Naprawdę?

— Odszedł. — Zamilkła i przyjrzała się Sheili. — Hej, dobrze się pani czuje?

— Muszę się z nim zobaczyć.

— Może chce pani usiąść?

— Nic mi nie jest.

— Niech pomyślę. Ktoś mówił, że ma jakąś pracę. Chce pani, żebym się dowiedziała?

Samochód trzeba było umyć. Bardzo go zaniedbali przez te ostatnie tygodnie. Prawdę powiedziawszy, zaniedbywali go zawsze. Sheila była z natury bałaganiarą, David natomiast, pod każdym innym względem dbały o porządek, gdy chodziło o mondeo, zupełnie tracił zainteresowanie. Najgorsza z ich trójki była Chloe. Sheila pamiętała awanturę, jaką zrobił jej mąż, znajdując pewnego razu plan Manchesteru cały posklejany cukierkami do ssania.

Podniesiona na duchu wizytą w Pixies, Sheila weszła do pokoju Chloe. Musiała poruszyć w nim powietrze, nie pozwolić mu umrzeć. Ubrania córki dawno już zostały wyprane. Otworzyła teraz szafę i jak zwierzę zaczęła obwąchiwać sukienki. W ogóle zachowywała się jak zwierzę — cierpiała, sapała, puszczała wiatry, płakała. Otworzyła szufladę i wzięła do ręki majtki Chloe. Znała je wszystkie — niektóre sama kupowała — poszarzałe od wielokrotnego prania. Wielkie bawełniane majtki, w kwiatki i paseczki. Czy kiedykolwiek dotknęła ich dłoń mężczyzny? Przepelniała ją rozpacзлиwa nadzieja, że tak było.

Sheila nie potrafiła już płakać, wyczerpał jej się zapas łez. Wyjęła stanik, 80C, wystrzępiony na szwach. Ileż to lat minęło, odkąd widziała Chloe naga? Niegdyś nieskrępowana jako dziecko, gdy dorosła, stała się nieśmiała i wstydliva. Pod bielizną Sheila wyczuła jakieś szeleszczące opakowanie. Sięgnęła głębiej i wyjęła paczki — herbatników, biszkoptów — prawie puste opakowania z resztkami zawartości.

Na ten widok znowu się rozkleiła. Padła na łóżko Chloe i wtuliła twarz w poduszkę.

I oto jechała do myjni. Manekin z mechaniczną ręką zapraszał ją do wjazdu pod zawieszonym na metalowym łuku szyldem: „Wash'N'Wax Valet Service”. Przejechawszy przez bramę, znalazła się w ogromnym, ciemnym tunelu. Wskoczyło dwóch mężczyzn i pokryło pianą szyby. Gąbka usunęła ostatnie ślady ptasiego łajna. Przez mydliny nie widziała mężczyzn dokładnie. Czy któryś z nich był nim? „Wygląda jak seryjny morderca”. Nagle uderzyła ją myśl: czy to możliwe, żeby to był on, ten ochroniarz? Czy szedł za nią do domu?

Ależ jest głupia! Ostatnio myśli tak wolno, nieomal czuje zgrzyt trybików szukających właściwego połączenia. Przez pokryte pianą szyby dostrzegła poruszające się sylwetki mężczyzn. Przerazająco blisko mignęła jej ogromna dłoń, usłyszała zdania wykrzykiwane w obcym języku.

Coś walnęło w dach samochodu. Podskoczyła i zeszywniała, znieruchomiła na siedzeniu. W oknie zamajaczyła twarz. Kiwnęła do niej.

Sheila otworzyła okno.

— Słucham?

Mężczyzna klepnął w bok karoserii.

— Ty jechać.

Pokazał palcem przed siebie. Spróbowała się opanować — przecież to oczywiste, że ochroniarz jej nie zabił, policja wyeliminowała go dawno temu.

Wrzuciła pierwszy bieg i wjechała na rampę, na której samochód został unieruchomiony. Siedziała bezsilna, podczas gdy auto przesunęło się naprzód, przez rozchylające się plastikowe zasłony. Ogromne szczotki waliły w przednią szybę.

„Ostro walczyła”.

Ze wszystkich stron chlusnęły strumienie wody. Samochód zadygotał. Czy ten drań zablokował drzwiczki samochodu? Dlaczego Chloe nie wysiadła?

„Złączyła się z Jezusem”, powiedziała ciotka Sheili, Shirley, kolejna chrześcijanka. „Spoczywa teraz w Spokoju”. Chciała, żeby te słowa wryli na nagrobku. Gdybym tylko wierzyła w Boga, pomyślała Sheila. Wtedy mogłabym uwierzyć, że Chloe nie umierała samotnie.

Jakże jednak, skoro wcześniej nie miała wiary, mogła wierzyć teraz? Samochód przesunął się do przodu. Usłyszała ryk i ujrzała uciekające z przedniej szyby krople wody. Drząc, zsuwały się, aż w końcu zniknęły zupełnie. Auto ponownie się posunęło i wyjechało do hali. Mężczyźni zaczęli je polerować.

Otworzywszy okno, Sheila odezwała się do paska przy spodniach jednego z nich.

— Zastałam Cheddara?

Ktoś zawołał. Pasek zniknął, a jego miejsce w oknie zajęła wielka twarz.

— Słucham panią, jestem Cheddar. — Przykucnął na piętach.

— Jestem matką Chloe Milner — powiedziała. — Dziewczyny, która umarła.

Otworzył ze zdziwienia usta. Był brzydkim mężczyzną, o paskudnej cerze.

— Słyszę ten głos jak anioł — powiedział.

— Anioł?

— Stoi tam, w świetle, jest tak jasno, i śpiewa. Sheila wpatrywała się w niego.

— Widziałeś ją? Cheddar skinął głową. Serce w Sheili zamarło.

— Dobrze się czuje?

Może to szaleniec, ale musi mu wierzyć. Nigdy, przez całe swoje życie, nie pragnęła tak bardzo w coś uwierzyć.

— Rozmawiałeś z nią?

Znowu przytaknął.

— Chwilę rozmawiamy. Potem, jak ona śpiewa piosenkę i wszyscy klaszczą.

Dopiero wtedy dotarło do Sheili, o czym mówił. Na przyjęciu Chloe śpiewała piosenkę. Rowena, stewardesa, powiedziała jej o tym. „Wyglądała tak pięknie, proszę pani. Nigdy nie zapomnę jej cudownego głosu. Nie mogę uwierzyć, że już nigdy go nie usłyszę”.

— Ona śpiewa tak pięknie... moje serce, ono czuje tak. — Rozłożył swoje wielkie dłonie.

— Ja myślę... ona także jest sama.

Z tyłu zatrafił jakiś samochód.

— Czy była szczęśliwa? — spytała Sheila. — Powiedz mi, że wyglądała na szczęśliwą. Po prostu chcę to wiedzieć. Jego oczy wypełniły się łzami.

— Kiedy słyszę, że ona nie żyje, płaczę i płaczę... — Wytarł nos. — I to jest moja wina.

— Dlaczego?

— Pozwoliłem, żeby poszła do domu. Jestem odpowiedzialny.

— Przecież nie możesz...

— To wszystko przeze mnie. — Dźgnął się w pierś. — Dlatego zostawiłem pracę... odszedłem. Jak mogę obiecać chronić tych ludzi, jeśli pozwalam, żeby to się stało? Kiedy piękna gruba dziewczyna nie żyje? — Wysmarkał nos w irchę.

Sheilę zalała fala czułości. Nagle poczuła, że są sobie bardzo bliscy. On tam był, przejmował się. Wysunęła rękę przez okno i pogładziła go po biednym, pokrytym bliznami policzku.

— David — to mój mąż — obwinia siebie.

— My jesteśmy mężczyźni, to nasza praca, chronić nasze kobiety. — Znowu się rozszlochał. — I nie udaje nam się.

Samochód z tyłu znowu zatrafił. Za nim kolejny. Jeden z mężczyzn krzyknął coś do Cheddara w obcym języku, pewnie, żeby usunął auto Sheili.

— To nie twoja wina — powiedziała. Ujęła jego wielką rękę, podniosła do ust i ucałowała. Potem zamknęła okno, zapaliła silnik i odjechała.

„Żyjcie dzień po dniu”, radzili przyjaciele. „Choćby nie wiadomo jak długo to trwało, w końcu poczujecie się lepiej”.

Starali się pomóc, ale nie mieli pojęcia jak. Bo i skąd niby? Wcale nie było lepiej; jeśli już, było tylko gorzej.

I znowu Sheila znalazła się, miesiąc później, w Pixies. Musiała to zrobić, teraz zdała sobie z tego sprawę. Niebo zabarwiło się na różowo, gdzieś za budynkami zachodziło słońce. Był kolejny cudowny wieczór, w samym środku lata, dziewięćdziesiąty wieczór, którego nie dane było przeżyć jej córce. Kolejny piątek tętniącego życiem miasta. Minęła ją grupka dziewcząt zmierzających do klubu. Sheila czuła zapach ich perfum. Gdzie mieszkały?, zapytywała siebie Sheila. Co takiego zrobiły, żeby sobie na to zasłużyć?

Minęła róg, gdzie niegdyś mieścił się butik, w którym i ona dawniej tak się stroiła. W oknach dwóch mieszkań pojawił się napis „SPRZEDANE”. Znała drogę do domu. Spędziła przecież w Manchesterze całe życie. Którą drogą poszła wtedy Chloe, gdy tamtego wieczoru wyszła z klubu w pograżone w ciemności miasto? Jej córka miała bardzo słabą orientację w terenie, co stanowiło niezmiennie źródło irytacji jej rodziców. Tam, gdzie mieszkali ostatnio, Chloe potrafiła się zgubić, wracając ze sklepu na rogu.

Sheila przeszła obok Afflecks Place, gdzie ze ścian zwieszały się ogromne, metalowe lampy w kształcie kwiatów. Od czasów, gdy miała tyle lat co Chloe, wiele się tutaj zmieniło; jej młodość zdawała się minąć wieki temu. Szła pasażem dla pieszych obok Debenhams, w stronę Piccadilly Gardens, centrum miasta. Jak dotąd Chloe nie mogła się zgubić. Sheila stawiała bezszelestne kroki. Stwierdziła, że ma na stopach ranne pantofle, ale odkrycie to nie wywarło na niej większego wrażenia. Przeszła na drugą stronę ulicy i znalazła się na Mosley Street. Tędy wiodła najprostsza droga do domu. Niebo nad nią lśniło granatem z odcieniami żółci. Wisiał na nim blady, zbliżający się do pełni księżyc. Gdzieś zdumiewająco blisko śpiewał kos. Tu, w samym środku miasta, musiało rosnąć jakieś drzewo. Kos w swoją pieśń wkładał całe serce. „Śpiewa tak pięknie”.

„Jestem z tobą”, powiedziała do Chloe. „Wiem, że zjawiłam się za późno, ale jestem tutaj”.

Jej bezszelestne kroki wiodły ją obok Bank of Scotland. Dotarła do Charlotte Street. Zatrzymała się taksówka i wyskoczyły z niej dwie dziewczyny. „Czy skręciłaś w lewo i poszłaś przez Chinatown, czy też szłaś dalej prosto?” Przystanęła, czekając na odpowiedź. Minął ją samochód, z jego wnętrza z dudnieniem dobywała się muzyka. Opuszczając główną ulicę,

znalazła się obok chińskiego supermarketu rozbrzmiewającego gwarem rozmów i szeregu re-restauracji. „Gdy twój ojciec nie zjawił się na ratunek, czy zaczynałaś się bać?”

W Chinatown roiło się od ludzi. Nawet o tak późnej porze, gdy Chloe wracała do domu, tutaj wciąż kręciliby się jacyś ludzie. Musiałaby jednak trzymać się głównych ulic. „Kiedy zabłądziłaś, kochanie moje? Idę twoimi śladami, moje stopy stąpają tam, gdzie twoje. Chcę zobaczyć to, co ty widziałaś... Och, powiedz mi, którądy poszłaś”.

Zapadła ciemność. Sheila czuła się dziwnie lekka, jak gdyby nie istniała. „Nigdy nie wrócę do domu. Jestem jak ty, nigdy tam nie dojdę”. Przed biurowcem rosły krzewy. Ich kwiaty rozsiewały słodki zapach, od którego zakręciło jej się w głowie. „Och, czemuż nie zabili mnie, bylebyś tylko ty żyła”.

Jakiś przechodzień obrzucił ją spojrzeniem. Chyba mówiła na głos, wariatka w domowych kapciach. Ogarnęła ją dziwna beztroska. Nikt się nie liczył, była tylko ona i Chloe, samotne w wielkim mieście. W zasadzie nawet jej tu nie było, prawdziwa była tylko jej córka, tuż przy niej. Ona prowadziła matkę, jej namacalna wręcz obecność szła obok Sheili. To ona знаła drogę, matka zaś stała się tą, której potrzebna była opieka. „Nie martw się”, mówiła. „Nic mi nie jest. Dla ciebie to jest dużo gorsze niż dla mnie, uwierz mi”.

W przypiływie okrucieństwa David powiedział kiedyś: „Łazi jak kaczką”. Lecz nie teraz. Szła sprężyste, smukła i gibka jak wtedy, gdy miała dziesięć lat. W ciszy, w blasku księżyca towarzyszyła Sheili. „On widzi wszystko, księżyc. I widział, co stało się tamtej nocy. Czy to go zdenerwowało?”

Cheddar widział ją w niebie, jak śpiewała. Rozum podpowiadał Sheili, że to nieprawda, ale co tam rozum. Teraz Chloe promieniała, emanował z niej spokój. Prowadziła matkę Faulkner Street, potem następną ulicą, obok wielkiego napisu: ELEGANCKIE STROJE: TAKŻE W DUŻYCH ROZMIARACH. Sheila znała wszystkie te ulice, dzisiaj jednak wydawały się obce, jak w nieznanym mieście. „Naprawdę nie chcesz pojechać autobusem?” spytała Chloe. „Chodźmy więc”.

„Dokąd mnie prowadzisz?”, Sheila wypowiedziała pytanie na głos. „Nie idziemy do domu?”

Zatrzymały się na światłach. W tym miejscu ulica była pusta. Już miały ją przejść, gdy zjawił się jaskrawo oświetlony autobus. W środku siedziała sztywno wyprostowana kobieta. Po chwili autobus zniknął.

To nie kwiaty. Sheila czuła zapach włosów Chloe — właśnie tak, trochę stęchle, tajemniczo pachniały włoski malutkiej Chloe, gdy Sheila wtulała w nie twarz.

„Oczywiście, że idziemy do domu”, powiedziała Chloe. „Przecież ze mną pójść nie możesz”.

„Pozwól mi iść z tobą!”, jęknęła Sheila w przypiływie paniki.

„Przecież nie możesz”, odparła łagodnie Chloe.

„Nie odchodź!”

Ale było już za późno. Zerwał się wiatr i Chloe odeszła. Gdzieś w oddali zatrąbił samochód.

Chloe zostawiła ją na Oxford Street. Znała w końcu drogę. Stąd wystarczyło iść już prosto, pod wiaduktem, obok budynku BBC, przejść pod autostradą. Jeszcze mila na wschód i Sheila znalazła się w domu. Gdy dotarła do pubu, wybiła jedenasta. Drzwi stały otworem, wpuszczając balsamiczne powietrze, w barze jednak nie było nikogo. Przy stole, spowity oparami dymu, siedział David. Spojrzał na nią.

— Gdzie byłaś? Postanowiła mu powiedzieć.

— Poszłam do klubu i wróciłam do domu piechotą.

Czekała na wybuch gniewu: „Po jaką cholere to zrobiłaś?”

Oszalałaś czy co? Chcesz, żeby i ciebie zabili?”

David jednak milczał. Opróżnił tylko do dna szklanke, po czym spytał:

— Któredy szłaś? Patrzyła na niego.

— Więc ty także to zrobiłaś?

Skinął głową. Z dworu dobiegł hałas, gdy pan Hassan spuszczał rolety w swoim Europa Food and Wine.

— Dlatego wychodziłaś — stwierdziła tylko. Nie odpowiedział.

— Czemu nie mogliśmy pójść razem? — spytała.

Rozdział trzeci

Kąpiące się w baseniku dzieci usłyszały krzyk. Dochodził z domu obok, gdzie mieszkał ten morderca, i był rozdzierający.

— Mówiłem ci — powiedział Dominic do siostry. — On tam kogoś morduje. Podrzyna im gardła, wsadza ich do tych szop i tam robi z nimi straszne rzeczy.

— Jakie rzeczy? — zapytała jego siostrzyczka, wybałuszając pełne przerażenia oczy.

Dominic chlapanął jej wodą w buzię.

— Po prostu rzeczy. Słyszałem go, w nocy. A potem, kiedy już im zrobi te wszystkie rzeczy, zakopuje w ogrodzie. To, co z nich zostaje.

Z domu wybiegła ich matka.

— Co to był za krzyk? — spytała. — To wy? Dominic pokręcił głową.

— Nie, to on, z tego domu obok.

Natalie ciężko usiadła na brzegu wanny.

— Kochanie, przepraszam — powiedział Colin. — Widzisz, zadzwonił telefon i zupełnie o niej zapomniałem. — W umywalce siedziała iguana. — Złapała grzybicę...

— Guzik mnie obchodzi, co złapała...

— I właśnie nacierałem ją maścią.

— Na miłość boską, Colin, okropnie się wystraszyłam. Trzymaj je, proszę cię, poza domem.

Colin spuścił głowę. Wyglądał jak szczeniak, któremu zdarzyło się zapaskudzić podłogę.

Natalie zmierzwiła mu włosy.

— Zabawny z ciebie facet, Klocusiu. Sama nie wiem, co ja w tobie widziałam.

— Jeśli chcesz, pozbędę się ich wszystkich.

— Boże, nie. — Jeżeli nie będzie mógł się opiekować swoimi gadami, nie odstąpi jej na krok. Lubiła Colina, musiała jednak przyznać, że był nudny. Prawdę powiedziawszy, mieli ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Uwielbienie, jakim ją darzył, zaczynało być drażniące. Choć przyjemność sprawiało jej, że spoglądał na nią, jakby była pudełkiem czekoladek, coraz częściej miała wrażenie, że się dusi. W te gorące sierpniowe dni miała wrażenie, że ściany z wolna ją przygniatają.

Colin wyjął iguanę z umywalki. Z czcią niemal, niczym ksiądz podtrzymujący święte sakramenty na ołtarzowym obrusie, wziął ją w obydwie ręce i uważając, by jej nie zdusić,

zniósł po schodach. Przyglądała mu się przez okno. Wokół wszystkie domy były już zamiesz-
zamieszkane — w brodzikach chlapały się dzieci, ich rodzice kosili żalosne małe trawniczki.
Jak ludzie mogą wieść tak ogłupiająco nudne życie? Poprzedniego wieczoru Colin znowu
podjął temat założenia rodziny. I wtedy do niej dotarło — o to właśnie chodzi. Do tego
sprowadza się dla Colina życie. Na tym się kończy. Koniec, kropka. Mieszkamy tutaj, mamy
dzieci i na tym to polega.

— Wyjedźmy na wakacje — powiedziała przy lunchu. — Zostały mi jeszcze trzy
tygodnie zaległego urlopu, a nie mieliśmy przecież miesiąca miodowego.

— Ale, Nat...

— Pojedźmy na Bali! Zawsze chciałam się wybrać na Bali. Albo do Nowego Jorku. —
Wyciągnęła broszury reklamowe. — Wzięłam je wczoraj, mają tu specjalną ofertę... Popatrz
tylko, dwa tygodnie...

— Nie mogę ich zostawić na dwa tygodnie. Teraz jest okres lęgowy.

— Twoja mama może się nimi zająć. Przecież i tak nie ma nic lepszego do roboty. No,
Klocusiu, użyjmy sobie trochę!

Patrzyła na jego okrągłą, opaloną twarz. W styczniu małżeństwo z nim wydawało jej się
wyzwoleniem. Nie zastanawiała się, co będzie dalej, to nie w jej stylu. W tej chwili jednak,
przez ułamek sekundy, ujrzała czekające ją lata.

W pracy było to samo. W innej sytuacji dawno już przestałaby pracować w NuLine. W
ciągu dwóch ostatnich miesięcy odeszły dwie jej najbliższe koleżanki: Sioban znalazła sobie
nowego chłopaka, tym razem na szczęście nieżonatego, i wyjechała razem z nim. do Harrogate;
Farida zaszła w ciążę i mając tak czy owak zrezygnować z pracy, wkrótce przeprowadzała się
do Kanady. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał tkwić bez końca w tak monotonnej pracy,
a mimo to Natalie, najbystrzejsza z nich wszystkich, nadal dzień po dniu wracała za swoje
biurko. Dostrzegła tkwiącą w tym ironię — utkała swoją sieć i sama się w nią złapała. „Och,
jakaż pogmatwaną sieć tkamy, gdy dopiero wprawiamy się w oszustwie!”

Tego popołudnia, gdy opalając się, leżała w ogródku, usłyszała czyjś głos:

— Myślałem, że umarłaś.

Znad płotu przyglądał jej się chłopczyk z sąsiedniego domku. — Wcale nie umarłam.
Opalam się.

— Słyszałem, jak krzyczysz — powiedział malec. — Myślałem, że ktoś cię morduje.

— Och, nikt mnie nie morduje. — Zamknęła oczy.

„Prędej czy później popełni błąd”. Albo ktoś inny.

W gorący sierpniowy poranek starsze małżeństwo zamieszkujące bungalow w Hastings spożywało śniadanie. Ted i Muriel Cox od czterdziestu dwóch lat wspólnie zasiadali rano do stołu. W słońcu na werandzie wygrzewał się kot.

Ted i Muriel byli niezwykle rzadkim przypadkiem — stanowili szczęśliwą parę. Może nie tak rzadkim wśród osób starszych — w swoim słowniku nie mieli słów wyrażających niezadowolenie. Ich małżeństwo trwało od prawie pół wieku, a oni specjalnie się nad tym nie zastanawiali. Poza tym oboje byli raczej radosnego usposobienia. Zło tego świata spływało po nich, a drobne nieprzyjemności tylko na chwilę wytrącały ich z równowagi.

Właśnie jedna z nich przytrafiła im się tego poranka, lecz nawet jak dla nich była ona doprawdy niewielka. Muriel przeglądała pocztę. Z jednej z kopert wyciągnęła czek. Przez moment pomyślała, że to nieoczekiwany przyływ gotówki. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że widnieje na nim podpis jej męża.

Przyjrzała się badawczo dołączonemu do czeku listowi.

— To od jakiejś firmy budowlanej w Leeds! — wykrzyknęła. Ted był głuchy na jedno ucho. — Mówią, że nie mogą przyjąć tego czeku, bo wpisałeś na nim ubiegłoroczną datę, ty głuptasie. Piszą, że musisz to zmienić i parafować go. — Podała mu czek. — Widzisz, kochany, zawsze robimy to w styczniu, a teraz mamy już sierpień, mój drogi.

— Co? — spytał strapiony. Pomyślała, że nie dosłyszał.

— Mówiłam... — urwała w pół słowa. Jej mąż uważnie przyglądał się czekowi.

— Jest wypisany na N. Taylor. — Spojrzał ponad stołem na żonę. — Czy my znamy jakiegoś N. Taylora?

Muriel zastanowiła się przez chwilę.

— A jak się nazywa nasz czyściciel okien?

— Shawn. I nie płacimy mu dziewięćdziesięciu funtów. Wzięła od niego czek. Chwilę trwało, zanim zrozumiała.

— To nasz rachunek telefoniczny — stwierdziła.

Był kolejny czwartek. Pogoda się załamała i od rana lał rześisty deszcz. Gdy Natalie jechała do pracy, samochód drżał pod naporem wiatru.

Mimo to humor jej dopisywał. Colin zgodził się wyjechać na tydzień do Penang z początkiem września — koktajle, chaty nad basenem. Oczami wyobraźni widziała już siebie wylegującą się na słońcu jak jedna z jego jaszczurek, tyle że jej skóra była ładniejsza. Jak

wszystkich zwycięzców w kłótni, ją także przepełniała życzliwość dla pokonanego przeciwni-przeciwnika. Tego ranka postanowiła, że kupi Colinowi motocykl — harleya 1000-cc. Przed wieloma miesiącami, jeszcze w poprzednim życiu, identyczny kupowała Kieranowi w marzeniach. Dawno już nie kupiła Colinowi żadnego prezentu. Dzięki Bogu, najwyraźniej znudziły mu się w końcu gadki pod tytułem „nie stać nas na to”. Zaczynały już jej działać na nerwy.

Nie była to jedyna decyzja podjęta tego dnia. Uznała, że praca w NT przestała ją bawić, zwłaszcza że wszystkie jej koleżanki odeszły. Jesienią złożyła wypowiedzenie. Do tego czasu zbierała dobrze ponad pięćdziesiąt kawałków na swoich rozlicznych kontach. Może nawet więcej. Nie była sknerą. Nie ślęczała skulona nad wyciągami z oszczędnościowych kas mieszkaniowych, sumując je. Po prostu upychała je do zamkniętej na zamek błyskawiczny kieszonki w torbie podróżnej, schowanej na dnie szafy, skąd emitowały energię wyczuwalną wyłącznie przez nią.

Jak wszyscy dobrzy hazardziści wiedziała, że powinna się wycofać w chwili, gdy jest na plusie. Rzuci pracę i będzie się cieszyć wolnością co najmniej przez rok, a może nawet dwa. Gdy nadejdzie pora, zastanowi się, co dalej. Na razie jej plany na przyszłość były raczej mało sprecyzowane, ale tym się nie przejmowała. Czasem pojawiał się w nich Colin, kiedy indziej znowu w tym samym scenariuszu jakoś nie widziała dla niego miejsca. Póki co jednak nic się jeszcze nie działo, po cóż więc niepotrzebnie zawracać sobie głowę?

Wciąż padało. Natalie zaparkowała samochód i sprintem pognała do wejścia. Na nogach miała nowe buty. Pieniądzy nie liczyła, buty natomiast wręcz przeciwnie — a wprost je uwielbiała. W ciągu kilku ostatnich miesięcy kupiła aż trzynaście par. Colin zrobił na nie specjalny regał. Zanim zdążyła dobiec do drzwi, ta para z jasnego zamszu przemokła kompletnie. Później długo jeszcze o tym pamiętała, ponieważ butów nie udało się uratować i nigdy więcej ich nie włożyła.

Pamiętała też o innych rzeczach, o których wtedy myślała. Przeglądając wakacyjne broszury, natrafiła na kilka ofert w Tajlandii. Myśl o ojcu nie nawiedziła jej ani razu. Zupełnie jak gdyby w ogóle nie istniał.

Lekko zdziwiona właśnie się nad tym zastanawiała, gdy podeszła do niej pani Cole, ich nowa kierowniczka. Najwyraźniej czekała na Natalie. Wyraz jej twarzy wydał się Natalie dziwny. Zorientowała się, że podobnie dziwna atmosfera panuje w biurze. Nowa pracownica,

Maxine, nie przywitała się z nią, lecz tkwiła za swoim przepierzeniem. Jej sylwetka majaczyła za matowym szkłem. Dodatkowo dało Natalie do myślenia, że chyba nikt nie pracował.

Pani Cole zbliżyła się do niej i powiedziała przyciszonym głosem:

— Natalie, czy mogłabyś pójść ze mną? Jesteś proszona do gabinetu dyrektora.

Rozdział czwarty

— Nie zrobiłam tego — powiedziała Natalie.

Siedziała na którymś z policyjnych posterunków w Leeds. Pokój był mały, pozbawiony okien i przesiąknięty dymem z papierosów wypalonych przez dziesiątki ludzi, którzy przed nią powtarzali to samo.

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Po drugiej stronie stołu siedział detektyw w cywilu i policjantka, która swym potężnym wyglądem przypominała kierowcę ciężarówki.

— Wiesz, że to nieprawda, Natalie — odezwał się detektyw. — Mamy tu wyciągi z rachunku otwartego przez ciebie w Bradford and Bingley. To oszczędnościowa kasa mieszkaniowa, która odesłała czek państwu Cox. Od stycznia tego roku wpłacałaś tam sto siedemdziesiąt sześć czeków na łączną sumę piętnastu tysięcy siedmiuset dwudziestu pięciu funtów...

Aż tyle tego było?, zdziwiła się w duchu Natalie. Poczowała przyływ dumy.

— Wszystkie one doprowadziły nas do klientów NuLine. Jak już twój dyrektor, pan Smythe, zdążył cię poinformować, NuLine traktuje tę sprawę niezwykle poważnie, czemu zresztą trudno się dziwić. To oszustwo na bardzo wielką skalę.

Nawet sama przed sobą nie nazywała tego „oszustwem”. Gdy w tej chwili padło to słowo, poczuła, jak gdyby ona nie miała z tym nic wspólnego, a wszystkiego dopuścił się ktoś inny.

— Teraz chciałbym się dowiedzieć — ciągnął detektyw — ile jeszcze pieniędzy udało ci się zgromadzić w innych miejscach.

— Nie wiem, o co panu chodzi.

— Myślę, że wiesz bardzo dobrze, Natalie. — Oczy mu błysnęły. Łypnął na jej nogi, gdy je krzyżowała. Towarzysząca mu kobieta siedziała z kamiennym wyrazem twarzy.

W pokoju pracował magnetofon, jak w „The Bill”, był też sponiewierany obrońca przyznany jej z urzędu, prosto z Cental Casting. Natalie zaś była femme fatale, w czarnej, odsłaniającej wysoko jej uda spódniczce. Była kobietą z *Nagiego instynktu*.

Została zapoznana z przysługującymi jej prawami. „Na pytania związane z domniemanym przestępstwem nie musi pani odpowiadać. Może to jednak zaszkodzić pani obronie, jeśli w odpowiedzi na pytanie nie wspomni pani o czymś, na czym później będzie się pani chciała oprzeć w sądzie. Wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane jako dowód”.

Oskarżyli ją o oszustwo, manipulację i wprowadzenie w błąd.

— Ułatwisz sprawę sobie, a nam zaoszczędzisz mnóstwo czasu, jeśli powiesz o wszystkim teraz — powiedział detektyw. Nosił starannie przystrzyżoną bródkę, która oglądana z przodu wypadła całkiem atrakcyjnie, z boku natomiast układała się w ostrą, wygoloną linię na policzku. Bardzo też pogrubiała mu szyję. — Jesteś bystrą, młodą kobietą i bez wątpienia rozumiesz, że jeśli sprawa trafi do sądu, sędziowie uznają cię za winną. Nie będziesz miała cienia szansy.

Kusiło ją, żeby mu poradzić: „Niech pan sobie nie goli szyi, tylko używa maszynki do strzyżenia”. Może jego żonie to się podobało, Natalie jednak szczerze w to wątpiła.

— Możemy przyjąć twoje oświadczenie teraz — dodał na koniec.

Natalie zdusiła papierosa na metalowej tacce po tarcie. — Nie zrobiłam tego i nie mam nic więcej do dodania.

Przypomniała sobie nazwisko adwokata, z którego usług korzystała kiedyś Farida, i zadzwoniła do niego. Dochodziła dopiero trzecia po południu, ale dzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Czy to możliwe, że nie dalej jak dzisiaj rano stała w gabinecie dyrektora przed panem Smythe'em, osłupiałym Phillipem Tomlinsonem i dwoma policjantami? Gdy odjeżdżała policyjnym samochodem, w oknach NuLine zobaczyła twarze. Pomachała do nich jak członek rodziny królewskiej.

Natalie czekała w holu posterunku policji. Ulicą wolno przejeżdżał karawan. Tonął w kwiatach i szarfach: „DZIADKOWI”. Za nim podążał sznur czarnych samochodów i furgonetka z napisem na boku: THORNTHWAITES I SYN: RZEŹNICY. Natalie pomyślała: tyle się robi zamieszania, gdy umrze jakiś człowiek, a tu proszę, ciężarówka pełna martwego bydła. I nikt go nie oplakuje.

Zaczęła czuć się dziwnie, jak kiedy po wizycie u dentysty przestaje działać znieczulenie i powraca czucie. Gdzie podziewał się Colin? Próbowwała go złapać, ale jego telefon komórkowy nie odpowiadał, zostawiła więc dla niego wiadomość w pracy. Na myśl o nim ogarniał ją niepokój. Siedząc na plastikowym krzeselku, czuła się bardzo samotna. I miała zawroty głowy,

nikt bowiem nie zaproponował jej niczego do jedzenia. Czy postanowili wydobyć z niej prawdę, morząc ją głodem? Po słodkiej herbacie zbierało jej się na mdłości.

Zjawił się jej adwokat i wraz z nim pojechała do jego biura. Dzięki Bogu, okazał się mężczyzną, wielkim, bezceremonialnym człowiekiem z Yorkshire o nazwisku Wigton. Z mężczyznami lepiej potrafiła się dogadać. Siedziała teraz w jego biurze mieszczącym się w bocznej uliczce, z oknami wychodzącymi na tyły Sainsbury's. Pod rampą stała zaparkowana tyłem ciężarówka, z której zapewne wyładowywano towar, czego jednak Natalie nie mogła zobaczyć.

— Cóż, moja droga, musi pani jedną rzecz zrozumieć. — Pan Wigton miał wielkie wąsy, które nieustannie gładził. — Jestem tu, by działać zgodnie z pani instrukcjami, i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby sprawa wypadła jak najlepiej, zapewniam panią.

Z daleka dochodziły zwyczajne, codzienne odgłosy — klekot ciężarówki, jakieś pokrzykiwania. Biuro pana Wigtona sprawiało wrażenie tymczasowego — liche ścianki działowe, skąpe umeblowanie. Można by pomyśleć, że ledwie Natalie je opuści, wszystko zostanie zlikwidowane. W przedpokoju nie było nawet sekretarki, tylko opustoszałe biurko.

Natalie wzięła głęboki oddech.

— Powiedzmy... tylko powiedzmy... że uznają mnie winną. Ile... no, wie pan... dostanę?

— Cóż, w grę wchodzi wyłącznie kara pozbawienia wolności. Osiemnaście miesięcy, góra dwa lata, w zależności od sędziego. Ale nie mówmy o tym. Łatwo się nie poddamy. — Uśmiechnął się do niej po ojcowsku. — Jest pani bystra i wyczuwam w pani wojowniczego ducha.

— Na czym będzie się opierała obrona?

— Będę to musiał omówić z obrońcą. Błąd komputera — mnóstwo się ich przecież zdarza. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu dostałem rachunek telefoniczny na sześćset funtów i okazało się, że ktoś doliczał do niego koszty rozmów z... hm... towarzyską linią dla dorosłych na Filipinach. — Złożył razem trzy leżące na jego biurku kartki. — Spróbujemy udowodnić, że ktoś coś w firmie spieprzył — proszę Wybaczyć wyrażenie — czego pani padła ofiarą. NuLine stara się wszystko ukryć, nie stracić zaufania udziałowców. Było nie było, nie wygląda to najlepiej, zgodzi się pani ze mną? Zwłaszcza w chwili, gdy zanoszi się na duże przejęcie. Ale takie błędy się zdarzają, nieprawdaż? Wszyscy o tym wiemy. I oto pojawia się pani, kozioł ofiarny, i to tylko dlatego, że przez przypadek zgadzają się pani inicjały.

— Przedtem się nie zgadzały.

— Jeszcze raz?

— Postarałam się, żeby się zgadzały. — Natalie mówiła szybko. Cóż za ulga móc nareszcie wyznać komuś wszystko. — Znalazłam faceta, którego nazwisko zaczynało się na T, i wyszłam za niego.

Reakcja nie mogła jej nie zadowolić. Pan Wigton skulił się w sobie, wsparł brodę na ręce i wybałuszył na nią oczy.

— Czy mogłaby pani jeszcze raz wszystko powtórzyć?

— Znalazłam właściwego faceta — ma na imię Colin — i wyszłam za niego.

— Wyszła pani za mąż tylko po to, żeby zmienić swoje inicjały na N.T.?

Skinęła głową. Pan Wigton był wyraźnie pod wrażeniem. Natalie zaczynała się dobrze bawić. Oboje byli tak pochłonięci rozmową, że żadne nie usłyszało dźwięku otwieranych drzwi i nie zauważyło, że ktoś trzeci wszedł do pokoju.

— Czy on wiedział? — spytał pan Wigton.

— Boże, nie. Jest taki słodki... o niczym nie ma pojęcia. To znaczy, podobał mi się, to zrozumiałe...

Ramiona pana Wigtona drżały. Pogładził wąsy, by ukryć rozbawienie.

— Cwana z pani dziewczynka, nie ma co — powiedział. — Nie tak cwana jednak, jak się pani wydawało.

— Dlaczego? — zaciekawiała się.

— Nie musiała pani zadawać sobie aż tyle trudu. Mogła pani po prostu zmienić nazwisko.

— Jak to?

— Do tego nie jest potrzebny akt urzędowy. Przecież każdy może nosić nazwisko, jakie mu się podoba.

On się z niej naśmiewał!

— Och, przyszło mi to głowy — powiedziała wyraźnie urażona. — Ale wyglądałoby to trochę podejrzanie, nie sądzi pan? Tak ni z tego, ni z owego zmieniać sobie nazwisko?

Pan Wigton potrząsnął głową. Ramiona wciąż mu drżały.

— Biedny dureń.

— Kto taki?

— Pani mąż. Biedny dureń.

No tak, nie powinna była mu o niczym mówić. Wtedy usłyszeli za plecami szmer. Oboje się odwrócili.

Ujrzeni Colina. Nagle osunął się na krzesło.

Siedzieli w furgonetce Colina, przed biurem adwokata. Nastąpiła godzina szczytu i choć ulicami przetaczały się sznury samochodów, w furgonetce panowała przeraźliwa cisza.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział Colin. — Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem.

— To nie było tak! — krzyknęła Natalie. — Wcale nie tak. Naprawdę bardzo cię lubię i w ogóle, dobrze o tym wiesz. Po prostu przyszło mi to do głowy, ale dopiero po tym, jak poznałam cię. — Nachyliła się, by dotknąć jego nogi, ale zatrzymała się. — W końcu małżeństwo Faridy było skojarzone przez rodziców, a układa im się wyśmienicie, ona naprawdę go lubi...

— Pieprzyć Faridę.

Natalie aż podskoczyła. Colin nigdy nie przeklinał.

— Czy nie byliśmy szczęśliwi? — spytała. — Naprawdę szczęśliwi? Tego nic nie zmieni, nie odbierze nam, przecież to coś prawdziwego...

— Jak możesz tak mówić? Co z ciebie za człowiek? — Obrócił się gwałtownie twarzą do niej. — Myślałem, że mnie kochasz...

— Bo tak jest! — Spróbowała go objąć, on jednak ją odtrącił.

— Myślałem sobie, jak to możliwe, że ona mnie kocha? — Wierzchem dłoni otarł nos. — Byłem w siódmym niebie, nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu...

— Błagam, uwierz mi...

— Oszukałaś mnie tak samo, jak oszukałaś ich. Przez cały ten czas okradałaś ich...

— Kto powiedział, że to robiłam? — spytała niepewnie. Patrząc na niego, zrozumiała, że nie ma sensu obstawać przy swojej niewinności.

Z trudem przyjmował to wszystko do wiadomości. Siedział sztywno, wstrząśnięty.

— Jak mogłaś to zrobić, Natalie? Cały czas się zastanawiałem, skąd bierzesz na to wszystko... nie mogę uwierzyć...

— Klocusiu, przepraszam. Jest mi przykro, naprawdę bardzo mi przykro. — Próbowała zapalić papierosa, ale zapalki jej się wyślizgnęły. — Przecież nikogo nie skrzywdziłam. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o zwykłych, nic nie znaczących ludziach, takich jak my? — Szukała po omacku na podłodze. — Ich przecież nie skrzywdziłam. Sam mówiłeś, jak nienawidzisz dyrekcji gazowni za to, że karzą staruszki, nie oglądając się na nic... — W końcu

znalazła zapalki i spróbowała jedną zapalić. — Widzisz, NT niczym się od nich nie różni... Zarabiają taką kasę, że niczego nawet nie zauważyli. Kogo więc skrzywdziłam?

Patrzył na nią. Na jego dolnej wardze błyszczała łza.

— Kogo skrzywdziłaś? Jeszcze się pytasz? Odwrócił się i zapalił silnik.

Tę noc Colin spędził na kanapie. Wyglądało na to, że brakło mu sił, by położyć się do łóżka. Natalie zaglądnęła do saloniku i ujrzała go, jak leży zwinięty, wciąż jeszcze w kurtce, przy zapalonych światłach.

— Chodź do łóżka, Colin — odezwała się. Nie doczekała się żadnej odpowiedzi.

Natalie zasnęła. Pierwszą jej myślą po przebudzeniu się było: Chryste, spóźnię się do pracy. Zaraz jednak wszystko sobie przypomniała. Już nigdy więcej nie pójdzie do NuLine.

Gdy się obudziła, świat był zupełnie inny. Nie — świat kręcił się dalej, ona jednak przestała do niego należeć. Tak samo, jak gdyby okazało się, że jest chora na raka. Wystarczyło kilka słów, by wystrzelić ją w równoległy wszechświat, istniejący od zawsze, lecz odwiedzany tylko przez tych, którym powinęła się noga.

Teraz porwał ją nurt nowego życia — kolejne spotkanie z adwokatem, w poniedziałek przesłuchanie przed sądem rejonowym. W nowej egzystencji obowiązywało także nowe słownictwo: „kurator sądowy”, „powiadomienie o prawach”... Znalazła się w obcym kraju, gdzie obowiązywał nie znany jej język, a o powrocie nie było nawet mowy.

Na podłodze leżały jej zniszczone przez deszcz buty. Wczoraj, w innym życiu, szykowała się o tej porze do pracy. Lecz tamta młoda kobieta stała się nagle nieosiągalna. Przez jedną przerażającą chwilę Natalie była obca nawet dla siebie samej. Ktoś wpisał na czeku złą datę i oto nagle ona stała się przestępcą. Przedtem ani przez moment w ten sposób o sobie nie myślała. Prawdę powiedziawszy, tak przywykła do swojej działalności, że zapomniała już o dreszczyku emocji, który odczuwała na początku. Pomyślała o swoim biurku w pracy, działowych ściankach oklejonych pocztówkami. Już zdążyło stać się elegijne jak stara fotografia, jak coś, czego istnienie uważało się za rzecz oczywistą, lecz teraz utracone było na zawsze.

Natalie szorowała w łazience zęby. Ręka jej drżała i odrobina pasty pobrudziła jej wargi. Gdzie była jej matka, właśnie teraz, gdy tak bardzo jej potrzebowała? I gdzie był Colin — jej prostoliniyny, przyzwoity mąż, którego zraniła tak głęboko?

Ujrzała go w ogrodzie. Nie poszedł do pracy, zawiadomił ich, że się rozchorował. Deszcz wciąż padał. Colin z pochyloną głową spacerował po błocie.

Zbiegła na dół i poszła za nim do nowej szopy, którą dostał od niej w prezencie. Karmił swoje ropuchy. „Przyjrzyj się im!”, poprosił ją pewnego razu. „Popatrz na nie, te tłuste, żarłoczne stwory. Pożarłyby wszystko — chleb, ser, kuchenny zlew”. Dzisiaj jednak wrzucił im pudełko świerszczy, po czym obrócił się powoli i spojrzał na nią.

Stał bez ruchu. W szopie słychać było jedynie podobne do telefonicznych dzwonekó cykanie świerszczy. Natalie przypomniała sobie, jak kiedyś się wygłupiała. „Halo, mówi Natalie, w czym mogę pomóc?” Dzisiaj jednak milczała. W akwariium ożywione nagle ropuchy rozpoczęły ucztę. Jeden po drugim świerszcze milkły.

Natalie ujęła dłoń swego męża. To dziwne, lecz po raz pierwszy poczuła, że naprawdę jest mężatką.

Colin posłusznie szedł za nią na górę. W sypialni zdjęła mu z głowy wełnianą czapkę i rozpięła kurtkę. Uniosła kołdrę i oboje położyli się do ciepłego jeszcze łóżka.

Colin leżał obok niej kompletnie ubrany. Natalie otuliła jego i siebie kołdrą.

— Nasza żółwia skorupa — szepnęła. — Nikt nas tu teraz nie dostanie.

Colin leżał płasko na plecach. Obróciła się twarzą do niego i pogładziła go po pulchnym, gładkim jak u dziecka policzku — tylko na brodzie można było wyczuć delikatny ślad zarostu. Czy Colin poradzi sobie jakoś z tym, co się stało?

Objęła go ramionami i przytuliła mocno.

— Potrzebuję cię, Klocusiu — powiedziała. — Nie zostawiaj mnie.

*

Colin trwał więc przy niej. Był lojalnym młodym człowiekiem i kochał ją głęboko. Przesłupstwo, którego się dopuściła, zdeprymowało go. Było to coś, co przekraczało granice jego pojmowania. Gdzie doszukiwać się motywów jej postępowania, dlaczego oszukiwała — tak długo i na tak niewyobrażalną skalę? Jednak w miarę jak mijał weekend, zaczynał się z tym godzić. Uznał to po prostu za nieodłączną część jej charakteru. Miał naturę wspinacza. Dla niego postępek żony nabrał cech rysy na poza tym gładkiej, solidnej granitowej skale, warstwy miękkiej i zdradliwej niczym kreda.

Ostatecznie, czy to ważne? Zaczął z wolna dochodzić do siebie. Nawet odczuwał coś na kształt dumy, że tak dzielnie potrafił przystosować się do nowych okoliczności. „Na dobre i złe”. Czy nie o to właśnie chodziło w przysiędze małżeńskiej — że prędzej czy później nadchodził dzień próby?

Poza tym przestępcza działalność Natalie w pewnym sensie okazała się dla niego korzystna — tkwili w tym razem. Z poczuciem winy myślał o ułatwieniach, jakie pieniądze

wniosły w ich życie — i nie tylko o dom tutaj chodziło, lecz przede wszystkim o brak zastanowienia, z jakim mogli spełniać wszystkie swoje zachcianki: szerokoekranowy telewizor Sony, nowa pralka dla jego matki. Z upływem miesięcy przyzwyczaili się brać wszystko za rzecz oczywistą — bak w samochodzie napełniali do pełna, zamiast kupować benzynę za dziesięć funtów; jeśli coś się zepsuło, nie musieli się martwić, mogli to przecież naprawić lub po prostu kupić sobie nowe. Wtedy ani razu się nad tym nie zastanowił, zawsze do tej pory żył skromnie i nigdy nie był niezadowolony. Teraz jednak czuł się zbrukany swoim wzrostem oczekiwań, i uznał, że kara słusznie mu się należy. Czy wszystko to — dom, nowe rzeczy — zostanie im odebrane? Jeszcze bardziej istotne było, co się stanie z Natalie? Czy ją także mu odbiorą? Nawet w skrytości ducha nie mógł się zdobyć na użycie słowa „więzienie”, nie potrafił nawet o tym myśleć.

Naturalnie, poczuł się głęboko zraniony zdradą, jakiej się wobec niego dopuściła. Z drugiej jednak strony od tego czasu okazywała mu tyle miłości — więcej niż kiedykolwiek przedtem — że czasem błogosławił kryzys, który tak ich do siebie zbliżył.

W tych ciężkich momentach byli sobie bardzo bliscy, kurczowo się siebie chwyтали, szukając schronienia przed złowrogim światem. W końcu stał się Natalie potrzebny. Jakże była bezradna, pozbawiona wszelkiej opieki! Dotąd jego instynkt opiekuńczy cierpiał, Natalie bowiem jako zadziorną ósóbkę jego troska drażniła. Teraz natomiast miał pełne pole do popisu. Opiekował się żoną, jak gdyby była inwalidką. Dzwoniło kilka osób — koleżanka z pracy, jakiś facet o imieniu Phillip z działu personalnego — ale Natalie szczęśliwie z nikim nie chciała rozmawiać.

— Spław ich — szeptała.

Później Colin wspominał ten weekend z rozczeniem. „Nic nam tego nie odbierze”, powiedziała kiedyś Natalie. Pomimo strachu i zdenerwowania przepełniało go prawdziwe uczucie szczęścia. Wkrótce cały świat się dowie — reporterzy, jego matka — na razie jednak normalne życie toczyło się gdzieś obok, a tu byli tylko on i Natalie, sami jedni. I nikomu innemu, z wyjątkiem swego adwokata, nie wyspowiadała się ze swojej winy.

Wybrali się razem na wieś. Towarzyszyła mu nawet w wyprawie po łąkowy plankton, odżywczy świeży pokarm dla jego małych jaszczurek i żabek. Dał jej siatkę na motyle i patrzył, jak przeczesuje nią chwasty. Po raz pierwszy od dnia ich ślubu pomagała mu, wkładając do lodówki torebki z owadami, gdzie miały czekać, aż otępiały zimnem będzie można je wypuścić.

Zabrał ją na wrzosowiska, daleko na północ, aż do Wensleydale. Pokazał jej ruiny domu dziadka i pola, które jego rodzina uprawiała przez całe życie. Na pobliskim wzgórzu wzniesiony został maszt satelitarny. Jego ogrom wstrząsnął Colinem. Być może ustawiło go tu NuLine, sprawca nieszczęść Natalie, lecz nawet ta myśl nie zdołała zepsuć im spędzonego wspólnie czasu.

Colin był szczęśliwy. Wysoko na niebie wydierał się skowronek, jak gdyby wyrzuciła go tam czyjaś pięść. Dzień ten był jak najwspanialsze wakacje, miodowy miesiąc, którego nigdy nie mieli. Trzymali się za ręce niczym para kochanków i szli aż do utraty tchu. Owiane wiatrem, obojętne wzgórza działały na niego kojąco. Wiedziały, że wszystko to jest bez znaczenia, a miłość, podobnie jak one, przetrwa wszelką małośćkowość terażniejszości. Natalie dreptała obok niego w swoich bezsensownych bucikach, bez reszty jego, nie niepokojona przez swoje zwykłe, niepojęte zainteresowania. Miną całe miesiące, zanim proces się rozpocznie, on jednak już teraz czuł, że może ją stracić. Wyczuwał to w balsamicznym powietrzu, jak pierwszy powiew jesieni.

— Włóż to samo, co miałaś na sobie, kiedy pierwszy raz przyszedłaś na podwieczorek do mojej mamy — powiedział Colin. — Tak ładnie wtedy wyglądałaś.

Natalie roześmiała się.

— To nie znaczy, że... — zająknął się. — Chciałem powiedzieć, że normalnie zawsze wyglądasz ładnie... — Miał na myśli, że skromnie i przyzwoicie. Od tamtego dnia ani razu nie widział jej w tym stroju.

Zwichrzyła mu włosy.

— W porządku.

Natalie zachowywała się wyjątkowo spokojnie. On już się pocił w białej koszuli i krawacie. W sądzie mieli stawić się o dziesiątej, gdzie umówieni byli z panem Wigtonem. „To zwykła formalność”, uspokajał ich. „Nie ma się czym denerwować”. To oczywiste, bo dla pana Wigtona będzie to kolejny, zwykły dzień pracy.

Natalie włożyła jasny kostium, w którym wystąpiła na ślubie Faridy, a włosy spięła z tyłu aksamitną gumką. Takiej jej nie znał, wyglądała elegancko, a mimo to krucho i delikatnie. Była jak kameleon zmieniający barwy zależnie od okoliczności. Kameleony potrafiły też wywracać oczami na wszystkie strony. Ale przestępcy, pomyślał, także są do tego zdolni. Jak gdyby nigdy nic rozmawiają z czyjąś matką, jednocześnie wzrokiem szacując rodzinne srebra. Chociaż ostatnio tak bardzo się do siebie zbliżyli, Natalie budziła w nim niepokój. Wszak przez te

wszystkie miesiące, choć pozornie zainteresowana tylko nim, tak naprawdę prowadziła drugie, tajne życie. Inny mężczyzna wracałby może do przeszłości, przypominał sobie fakty, szukał wskazówek — w którym momencie skłamała? Colin jednak był inny. Ufał jej, musiał jej ufać. Zwyczajnie i po prostu.

Zawiózł ją do sądu. Dzięki Bogu, nigdzie nie zauważył swojej matki. Drżał z obawy, że może się dowiedziała. W korytarzu siedzieli ludzie, czekając na wywołanie swojej sprawy. Przestępcy do szpiku kości, siedzieli i palili pod napisem „PROSIMY NIE PALIĆ”. Byli jednocześnie wyzywający i bezbronni, jak wszyscy ludzie przekonani, że zostaną uznani za winnych. Jego szkolni koledzy często tak właśnie wyglądali. Z Natalie natomiast emanowała przepelniona niewinnością energia. Colin z zachwytem podziwiał jej świeżą cerę i błyszczące oczy. Okaże się godnym przeciwnikiem dla Temidy!

Och, jakże cierpiał, gdy musiał się z nią rozstać! Przyszli po nią i po chwili zamknęły się za nią drzwi. Kiedy ujrzał ją znowu, wprowadzano ją na ławę oskarżonych. Wydała mu się taka maleńka! Obrzuciła wzrokiem galerię dla publiczności, świecącą właściwie pustkami, wyraźnie kogoś na niej szukając. Jednak Colina zdawała się nie zauważać, jej wzrok zatrzymał się na kimś innym. Colin odwrócił się i rozpoznał go — to był Phillip, kolega z jej pracy.

Została zaprzysiężona i urzędnik odczytał oskarżenie.

— Oskarżona została doprowadzona pod zarzutem oszustwa, manipulacji i wprowadzenia w błąd... — Colin skrzywił się.

Sędzia była kobietą o surowym wyglądzie. Podczas gdy urzędnik odczytywał akt oskarżenia, spojrzeniem znad okularów taksowała Natalie. Poza nią wszyscy — kimkolwiek byli — zachowywali się swobodnie, ba!, wręcz wesoło. Czy nie zdają sobie sprawy z powagi chwili? Wyglądali jak starzy przyjaciele, a jego żonę zdawali się traktować jak kogoś nieistotnego. Zapragnął podbiec do niej i utulić ją w ramionach. Urzędnik zwrócił się do Natalie.

— Czy oskarżona przyznaje się do winy?

— Nie przyznaję się! — wykrzyknęła Natalie, głośno i wyraźnie.

— Stawi się pani przed Sądem Koronnym — oznajmił urzędnik. — Data i miejsce rozprawy zostaną ustalone...

Sędzia skinęła na pana Wigtona i odbyli rozmowę przyciszonymi głosami. Adwokat dwukrotnie skinął głową. Sędzia zwróciła się do Natalie.

— Ustanawiam kaucję w wysokości pięciu tysięcy funtów. Colin zaniemówił. Kaucja?
W tej chwili Natalie została wyprowadzona, a jej miejsce zajął kto inny.

Colin wyszedł na korytarz. Podszedł do niego jakiś mężczyzna z notesem.

— Pan Taylor?

Zmartwiony Colin przytaknął skinieniem głowy.

— Musi pan przeżywać prawdziwy wstrząs. Colin kiwnął głową.

— To prawda.

— Czy będzie pan żonę popierał?

— Jasne — odparł Colin. — Ona potrzebuje mnie, a ja jej. Podbiegła Natalie.

— Spierdalaj! — warknęła na mężczyznę.

— Natalie...

— To reporter, nie widzisz tego? Pieprzony gad.

— Gad? — Colin zwrócił się do mężczyzny. — Nie miała nic złego na myśli. Widzi pan, ja hoduję gady, jestem herpetologiem.

— Jak się to pisze? — zainteresował się mężczyzna.

— H-e-r-p...

— Powiedziałam, spierdalaj. — Natalie odciągnęła Colina. — Och, Colin, co ja mam z tobą zrobić?

Colinowi kręciło się w głowie. Czy już nikomu nie można ufać?

Pan Wigton czekał na nich w bocznej sali.

— Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, że wyznaczą kaucję w takiej wysokości.

— To ta baba — powiedziała Natalie. — Nie spodobałam się jej, stara ropucha. — Ściągnęła z włosów gumkę i potarła czoło. — Uważa, że nie można mi zaufać.

Po powrocie do domu Natalie przygotowała Colinowi gin z tomkiem. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się pić ginu z tonikiem o tak wczesnej porze. Prawdę powiedziawszy, w ogóle rzadko zdarzało mu się pić.

— Ile mamy pieniędzy? — spytał.

— Na pewno nie tyle. Nawet połowy z tego. — Zdjęła buty, rzuciła się na kanapę i zamknęła oczy. — Nawet jednej czwartej.

I tak nie będą im potrzebne. Przecież Natalie nie zamierza nigdzie uciec. Ale pieniądze będą im potrzebne na inne opłaty — czy dostanie pomoc prawną? Colinowi znowu zakręciło

się w głowie, nie mógł sobie przypomnieć. Natalie przestała zarabiać, a pieniądze potrzebne są przecież choćby na życie.

— Nie masz...? — urwał w pół słowa. Otworzyła jedno oko.

— Czego?

— Żadnych więcej pieniędzy gdzieś odłożonych?

— Żadnych więcej? Co przez to rozumiesz?

— Nic.

— Wszystko wydaliśmy. Zdumiewające, jak szybko się rozpląnęły. — Odrzuciła głowę do tyłu. — Och, cholera, cholera, cholera!

— Nat, jakoś sobie poradzimy. Ona jednak chyba go nie słuchała.

— Chryste, co za pieprzony burdel! Nastąpiła cisza.

Usłyszał, jak bierze głęboki oddech. Nie odwróciła się jednak, mówiła do sufitu.

— Colin, przepraszam cię. Tak mi przykro.

— Kochanie, nie przepraszaj. Jakoś przez to przebrniemy, wszystko dobrze się ułoży...

Lecz ona go nie słyszała.

— Naprawdę cholernie mi przykro.

Gdy Colin wyszedł, Natalie zadzwoniła do adwokata.

— Ta zmiana nazwiska — powiedziała. — Że to niby takie proste. Wszystko bardzo pięknie, ale powiedzmy... tylko powiedzmy, tak przykładowo... że ktoś chce zacząć nową pracę. A co z ubezpieczeniem?

— Bułka z masłem — zachichotał pan Wigton. — Natalie, co ci chodzi po głowie?

— Nic. Po prostu mnie to zaciekało.

— Możesz zrobić tak jak jeden z moich klientów. Odwiedził urząd stanu cywilnego i za drobną opłatą mógł sobie przejrzeć akty zgonów. Szukał mężczyzny mniej więcej w swoim wieku. Znalazł odpowiedniego, napisał do wydziału zdrowia w Newcastle, podpisując się już nazwiskiem tego zmarłego faceta. Wytłumaczył im, że zgubił legitymację ubezpieczeniową, a numeru nie pamięta.

— I co zrobili?

— Przesłali mu ją. Przez telefon nie da się tego załatwić. I proszę bardzo, facet ma nowe nazwisko, nowy numer ubezpieczenia. — Znowu zachichotał. — Moja droga, chyba nie przychodzą ci do głowy kolejne genialne pomysły? Śmiem twierdzić, że jesteś już po uszy utyłana w cuchnącym bagnie. Zamyślona Natalie odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia o wszystkim pisali w lokalnej prasie.

TELEFONISTKA OSKARŻONA O OSZUSTWO. Colin nie miał siły tego czytać, choć zauważył jeszcze i to: HERP-HOBBY-BOBBY TWIERDZI: BĘDĘ POPIERAŁ ŻONĘ.

— Herp-hobby! — prychnął Dezza. — Ty biedny frajerze. Może chcesz ją zatrzymać?

Colin potrząsnął głową, odsuwając od siebie gazetę, jak gdyby przenosiła zakaźną chorobę. Dezza był hodowcą z prawdziwego zdarzenia, znanym w całej północnej części kraju. Jego firma mieściła się w trzech przerobionych kontenerach o rzut kamieniem od skrzyżowania 37 przy M1.

Colin ledwo mógł oddychać. Tkwił w prawdziwie miłosnym uścisku swojej pytonicy. Wiedziała, na co się zanosi, i nie chciała się z nim rozstać. Czuł, jak jej ucisk tężeje.

— Tysiąc gotówką — powiedział Dezza. — Dla mnie żaden zysk, ale dla kumpla w potrzebie...

Colin wyswobodził się z niebezpiecznie wyglądającego ucisku pytona. Wąż od kwietnia znacznie przybrał na wadze.

— Jest w idealnym stanie — powiedział.

Mała, kształtna główka zwierzęcia zwróciła się w jego stronę.

Dezza odliczył plik banknotów. Colin delikatnie złożył pytona w skrzyni. Dezza znalazł już na niego kupca, jakiegoś sułtana. Wśród Saudyjczyków pytony miały wielkie wzięcie.

Colin odszedł od skrzyni. Nawet się nie obejrzał. Z bólem serca sprzedawał swoją ulubienicę, nie miał jednak wyboru. Przypomniało mu się, jak Natalie się śmiała, rozpinając mu rozporek: „Pokaż, jakiego węża tam chowasz”.

Wrócił do swojej furgonetki. Z oddali słyszał przytłumiony szum dochodzący z autostrady. Widział rząd sztywnych, ciemnych cyprysów. Przypominały mu krematorium, do którego zawiózł ciało swego ojca.

Jechał do domu w siąpiącej mżawce. Wypluła świat z wszelkich kolorów, została jedynie szarość. Przestań się mazać, Colin, upomniał siebie. Przecież to tylko wąż.

Zabiorę Natalie do Cross Keys, pomyślał, aż do Ilkley Moor. Zjemy tam sobie lunch. Natalie nie wiedziała o pytonie, byłoby jej bardzo przykro. Na całe szczęście bywała rzadkim gościem w jego szopach.

Nie miał wątpliwości, że matka prędzej czy później dowie się o wszystkim. Jakaś sąsiadka pokaże jej artykuł w gazecie. „Dlaczego mi nie powiedziałeś?”, zapyta. Będzie zdenerwowana, to oczywiste, ale gdzieś w głębi serca odczuje cię satysfakcją. „A nie

mówiłam?" Nie dowie się, że Natalie wyszła za niego ze względu na nazwisko. Oszczędzi jej tego upokorzenia, ale i tak mocno to przeżyje. „Zawsze mówiłam, że coś z tą dziewczyną jest nie tak... Nigdy jej nie ufałam...”.

Wjechał w swoją ulicę. Samochód Natalie — jej nowiuteńki prelude — zniknął. Może chciała uciec przed telefonami. Teraz, gdy o wszystkim rozpisywały się gazety, na pewno rozpęta się piekło. Z drugiej jednak strony może jej przyjaciele, przerażeni, nie będą chcieli się z nią kontaktować. Czy uwierzą jej zapewnieniom o niewinności?

Colin zaparkował furgonetkę i wszedł do domu.

— Nat? — zawołał na wszelki wypadek.

Żadnej odpowiedzi. Wszedł do kuchni, chcąc zaparzyć sobie herbatę. O kuchenkę mikrofalową stała oparta koperta: COLIN.

Niczego nie przeczuwał, choć gdy później się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że powinien się domyślić, iż na coś się zanosí. Dziwne, że użyła koperty. Mimo to wciąż jeszcze zakładał, że w środku znajdzie zwykły liścik. „Poszłam na zakupy, wrócę później” czy coś w tym stylu. Nalał nawet wodę do czajnika, zanim zajrzał do koperty.

W końcu jednak to zrobił. Rozciął kopertę kuchennym nożem i wyjął list.

„Kochany Colinie”, brzmiał początek. „Tak bardzo mi przykro...”

Koniec brzmiał: „Tak będzie najlepiej. Chcę ci oszczędzić kłopotów”.

Rozdział piąty

Sheila spędzała coraz dłuższe godziny w wannie. Otumaniona valium leżała zanurzona w wodzie, a mimo to jak hologram unosiła się nad swoim bezużytecznym ciałem. Dawno temu zużyła już wszystkie płyny do kąpieli Chloe. Przebywanie w zamkniętej łazience, w której słychać było jedynie kapanie wody z kranu, przynosiło jej ulgę. W szafce czekała buteleczka z tabletkami. Teraz one były jej jedynymi sprzymierzeńcami, tylko one ją rozumiały. Leżała pogrążona w narkotycznym transie.

Dawniej Chloe doprowadzała ich do szału swoimi kąpielami. Na długie godziny zamykała się w łazience, zużywała sześć ręczników, a potem mokre ślady stóp znaczyły jej drogę z łazienki do sypialni. Przez swą nieobecność wciąż istniała, wszystko bowiem przypominało Sheili o niej — tłuste plamy na stole, resztki jogurtu w zlewíe. I wiecznie te nie

dokręcone zakrętki — w słoikach, butelkach. Raz Sheila narysowała tubkę pasty, z której zakrętki wychodził napis: „Wróć, wszystko ci wybaczymy!”

Od wielu miesięcy nie pojawiły się mokre ślady stóp. Dokładnie od trzech miesięcy, dwóch tygodni i sześciu dni. Drzwi do pokoju Chloe pozostawały zamknięte. W ciągu dnia Sheila krążyła po domu jak lunaticzka, na wpół przytomna, nocami nie mogła zmrużyć oka. I zawsze przechodząc obok tych drzwi, słyszała dochodzące zza nich dźwięki. Później zrozumiała, że istniały one tylko w jej wyobraźni, bo tak naprawdę słyszeć nie mogła — dźwięku, który wydawała Chloe, skupiając uwagę na czasopiśmie, dźwięku Chloe po prostu żywej.

Lecz pewnej nocy otworzyła drzwi i ujrzała siedzącego na łóżku Davida. Sheila podskoczyła. Wyglądał jak wykuty z kamienia, zupełnie jak gdyby nie poruszył się od wielu godzin. Sheila zawahała się przez chwilę, potem jednak weszła i usiadła obok niego. Chciała ująć jego rękę — nie dotykali się od tygodni — lecz było od niego takie wyobcowanie, że bała się, iż porazi ją jak prąd.

— Odejźmy stąd — powiedziała. — Wyjedźmy gdzieś na tydzień. Zróbmy sobie wakacje.

Milczał. Jego ubrania pachniały papierosami, podobnie jak włosy. Ostatnio w ogóle przestał się golić, co ją przeraziło. Chyba także przestał się myć. Zamienili się rolami, teraz to ona zaczęła przesadnie dbać o czystość.

— Porozmawiaj ze mną.

— Dzwonili dzisiaj z browaru. Przeglądali wyniki. Dwadzieścia procent mniej sprzedanego alkoholu w zeszłym miesiącu, piętnaście piwa.

— David, rozmawiaj ze mną.

— Chcą porozmawiać o przyszłości pubu.

— Nic ich nie obchodzi. — Cała szafa oklejona była wyciętymi z gazet zdjęciami. Tam, skąd niektóre poodpadały, raziły puste miejsca. — Poradzimy sobie. Jakoś to będzie, ale musimy trzymać się razem. — Nagle roześmiała się. — Zawsze chciałam być fryzjerką.

— Co?

— Pasemka, trwała... „jak spędza pani święta?”.

— Sheila...

Śmiała się coraz głośniej.

— O mój Boże, jakże te końcówki się rozdwarzają.

— Zażywasz tabletki?

— Ty mógłbyś odnawiać stare MG. Pamiętasz, jak w twoim rozwaliłam ci skrzynię biegów? Powiedziałeś, że to kolekcjonerski okaz.

— Posłuchaj, myślę, że powinnaś...

— I moglibyśmy przenieść się do Devon. Tam jest taka piękna czerwona ziemia.

Zapadła cisza. Jej śmiech zamarł. Zegar pulsując, wyświetlał godzinę 00:00. Ktoś musiał wyłączyć go z kontaktu. Może nawet ona sama, gdy odkurzała pokój.

Na dole rozległ się huk. David zerwał się, jakby tylko czekał na okazję uwolnienia się od niej, i wybiegł.

W sali na dole odpadł kawałek sufitu. Po instalacji elektrycznej ściekała woda.

— O matko — jęknęła. — To moja woda. — Zapomniała ją zakręcić.

David z łomotem pognął na górę. Sheila, nagle potwornie zmęczona, usiadła na podłodze. Przez okno wpadało światło ulicznej latarni. Ściany wciąż jeszcze zdobiły papierowe szarfy z napisem:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, CLIFFORDZIE.

Kiedy po raz ostatni ktoś z tej sali korzystał? Wiele miesięcy temu. Z ulicy nie dochodził żaden dźwięk. Pewnie było już bardzo późno.

Tego wieczoru Sheila przeniosła się do pokoju Chloe. I odtąd co noc leżała pod kołdrą w bratki, spoglądając na ostatnie rzeczy, które Chloe co dzień oglądała, zanim zamknęła oczy na zawsze.

Wpadli Willettowie, ich znajomi. David ze szklistym wzrokiem stał niepewnie za barem. Poza Paddym, starym alkoholikiem, w pubie nie było nikogo.

— Co słyhać? — spytała Marjorie Willett. — Gdzie Sheila?

— Śpi — odparł David.

Marjorie spojrzała na męża. On spuścił wzrok i przyglądał się swoim butom.

— Doszły nas różne słuchy... i... hm... zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy wam w jakiś sposób pomóc.

— Tak! — wykrzyknął David. — Napijcie się! — W jego oczach pojawił się błysk obłądu. — Don, dla ciebie Bell, prawda? A gin z cytryną dla ciebie, nie mylę się? Siadajcie! — krzyczał. — Miejsc do wyboru mamy aż nadto!

Wymówili się i pośpiesznie wyszli.

W sali recepcyjnej murarz naprawiał sufit. Sheila była pewna, że w którymś momencie zapytała go, jak się nazywa. Miał wielki tyłek.

— Musi pan mieć bardzo spokojną pracę — powiedziała. — Żadnych zmartwień, tylko chlap, chlap, i proszę bardzo, gotowe! Wszystko gładziutkie, nigdzie ani śladu, jak gdyby nic się nie stało. — Mogła stać i godzinami mu się przyglądać. — „Udaje się”. Czy to nie ładne wyrażenie? Udaje się.

Jak zaczarowana przyglądała się ruchom jego nadgarstka — chlap, chlap, machał kielnią, potem równał brzegi jak w cieście. Stał na wspartym na dwóch drabinach podeście.

— Czy pamięta pan swoje sny? — spytała.

— To znaczy?

— Chciałam wiedzieć, czy napiłby się pan herbaty?

Pewnie przystał na jej propozycję, bo oto stała w mieszkaniu na górze i otwierała lodówkę, by wyjąć z niej mleko. Jedną kostkę cukru czy dwie? Powiedział jej? W lodówce stał kubek z herbatą.

Dotknęła go, wciąż jeszcze był ciepły. Zrobiła mu już jedną herbatę! Ależ ona jest głupia! I dlaczego, na miłość boską, wstawiła ją do lodówki?

Powoli po raz kolejny napełniła czajnik. Ileż wysiłku to wymagało... podnieść go, wstawić do zlewu, odkręcić kran. Wszystko było takie ciężkie.

Zapragnęła wrócić do łóżka. Uniosła ciężką jak z ołowiu rękę i spojrzała na zegarek. Była dopiero piąta.

Zeszła na dół. Tynkarz zszedł już z drabiny i wziął od niej kubek. Stali tak oboje przez chwilę. Krzesła w sali pokrywała gruba warstwa kurzu.

— Moja córka nie żyje — powiedziała. — Właśnie minęły jej dwudzieste drugie urodziny.

— Współczuję pani — powiedział. Niezdarnie zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

— Ochroniarz płakał. Płakał bardziej niż mój mąż.

Tynkarz odstawił kubek, żeby skręcić sobie papierosa. Sheila wykorzystała moment i objęła go ramionami. Z całej siły przytuliła się do jego wielkiego brzucha. A potem uciekła.

Leżąc noc w noc w łóżku Chloe, Sheila pragnęła, by coś jej się przyśniło. Lecz jej córka nie chciała do niej wrócić, nawet we śnie.

Sheila śniła o własnej młodości, w jakichś odmienionych domach. Pokoje były zbyt duże, wypełnione obcymi sprzętami. O drzwi wejściowe chlupotała woda. Gdy jej własna

matka się odwróciła, miała twarz pani Skinner, która kiedyś prowadziła pocztę. „Chcesz swój list?”, spytała, odsłaniając dziąsła. „Przyszła ich cała masa, ale musiałam je położyć nie tam, gdzie trzeba”.

Obudziwszy się, Sheila skąpana była we własnym pocie.

Pewnego wrześnieowego popołudnia na ulicy zatrzymał się samochód i do baru wszedł mężczyzna. Był cały pomarszczony, a nogi miał wygięte w kabłąki jak dżokej.

— Taksówka dla pani Milner — powiedział.

— Nie śpieszyłeś się pan — zauważył David, z trudem utrzymując równowagę. Musiał się przytrzymać kontuaru.

— Słucham?

— Gdzie ona jest? Dlaczego tyle to trwało?

David spoglądał zezem, usiłując skupić wzrok na drzwiach. Czy ma powitać córkę, jak gdyby nic się nie stało? „Gdzie byłaś? Impreza była zdaje się niezła”. W głowie mu wirowało. „Mama posprzątała twój pokój”.

David bardzo starał się skoncentrować. Nad głową z bzyčeniem kręciła mu się osa, w końcu osiadła na plamie piwa. Chyba musi wytrzeć kontuar.

— Taksówka dla pani Milner. — Mężczyzna zmarszczył brwi, usiłując coś zrozumieć.

Na schodach rozległ się hałas — ktoś ciągnął jakiś ciężki przedmiot, potem rozległ się huk, jakby spadła trumna. David próbował zebrać myśli.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Sheila, ciągnąc za sobą walizkę. Miała na sobie płaszcz.

— Pani Milner? — spytał taksówkarz.

— Proszę to zanieść do samochodu — powiedziała spokojnym głosem. — I zaczekać tam na mnie.

Taksówkarz z trudem podniósł walizkę i wyszedł. Sheila spojrzała na męża. W pubie nie było nikogo.

— Wyprowadzam się do Fiony — powiedziała.

— Na Florydę?

— Do Fiony.

Kto to jest Fiona? David nie potrafił sobie przypomnieć.

— Bardzo mi przykro. — Sheila musiała oprzeć się o stół, by nie upaść. — Nie chcesz ze mną rozmawiać. Tylko w ten sposób mogliśmy przez to jakoś przejść, ale to niemożliwe, skoro

nie chcesz rozmawiać. — Zaczęła płakać. — Boję się tego, kim się staję, boję się, że zaczynam wariować, i nienawidzę siebie za to, że nienawidzę ludzi tylko dlatego, że żyją, a ona umarła. I nie wiem, czy ty czujesz to samo, bo nawet nie wiem, co myślisz. Usiadła ciężko. David usiadł obok niej.

— Nie wiem, co czujesz — powiedziała.

— Nie odchodź.

— Przepraszam cię, Davidzie...

— Zostań tutaj.

— Przepraszam cię za wszystko. Ale nie poradziliśmy sobie, prawda?

Obróciła się i niezdarnie go pocałowała, w bok czoła. Zapomniała chyba nawet, jak to się robi. Potem podniosła się i wyszła.

Siedząc w taksówce, myślała sobie: Gdzie się podziały wszystkie słowa? Tyle było do powiedzenia, ale gdy nadszedł koniec, nic odpowiedniego nie przyszło jej do głowy. Przeraziło ją, że po dwudziestu ośmiu latach tak niewiele zostało.

Och, powinna mu była powiedzieć niejedno. Że nigdy nie miała ochoty prowadzić z nim pubu, miała inne marzenia, ale chciała być dobrą żoną. Że miała wrażenie, iż on stale ją kontroluje, co z początku miało przyjemny erotyczny podtekst, ale w końcu ją wyczerpało. Że czuła się dotknięta, iż nigdy, przenigdy nie pochwalił jej kuchni. Chciała go zapytać, co się dzieje w tej jego szalonej, przepelnionej wściekłością głowie. Czy na przykład był zły, że ona nie mogła mieć więcej dzieci? Czy w jego wspomnieniach radosne były te same chwile, co w jej? Tyle było spraw. O czym oni rozmawiali przez te wszystkie lata?

David stał się jej tak obcy, jak gdyby dopiero co się poznali. Przerażało ją to. Czy inne małżeństwa przeżywały to samo, gdy dochodziło do rozstania? Nie miała skali porównawczej, bo żadne ze znanych jej małżeństw nie rozpadło się w taki sposób, w jaki ich to spotkało. Ona i David, samotni, oddzielili się od otaczającego ich świata.

A teraz nie zostało im nic. Zupełnie jak gdyby rozebrano scenografię ich życia i pozostały wystawione na bezlitosne zimne światło dnia jedynie skrawki tektury. Bo poza nimi, przez cały ten czas, niczego innego nie było.

Serce pękało jej z bólu. Było jej go żal, tak samo jak siebie.

Gdy wysiadła z taksówki przed dworcem kolejowym, przypomniały jej się słowa wypowiedziane przez siostrę: „A ty go obwiniasz?”

Część czwarta

Rozdział pierwszy

Natalie lubiła mieszkać nad tajską restauracją. Lubiała zapach jedzenia. Jej ojciec — przynajmniej tak przypuszczała — jadał tajskie jedzenie przez cały czas. On także dał nogę, widocznie oboje mieli to w genach. Pod tym względem byli sobie bliscy. Czasem myślała o nim. Wiedziała tylko tyle, że mieszkał w ciasnym i zatłoczonym bloku z betonu, lecz w jej marzeniach całymi dniami wylegiwał się na plaży. O nią zapewne wcale się nie martwił, lecz przynajmniej wiódł życie, o jakim ona marzyła dla siebie. Czyż to nie dowód, że płynęła w nich ta sama krew?

Jak na razie nic z tego — piaszczysta plaża, koktajle — jeszcze się nie spełniło. Póki co mieszkała w Finsbury Park, umierając ze strachu, że lada chwila rozlegnie się dzwonek u drzwi. Przyszłość ciągle przed nią uciekała, jak ktoś, kto boi się dotyku. Jej to jednak nie przeszkadzało. Na razie musiała się przyczaić, przeczekać najgorsze. W Londynie nie знаła nikogo — chociaż nie, kilku znajomych by się znalazło, lecz nie była to pora na odnawianie kontaktów. Od przeszłości odcięła się. Skróciła włosy i przefarbowała je na blond. Nawet teraz jeszcze, choć minęły już trzy tygodnie, widok własnego odbicia w sklepowej szybie szokował ją. Nikt nie wiedział, gdzie przepadła. Gdy Colin dzwonił na jej telefon komórkowy, wyłączała go. Od jakiegoś czasu przestał.

Było jej przykro, że tak się wobec Colina zachowała, lecz nie istniało inne możliwe rozwiązanie. Gdyby stanęła przed sądem, z pewnością zapadłby wyrok skazujący, ale też dowody przeciwko niej były miażdżące. Jeśli chciała przetrwać, inaczej postąpić nie mogła. Colin musiał to zrozumieć, był w końcu hodowcą gadów. Przecież jego ukochane jaszczurki, bez litości pożerające muchy i świerszcze, także wyłącznie walczyły o przetrwanie.

Nie miała absolutnie żadnych powodów do narzekania. Leeds było zbyt ciasne, by mogła w nim realizować swoje wielkie plany. W głębi serca zawsze była dziewczyną z wielkiego miasta — uwielbiała wielkomiejski szum i ruch, ogrom połykający człowieka i czyniący go wolnym.

Komu zresztą potrzebni byli przyjaciele? Stacey zadzwoniła do niej na telefon komórkowy.

— Natalie! Gdzie ty się podziewasz? Poszłam do Colina i był w okropnym stanie. — Jej głos nagle zabrzmiał ostrożnie i oficjalnie. — Nie zrobiłaś tego, prawda? Tyle miesięcy pracowałyśmy razem... To takie... no wiesz... śliskie, stałaś się jakby trochę podejrzana.

Natalie postarała się o nowy numer. Wszystko zostawiła za sobą, teraz należało już tylko do przeszłości. Z trudem nawet przypominała sobie, o czym ona i Stacey rozmawiały. Podobnie było z samochodem. Zawsze myślała, że uwielbia swoją hondę civic, w lipcu jednak kupiła sobie nowy model, lśniąca, metalizowaną prelude 2000 sport. W dniu, w którym to nastąpiło, stary samochód wymazał się z jej pamięci, jak gdyby nigdy nie istniał.

Wrzesień był wyjątkowo upalny. Globalne ocieplenie czy coś tam. Natalie nie zamykała okien, rozkoszując się dochodzącymi z dołu aromatycznymi zapachami. Z chodników uderzało ciepło obcego miasta. Oczywiście, żyła w stałym napięciu. Któż jednak by nie żył w jej sytuacji? Ilekroć policyjny radiowóz przejeżdżał jej ulicą, zamierała, ale nigdy żaden nie zatrzymał się przed jej domem. Wiedziała, że muszą jej szukać. W końcu dopuściła się oszustwa na wielką skalę, a w dodatku teraz była zbiegłym przestępcą. Gdy myślała o sobie w ten sposób, czuła przyływ irytacji.

Słowa te jakoś nie pasowały do jej nowego życia — zakupów na Oxford Street, kupowania jedzenia na wynos.

Stale była w gotowości, zmysły miała wyostrzone jak u zwierzęcia. Mężczyźni zawsze zwracali na nią uwagę. Teraz jednak inaczej interpretowała ich spojrzenia, były dla niej pozbawione dawnego podtekstu seksualnego. Facet zajadający sushi przy ladzie — może to detektyw? Jakiś znajomy Colina, który pójdzie za nią do mieszkania, potem doniesie Colinowi, gdzie mieszka, i następnego dnia mąż załomocze do jej drzwi? Na ile zdążyła go poznać, wiedziała, że Colin byłby zdolny do przemocy. O Colinie, podobnie jak o swoim starym samochodzie, powoli zapominała. Z trudem usiłowała przypomnieć sobie jego twarz. Czasem pamięć płatała jej figle i widziała go nagle — przysadzistego faceta w wełnianej czapce i dresowych spodniach z lampasami — tak wyglądał w dniu, w którym go poznała. Zapominała już jednak, jak to było, gdy mieszkali razem. Pojawił się i zniknął z jej życia w takich niezwykłych okolicznościach, że teraz wydawał jej się wręcz nierzeczywisty.

Nie znajdują jej. Minął już miesiąc i nic się nie wydarzyło. Ilu ludzi mieszka w Londynie — osiem milionów? Bez trudu mogła przepaść w ich kipiącej masie. Nie przerażało jej to — bo i czemu niby? Czuła się świetnie. Życie blondynek jest weselsze, mówiła sobie. Wkrótce i jej takie będzie.

Na razie Natalie starała się nie opuszczać mieszkania. Składało się z dwóch pokoi, skąpo umeblowanych meblami z IKEA — nauczyła się je rozpoznawać — i różnymi rzeczami pozostawionymi przez właściciela, cypryjskiego Greka, którego nie miała okazji poznać. Telefonu nie było, co bardzo jej odpowiadało — co by zrobiła, gdyby niespodziewanie zadzwonił? — lecz w szufladzie znalazła książkę telefoniczną. W te upalne dni siedziała sobie i wertowała ją. Szukała pracy.

Odkryła bowiem, ku swej jawnej rozpacz, że dysponuje niezwykle skromną sumą gotówki. Jak to zwykle bywa, rachunek, na którego ślad trafiła policja — który, rzecz jasna, na czas śledztwa został zablokowany — opiewał na największą kwotę. W pozostałych trzech oszczędnościowych kasach mieszkaniowych większość pieniędzy zdeponowała na wysoko oprocentowanych lokatach, co oznaczało, że tymczasem nie mogła z nich korzystać. Gdyby je zlikwidowała, nie dość, że przepadłyby jej odsetki, to jeszcze mogłaby zostać namierzona, gdyż o ile było jej wiadomo, policja obserwowała wszystkie rachunki, w nadziei, że ją złapią. A przez ostatnie miesiące wydała mnóstwo pieniędzy — na nowy samochód, ciuchy, różne inne rzeczy.

Przeglądając więc książkę telefoniczną, sporządziła listę. Przez cały czas odczuwała niemiły skurcz w żołądku.

Firma L.M. Plant and Tool Hire mieściła się w magazynie w Hoxton. Gdy Natalie zmierzała w stronę biura, faceci w roboczych kombinezonach prostowali się i odprowadzali ją wzrokiem. Każdy z nich miał na piersi emblemat L.M.

„Każdy może nosić nazwisko, jakie mu się podoba”.

— Słucham? — odezwała się na jej widok dziewczyna.

— Jestem Lorraine Middleton — powiedziała Natalie. — Dzwoniłam w sprawie pracy.

Dziewczyna włączyła przycisk w swoim telefonie.

— Przyszła pani... — Podniosła wzrok na Natalie. — Czy mogłaby pani powtórzyć nazwisko?

— Lorraine Masterson... — Szybko musiała się poprawić. — Middleton.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Czemu tak jej się przygląda? Znowu nacisnęła guzik. Na pewno łączyła się bezpośrednio z policją. „Znalazłam ją. Jest tutaj, właśnie stoi przede mną”.

— Może pani wejść — powiedziała dziewczyna. — Przyjmie panią od razu.

Pokój tonął skąpany w jaskrawym świetle. Za biurkiem 202 siedział łyсы mężczyzna. Na widocznym z okna podwórzu stała dziewczynka w szkolnym mundurku. Opierała się o mur, obok siebie postawiła futerał na wiolonczelę.

— A więc to pani jest Lorraine — odezwał się mężczyzna.

— Tak.

— Jaki ptaszek zdradził pani naszą tajemnicę? — Zmrużył oczy, jak przedtem dziewczyna.

— Jaką tajemnicę? — zdziwiła się Natalie. „Pilnuj się”.

— Skąd pani wiedziała, że Samantha odchodzi i mamy wakat, hm? Jeszcze nie daliśmy ogłoszenia.

— Przeglądałam książkę telefoniczną i dzwoniłam w różne miejsca, na chybił trafił. — Mówiła szczerą prawdę.

— Rozumiem. — Rozchmurzył się. — Dziewczyna z inicjatywą.

— A kiedy zadzwoniłam tutaj, ktoś powiedział mi, że może jest szansa. — Zadzwoniła chyba w trzydzieści miejsc.

— Opowiedz mi coś o sobie, Lorraine. Gdzie pracowałaś wcześniej?

Dziewczynka na podwórzu spojrzała na nich przelotnie, zarzuciła na ramię futerał i odeszła.

Naprzeciwko mieszkania Natalie stało kilka pustych sklepów. Nad jednym wciąż jeszcze widniał szyld: H. White i Syn. Sklep rybny. Zaciągnięte żaluzje całe zabazgrane były graffiti. Niedługo ich miejsce zajmie coś innego — na nowo zostaną pomalowane, pojawi się nowa nazwa. W zeszłym tygodniu na rogu został otwarty nowy sklep NT, tuż obok stacji metra Finsbury Park. Nowe miejsca, podobnie jak ludzie, pojawiały się bez przerwy i nikt nie zadawał żadnych pytań. Wciąż coś nowego, w telewizji mówili o tym bez przerwy.

Pod koniec września Natalie miała już trzy nowe tożsamości: Lorraine, Sylvia Mullen (gdy szła na rozmowę kwalifikacyjną do S.M. Office Supplies) i Mary Wright (M.W. Catering Equipment). Zgodnie z sugestią pana Wigtona udała się do urzędu stanu cywilnego i wybrała sobie nazwiska. Była aktorką zgłaszającą się na przesłuchania do różnych ról. Która jej się trafi? Jako Sylvia była nieśmiałą młodą dziewczyną we włochatym swetrze, samotną w wielkim mieście. Mary była bardziej żywa, z dużym doświadczeniem w cateringu, a do Londynu przyjechała, żeby zamieszkać z siostrą, której dzieci wprost uwielbiała. Trzy młode kobiety towarzyszyły Natalie, wraz z nią wyczekując uśmiechu losu.

W jednej z firm, zaopatrującej biura, zaproponowano jej pracę. Niestety, firma nie była zbyt wielka. Zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy się w niej zjawiała. Jej potrzebna była taka praca, gdzie dział księgowości był odpowiednio duży, a ona byłaby jednym z wielu pracowników. Zaginiona w tłumie.

I tak właśnie było. Nikt jej nie zauważał. Pewnego wieczoru jadła w tajskiej restauracji na dole, siedząc samotnie przy stoliku niedaleko wejścia do toalety. Właściciel nie miał pojęcia, że zajmuje mieszkanie nad jego knajpą. Przy sąsiednim stoliku dziewczyna karmiła swojego chłopaka, jak kwoka kurczaka, podając mu na widelcu kawałki jedzenia. Natalie oparła gazetę o świecznik i w kółko czytała ten sam artykuł. Na ulicy wrzeszczał jakiś człowiek, rozległ się huk tłuczonego szkła. Pomyślała: mogłabym paść trupem i nikt nie miałby najmniejszego pojęcia, kim jestem. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, na jaki wspaniały pomysł wpadłam i że dzięki temu zarobiłam małą fortunę, albo że wyszłam za mąż za człowieka, który w suszarce trzymał żółwie jaja. I — proszę bardzo! — wszystko mi się upiekło. Kto powiedział, że zbrodnia nie popłaca?

Po raz pierwszy w życiu zaczęła mieć kłopoty ze snem. Tłumaczyła sobie, że to przez ruchliwą ulicę pod oknami, że winne jest nowe, obce miejsce. „Nikt mnie nie obchodzi i ja nie obchodzę nikogo”. Gdzie to słyszała — w *Ulicy Sezamkowej*? Oglądała ją samotnie, czekając na zgrzyt klucza w zamku. Po tym, ile czasu trwało otwieranie drzwi, potrafiła odgadnąć, w jakim stanie znajduje się jej matka.

Natalie odczuwała ból w piersiach. Wiedziała jednak, że nie może się rozchorować, bo nie może pójść do lekarza.

Pod koniec września pogoda się popsuła. W strugach ulewnego deszczu Natalie jechała do Brentford. Była umówiona na rozmowę w sprawie pracy. Wycieraczki pracowicie zbierały z przedniej szyby wodę. Co chwilę ktoś przebiegał przez ulicę tuż przed jej maską, zmuszając ją do ciągłego hamowania. Londyn opanowała zwykła dla piątkowego popołudnia gorączka, ludzie śpieszyli do ciepłych domów, do czekających na nich kolacji. Spiker w wiadomościach mówił: „Dwudziestośmioletni mężczyzna został zatrzymany i oskarżony o serię gwałtów w rejonie Shepherd's Bush...”.

Natalie wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. Ale jej chyba nic nie grozi? Topowy model jej prelude miał centralny zamek, immobilizer i zamykanie drzwi zdalnie sterowane pilotem. Nie wspominając już o ABS, bocznych kurtynach i poduszkach powietrznych. Przypomniał jej się sen z poprzedniej nocy, gdy w końcu udało jej się zasnąć. Colin leżał na trawie i odrywał z niej

skórę po kawałku, nucąc: „Kocha, nie kocha...”, jak małe dziewczynki, które wróżąc sobie, zrywają po kolei płatki stokrotki. Choć obdzierana ze skóry, nie czuła żadnego bólu.

T.B. Computer Services miała swoją siedzibę w biurowcu wciśniętym obok biegnącej nad ziemią części autostrady A4. Natalie siedziała w holu, na wprost zegarów ukazujących czas w Tokio i Nowym Jorku. Na zewnątrz wznosiły się ogromne słupy wspierające autostradę. Tutaj deszcz nie sięgał, podobnie jak nie miał dostępu hałas; hol oddzielały od niego podwójne szyby. Natalie także nic nie mogło dosięgnąć, bo jej życie było zaczarowane.

— Panna Batsford?

Gdzieś w Leeds dobijali się do jej domu, lecz ona była oddalona o całe miłe i nie mogli jej dostać.

— Tracey Batsford?

Natalie odwróciła się gwałtownie. Recepcjonistka zwracała się do niej! Uważaj, Natalie!

T.B. Computer Services zajmowała się sprzedażą sprzętu, oprogramowania i Bóg wie czego jeszcze. Firma była wielka i wniosując ze słów dyrektora do spraw zatrudnienia, rozwijała się szybko. W dziale księgowości pojawił się właśnie jeden wakat.

— Proszę mi opowiedzieć o pani dotychczasowym doświadczeniu zawodowym, panno Batsford. — Mężczyzna był Hindusem i nosił fioletowy krawat, zupełnie nie pasujący do sportowej marynarki.

Rozwinęła listę zajmowanych dawniej stanowisk pracy, które uznała za najbardziej odpowiednie — recepcjonistka w klubie fitness, sekretarka w firmie księgowej. Jak wszyscy dobrzy kłamcy, wiedziała, kiedy mówić prawdę.

— Potem przez dwa i pół roku pracowałam w dziale księgowości dużej firmy telekomunikacyjnej.

— Dlaczego stamtąd pani odeszła?

— Chciałam przyjechać do Londynu. Uznałam, że czas na większe wyzwanie.

Jego biuro znajdowało się na siódmym piętrze, z oknem na tym samym poziomie co autostrada. Ruch na niej panował potężny, wszyscy wyjeżdżali z Londynu na weekend. Samochody przejeżdżały bezgłośnie — ciężarówka Sainsbury's, ciągnik z buldożerem na pace. Mężczyzna powiedział, że będzie musiała przejść kilka prostych testów — na umiejętność liczenia, rozwiązywanie zadań — po czym zapytał, z jakiego oprogramowania korzystała.

— Nie mam pani adresu — zauważył na koniec.

— W tej chwili jestem w trakcie zmiany mieszkania. — Natalie podała mu numer swojego telefonu komórkowego.

W poniedziałek zadzwonił, informując ją, że testy zdała wyśmienicie, jej CV wyglądało zadowalająco, brakowało tylko referencji z ostatniego miejsca pracy.

Wieczorem z budki telefonicznej zadzwoniła do Phillipa Tomlinsona. W tle słyszała płacz dziecka.

— Chciałabym, żebyś wystawił mi referencje — powiedziała. — Do wszystkich, których to dotyczy, coś w tym stylu.

— Gdzie jesteś? — zapytał.

— Podam ci numer skrzynki pocztowej. Masz długopis? Tam to prześlij.

— Natalie!

— Wystaw je na nazwisko Tracey Batsford, Tracey pisane przez e.

— Ale Natalie...

— Nie zadawaj żadnych pytań. A jeśli mi ich nie przysyłasz, opowiem o nas twojej żonie. Zapadła cisza. Rozłączyła się.

Po chwili telefon znowu zadzwonił.

— Tylko pamiętaj, żeby referencje były dobre. Rewelacyjne! Cześć!

Dwa tygodnie później rozpoczęła pracę. Szczęśliwie nie wszyscy pamiętali, żeby na czekach wypisać pełną nazwę firmy: „T.B. Computer Services”. Leniwe durnie.

Tym razem jednak stawka była znacznie wyższa — nie tylko z powodów oczywistych, że na przykład policja deptała jej po piętach. Ponieważ nie było rachunków opiewających na ogromne sumy, które ułatwiałyby ukrycie deficytu, ryzyko jej nakrycia bardzo się zwiększało.

Kto by się przejmował?, myślała Natalie, odrzucając w tył blond włosy. Jeśli odkryją, że coś jest nie tak, po prostu zniknie. Raz już to zrobiłam, czemu więc nie powtórzyć tego? Tracey Batsford zniknie, jak gdyby nigdy nie stąpała po tej ziemi. Kogo obchodzi, co stanie się z prawdziwą Tracey, jej zagadkowym sobowtórem, gdziekolwiek się podziewała?

Spoglądała na trzymany w ręku czek. Opiewał na £1220. Nie będę robić tego za często, pomyślała, nie jestem chciwa. Może najwyżej raz w miesiącu. W końcu dziewczyna musi z czegoś żyć.

Sala, w której pracowała, była wielka, przestronna i widna, z oknami ze wszystkich stron. Poza nią pracowało w niej sześć osób, które nie odrywały oczu od monitorów. Nie znała ich imion, rzadko się odzywali, najwyżej „cześć” i „do widzenia”. Atmosfera nie miała w sobie nic

z koleżeństwa NuLine. Natalie to odpowiadało. Zawieranie znajomości było ostatnią rzeczą, której pragnęła.

Na zewnątrz, uderzająco blisko, z wielką szybkością przejeżdżały samochody. W stronę Heathrow pędził autobus linii lotniczych. Dziesięć minut jazdy autostradą i ona także znalazłaby się na lotnisku, by odlecieć w nowe życie — do Rzymu, Melbourne, Johannesburga. Żadna z tych nazw nie brzmiała realnie, ale ostatnio nic takie się nie wydawało.

Na niebie zbierały się miedziane chmury. Od dołu oświetlał je czerwony blask, jak gdyby miasto stało w ogniu. Natalie znowu spojrzała na czek i wzięła do ręki długopis.

Robiła to już wcześniej i to nie jeden raz. Mogła zrobić to znowu. Czemu więc serce waliło jej jak młotem?

Rozdział drugi

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział David. — Co robiliście?

— Rozumiem pańską frustrację — odparł szef detektywów Cobb.

— Frustrację? — David wpatrywał się w niego z wściekłością.

— Przecież jak mówiłem panu w zeszłym tygodniu... — I dwa tygodnie temu, i jeszcze wcześniej. Ten człowiek nigdy nie da im spokoju. — Badamy kilka śladów, niektóre są bardzo obiecujące.

Bolała go głowa, w pokoju panował zaduch. Obcy, dotknięci tragedią lądowali w jego życiu i zaczynała łączyć go z nimi straszliwa zażyłość. Ten szczególny przypadek głęboko go poruszył, musiał to przyznać. Nużył go bijący z niego smutek. Okłamał ojca tej dziewczyny, nie mieli żadnych śladów. Wszystkie testy DNA przeprowadzone na znanych policji przestępcach wypadły negatywnie. Tęsknił do niedzieli, gdy ujrzy w końcu ożywione, promienne twarzyczki swoich wnuków.

— Będziemy pana informować na bieżąco, zapewniam pana. — Może jeśli wstanie, żeby otworzyć okno, pan Milner zrozumie aluzję i wreszcie sobie pójdzie.

— On gdzieś jest — powiedział David. — Gdzieś tam sobie chodzi. Chryste, jak on musi się z nas śmiać.

— Nie sądzę...

— Zostawcie to, ja go znajdę. David gwałtownie wstał i wyszedł.

Detektyw zwrócił się do swojej asystentki, Angeli.

— Ciekaw jestem, jak sobie radzi jego żona.

— Tyle wściekłości — odparła Angela. — I nigdzie nie ma dla niej ujścia.

— Chyba tylko tutaj.

Popatrzyła na drzwi. Z głębi korytarza dobiegł ich huk zatraskiwanych innych drzwi.

— Właśnie wyszedł stąd mężczyzna zdolny popełnić morderstwo — powiedziała Angela.

*

David dostał wymówienie. Było to nieuniknione. Wcale nie czuł zdziwienia, gdy pojawili się przedstawiciele browaru i rozłożyli na stole swoje teczki.

— Znana nam jest państwa sytuacja rodzinna i braliśmy ją oczywiście pod uwagę. Szczerze państwu współczujemy, ale musicie też państwo zrozumieć, że nie możemy bez końca wspierać interesu, który stale podupada. Poza tym, w umowie najmu mowa jest o małżeństwie, a skoro pan został teraz sam...

Nie wspomnieli o picciu alkoholu w czasie godzin pracy — ryzyku zawodowym, do którego browar podchodził bardzo restrykcyjnie. Były już w tej sprawie telefony, nadszedł też ostrzegawczy e-mail z biura regionalnego.

Zarzuty były oczywiście bezpodstawne. David zachowywał się nienagannie, nie miał jednak siły się spierać. Piątego października pub zostanie zamknięty i rozpocznie się w nim remont. Planowali wyrzucić całe miejsce do góry nogami i przerobić je na tematyczną spelunę, jakieś dziadostwo Frog and Filkin, on jednak nawet ich nie słuchał, gdyż od tej chwili to nie była już jego sprawa. Ta część jego życia została zamknięta, teraz musiał myśleć, żeby jak najszybciej się spakować i zabierać stąd do wszystkich diabłów.

Tyle śmieci — całe ich wory. Podczas likwidacji domu rzeczy zdawały się mnożyć. Przypomniawszy mu się przerabiany w szóstej klasie *Makbet*: „Lecz któż by pomyślał, że tyle krwi jest w tym starcu?”* Nie chodziło nawet o meble, tych nie posiadali prawie wcale, zawsze mieszkali w wynajmowanych mieszkaniach.

* William Szekspir, *Makbet*, tłum. M. Słomczyński. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

— Masz niezłe płuca — powiedział do Paddy'ego, zrzucając na kupę stos płyt. — Buddy Holly, Van Morrison, bierz co chcesz, bierz wszystko! — David pognał na górę po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, po kolejną stertę.

Uginając się pod jej ciężarem, wszystkich tych głupich piosenek, zszedł na dół. Paddy jednak zniknął.

Nie wiadomo skąd pojawiła się Sheila. Czyżby dzwoniła? Usta miała ściągnięte, jak gdyby ssła coś gorzkiego. „Usta do ssania”, nazwał je kiedyś David. Z lekkim zdziwieniem przypomniał sobie, że na początku regularnie mu obciągała. Delikatnie brała jego członek w usta, dłonią ujmując jego jaja.

— Mówiłeś coś? — Spojrzała na niego dziwnie. Czyżby mówił na głos?

Sheila położyła mu na chwilę rękę na ramieniu, jak zmartwiony nauczyciel krnąbrnemu uczniowi, i znikła w pokoju Chloe. Wyszła z niego po chwili, ciągnąc kolejne plastikowe wory.

— Zabieram jej rzeczy dla Kayleigh — powiedziała. — Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Kim, do diabła, była Kayleigh?

— To moja siostrzenica — odparła.

Znowu mówił głośno? A może po prostu czytała w jego myślach.

— Co ze zdjęciami w łazience? — spytała. — Z college'em.

— Weź je sobie.

— Zawsze możesz je sobie pooglądać. Wszystkie zdjęcia. Weź wszystko, co chcesz.

— Nie chcę niczego.

Stali w przedpokoju, Wydawał się zbyt wąski dla nich obojga.

— Martwię się o ciebie — powiedziała.

— Nic mi nie jest. Jutro wszystko wywiozę. — Jej brat Terence zaproponował, żeby przechowali wszystko w jego garażu. — Któregoś dnia będziesz miała dom. Znajdziesz sobie kogoś innego.

— David!

— W morzu aż się roi od *fritto misto*.

— *Fritto misto*?

— Smażonych ryb — Wenecja, pamiętasz? Kelner wyglądał jak aktor, ten z telewizji, z programu o weterynarzu... — Zabrakło mu tchu.

— Co będziesz robił? Dlaczego pozbywasz się tego wszystkiego?

— Nie przejmuj się mną.

Umilkli na chwilę. Na ulicy zatrąbiła ciężarówka.

— Myślę, że powinieneś do kogoś pójść — powiedziała. — Przynajmniej porozmawiać.

Popatrzył na nią.

— Co zrobiłaś z włosami?

Mruknęła coś cicho i odwróciła się. Włosy miała ciemniejsze i krótsze. Nie były już takie siwe. Widział jej kark.

— Wiesz co? — powiedział. — Powinniśmy byli częściej wyjeżdżać na wakacje. — Ale było już za późno, bo właśnie przyjechała po nią jej siostra.

Na co im były, na litość boską, filiżanki do herbaty? Sheila odziedziczyła je po jakiejś tam ciotce, spodeczki i filiżanki w różyczki. Od początku ich małżeństwa serwis do herbaty przenosił się wraz z nimi z domu do domu — we wczesnych latach w Morecambe, gdzie David zaangażował się w to przekłete przedsięwzięcie, kierownictwo zespołem, i kiedy Chloe miała plastikowy kubeczek, z dzióbkiem. Później w Manchesterze, w pubie Pod Bykiem i Krzewem, wreszcie w Queens Head. Nie używane filiżanki oraz spodki egzystowały w równoległym, wypełnionym duchami świecie, w którym goście zjeżdżali się na herbatkę i ciasto, a Chloe, śliczna i smukła, zdała maturę z wyróżnieniem.

David starannie zapakował filiżanki i schował wszystkie do kartonowego pudła. Bardzo się do tego przyłożył, skoncentrował na tym całą swoją uwagę. Środek każdej filiżanki wypełniał jedną kartką gazety, złożoną dokładnie na pół i zgniecioną w kulkę, po czym całość zawijał w jeszcze jeden kawałek papieru, którego końce starannie podginał. Zależało mu, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Gdy nie dość dokładnie składał papier, jego krawędzie nie pasowały do siebie, a jemu serce podchodziło ze strachu do gardła.

Minęło pół godziny, a on niczego nie zrobił. Podniósł się i wziął kolejny kawałek gazety, część starego wydania „Yorkshire Post”. Gdy go rozkładał, w oczy wpadły mu układające się w napis litery: „Telefonistka oskarżona o oszustwo”.

Później nieraz się zastanawiał, czemu właśnie ten tytuł przykuł jego uwagę. Czy przez skojarzenie z telefonem? A może po prostu nie miał siły dalej pakować filiżanek? „Trzydziestodwuletnia Natalie Taylor, zamieszkała przy Heron Drive, Selby Road w Leeds, wczoraj stanęła przed sądem rejonowym, oskarżona o oszustwo i manipulację. Pracownica NuLine Telecommunications podejrzana jest o fałszowanie czeków przez wpisywanie na nich własnego nazwiska. Rzecznik NuLine powiedział: »W celu zapobieżenia podobnym wypadkom, zawsze radzimy naszym klientom, aby na czekach wpisywali pełną nazwę naszej firmy lub płacili na podstawie bankowej dyspozycji«”.

Sheila nie mogła rozumieć, o co mu chodziło. David musiał być pijany.

— Nie rozumiesz?! — krzyczał do słuchawki podnieconym głosem. — Dlatego odłączyli nam telefon! Nie rozumiesz tego, Sheilo? — Jakże dobrze znała ten władczy ton. Zaczął bredzić coś o jakiejś kobiecie z Leeds. — To ona!

— Kto?

Powiedział, że zadzwonił do NuLine, ale nie chcieli z nim rozmawiać.

— Mówiłem im, że jestem ich klientem, a oni puścili mi pieprzonego Vangelisa. Chciałem z kimś rozmawiać, ale słyszałem tylko pieprzone: „Mówi Sheila. W czym mogę panu pomóc?”

— Ja jestem Sheila.

— Powiedziałem im, że jestem ojcem zamordowanej dziewczyny.

„Zamordowanej dziewczyny”. Wcześniej David ani razu nie wypowiedział tych słów. Sheila wyjrzała przez okno. Na dworze szalała wichura, wierzby płaczące Fiony falowały jak wodorosty w rzece.

— David — przerwała mu. — Wygadujesz jakieś wierutne bzdury. — Do kuchni weszła Fiona i wycierając ręce, uniosła pytająco brwi. — Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— To przez nią! — wrzeszczał David. — Ona ukradła mój czek. Dlatego nas odłączyli. To wszystko stało się przez nią.

Następnego dnia, w sobotę, David pojechał do Leeds. Droga z Manchesteru zajęła mu tylko godzinę, gdy jednak dojechał i skierował się na wschód ku Selby Road, nie mógł znaleźć ulicy. Heron Drive nie było na mapie. Zapytał o drogę sprzedawcę gazet, który jednak nie potrafił mu pomóc, natomiast kupujący fajki klient powiedział:

— To to nowe szpanerskie osiedle. Syn mojego koleś kupił se tam chałupę.

Powiedział Davidowi, jak tam dojechać. Kierując się jego wskazówkami, David trafił bez trudu i zaczął krążyć małymi uliczkami osiedla domków. Jakiś mężczyzna pchał jadącą na rowerku dziewczynkę w srebrnej koronie na głowie.

Biuro sprzedaży mieściło się w pakamerze udekorowanej transparentem:

KOLEJNE DOMY NA SPRZEDAŻ.

Na kilku masztach powiewały smętnie flagi. David wszedł do środka. Nie zastał nikogo, choć telefon na biurku dzwonił. Dzwonił i dzwonił — ciche, uporczywe kwilenie.

Kiedy był małym chłopcem, dostał telefon — zabawkę — z czerwonego plastiku, z długim sznurem łączącym dwie części.

— Dryń, dryń — powiedział i podał słuchawkę matce. — To do ciebie.

— Kto dzwoni? — spytała matka.

— Nie wiem.

— Co mam powiedzieć? — Wpatrywała się w trzymaną w ręce słuchawkę.

Poddał się.

— Nie wiem

Nagle dotarło do niego, co to było — kawałek plastiku, w którym nie rozlegał się żaden głos.

Telefon dzwonił w dalszym ciągu. Sprawa chyba była pilna, lecz jakoś nikt nie kwapił się, by przyjść i podnieść słuchawkę. „Gdziekolwiek jesteś, obojętnie o której...”. David zrezygnował i wyszedł. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna mył samochód.

— Może ty mi pomożesz, stary? — zwrócił się do niego David. — Nie wiesz, gdzie mieszka Natalie Taylor? Wiem, że przy Heron Drive, ale nie znam numeru.

— Nic ci nie poradzę. — Mężczyzna potrząsnął głową. — Jestem tu nowy.

David zaczął iść Heron Drive, wzdłuż której biegł rząd domków z surowej cegły. Marzył, żeby się napić. Miał wrażenie, że jego ciało puszcza w szwach. Tylko szkocka może mu pomóc dojść do siebie.

— Pif, paf! Nie żyjesz.

W drzwiach stał mały chłopiec. Lufa jego karabinu maszynowego wycelowana była w pierś Davida.

— I tak już umarłem — powiedział David. — Popatrz. Rozpostarł ręce. Palce mu drżały. Zauważył to, ale nie zainteresował się tym zbytnio.

— Więc upadnij — skwitował mały.

David spytał go, gdzie mieszka Natalie Taylor.

— Tutaj, w domu obok — odparło dziecko. — Mieszka z mordercą.

Drzwi otworzył przysadzisty młody mężczyzna.

— Cześć — powiedział. — Nikt do mnie nie dzwonił, ale nie szkodzi.

— Nie, ja nie dzwoniłem.

— Proszę, niech pan wejdzie. — Odsunął się, by przepuścić Davida. — To jest salon. — Wskazał pokój.

David wszedł. Na chwilę się zatrzymał, potem usiadł. Młody człowiek stał w drzwiach.

— To ładny pokój — powiedział. — Ma zabudowane półki, sam je zrobiłem... Jest kominek.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Czy to dzwoni telefon? — spytał David. Mężczyzna potrząsnął głową.

— Świerszcze.

Wciąż stał w drzwiach, wielkie ręce zwisały mu luźno wzdłuż boków. Nagle David uświadomił sobie, że w domu unosi się dziwny zapach.

— Chce pan zobaczyć inne pokoje? — spytał gospodarz.

— Po co?

— Większość ludzi chce. Znowu cisza.

— Och, przepraszam, zapomniałem wyjaśnić — powiedział David. — Szukam Natalie Taylor.

— Natalie? — Facet wybałuszył na niego oczy. — Czego pan od niej chce?

— Muszę z nią porozmawiać.

— Myślałem, że przyszedł pan w sprawie domu.

— Słucham?

Mężczyzna skinął w stronę okna. Na zewnątrz stała tablica NA SPRZEDAŻ.

— Och — pojął David. — Nie zauważyłem. Mogę zapalić? Młody gospodarz przyniósł mu popielniczkę.

— Nie jest więc pan z policji?

— Nie.

— Ona odeszła. — Usiadł ciężko. — Nie ma jej już od dwóch miesięcy.

— Dokąd?

— Czego pan od niej chce?

— Mamy... pewne nie dokończone sprawy. Młody człowiek wstał.

— Napije się pan herbaty?

David poszedł za nim do kuchni. Cała była zavalona pustymi kartonami.

— Przygotowuję je do hibernacji — powiedział gospodarz, napełniając czajnik. — Wkładam je, wyjmuję, wkładam, wyjmuję... czasami, wie pan co, panie...

— Jestem David.

— Colin. — Uścisnęli sobie dłonie. — Czasami tak sobie myślę, na co to wszystko, do cholery?

Colin popadł w zadumę. Na suszarce stało pudło. W środku coś falowało.

— Chcesz do herbaty ciastko?

David pokręcił przecząco głową. Woda w czajniku zaczęła wrzeć, Colin jednak nie zwrócił na to uwagi. Wydawało się, że i jego opuściła cała energia. Stali obaj przez chwilę, pogrążeni w myślach.

— Ciebie także oszukała?

— W pewnym sensie — przytaknął David.

— Jesteś jej dawnym chłopakiem czy co? — padło gorzkie pytanie.

— Nie. Nic z tych rzeczy. Dokąd pojechała?

— Do Londynu.

— Do Londynu?

— Leeds było za małe dla mojej Nat. Polowała na większe ryby.

— *Fritto misto* — powiedział David niejasno.

— Nikt jej nie znajdzie, jest na to za cwana. Zawsze bidzie o jeden krok do przodu. Wie pan dlaczego? Bo interesuje ją tylko to, co najlepsze. Tylko to ją zawsze interesowało. — Colin zapatrzył się na butelkę Fairy Liquid. — Nie powinienem tego mówić. Tylko że nie mam z kim porozmawiać. Powiedzieliby: „A nie mówiliśmy?” Zwłaszcza moja mama. A nawet jeśli tak nie powiedzą, to tak sobie pomyślą, a to jest równie okropne. — Łzy napłynęły mu do oczu.

— Czytałem o niej w gazecie.

— Wszędzie o niej pisali. W lokalnej prasie.

— Podrabiała czeki? Colin skinął głową.

— Wpisywała na nich nazwisko Taylor i zgarniała pieniądze dla siebie. Widzisz, wyszła za mnie tylko dlatego... — Rozszlochał się.

Davidowi także łzy napłynęły do oczu. Zaskoczyło go to. Wpatrywał się w unoszącą się z czajnika parę.

— Nie masz przypadkiem w domu czegoś mocniejszego do picia?

Colin przyniósł opróżnioną do połowy butelkę ginu.

— To jej. Dopóki jej nie poznałem, nie tykałem się tego. — Rozlał gin do dwóch szklaneczek. Co najmniej po pięć miarek, zauważył David.

— Masz tonik? Colin pokręcił głową.

— Ludzie są jak wściekłe psy — powiedział, połykając potężny haust alkoholu.

— Niczego się nie domyślałeś?

Colin w odpowiedzi znowu tylko pokręcił głową.

David zgasił papierosa pod kranem.

— Przypuszczam, że policja jej szuka. Colin przytaknął.

— Wpadli na jakiś ślad?

— Wiedzą, że wyjechała do Londynu, ale to mogłem im sam powiedzieć. Na autostradzie zapłaciła kartą kredytową. Kupowała benzynę.

— Są do niczego — zauważył David.

— Tam ślad się urwał.

— Cholernie do niczego.

Colin do końca opróżnił swoją szklanekę.

— Kiedy słyszałem, jak układa garnki i patelnie, urządzając kuchnię, myślałem sobie: jestem najszczęśliwszym mężczyzną pod słońcem. Musiałem się szczytać, żeby uwierzyć, że to nie sen. — Zwrócił zalaną łzami twarz do Davida. — Myślałem... któregoś dnia się obudzę, a jej nie będzie. Dom będzie pusty, jak gdyby nigdy nie istniała.

David milczał. Wiedział, że powinien żałować Colina, odczuwać choć odrobinę współczucia, nie miał na to jednak siły.

— Jak wyglądała? — zapytał.

— Miała te piegi... na ramionach i n-n-na całych piersiach...

— Nie będę oglądał jej piersi.

— Była taka ł-ł-ładna — szlochał Colin. — Jest... jest najładniejszą dziewczyną, jaką pan w życiu widział.

— W jakie miejsca lubi chodzić?

— Lubi robić zakupy. I chodzić do klubów.

— Ma w Londynie jakichś znajomych, kogoś, u kogo mogłaby się zatrzymać?

Colin pokręcił głową.

— Ja nic o tym nie wiem. — Wielką dłonią otarł nos.

David, który przez cały ten czas stał oparty o kuchenną szafkę, wyprostował się.

— Znajdę ją.

— Gdzie, w Londynie?

— Namierzę ją. Nie mam nic do stracenia. — Zauważył, że wypili cały gin. — Od przyszłego tygodnia już nie pracuję i tak nie mam dokąd pójść.

— Nigdy jej nie znajdziesz.

— Daj mi jej zdjęcie.

Wyszli z kuchni, potykając się o pudła. Ostatnio wszyscy się pakują, przemknęło przez myśl Davidowi. Co ten facet mówił o hibernacji? Przyszło mu do głowy, że nie byłby to taki zły pomysł.

Colin, wspierając się o balustradę, wszedł na górę. David szedł za nim. Ćwierkanie telefonu brzmiało coraz głośniejsze.

„Chloe! Gdzie jesteś?”

„W Pixies. Możesz po mnie przyjechać?”

Zapach również stawał się coraz bardziej intensywny — gryzący odór czegoś rozkładającego się.

„Przyjedź po mnie, tato”.

Colin zaprowadził go do sypialni.

— Trochę zagracona — powiedział. — Ale teraz, kiedy jej nie ma, mogłem je tu przynieść, żeby mieć je na oku.

Zapach uderzył Davida w nozdrza. Zrobiło mu się niedobrze. „Nie możesz tak siedzieć i gnić...”.

David usiadł na łóżku. Przyglądał się wyłożonym sianem pudłom.

— Coś na nie spadło — wyjaśnił Colin. — Połowa ma popękane skorupy. Jak można zrobić coś takiego biednym, bezbronnym żółwiom? To zwykle morderstwo, nic więcej.

„Gnić”.

Colin spojrzał na Davida.

— Dobrze się czujesz?

David nie odpowiedział. Zapadła cisza.

— Niektóre z nich dojdą do siebie, to pewne. Odrobina TLC i będą jak nowo narodzone. — Colin grzebał w szufladzie. — Większość ludzi nie jest taka jak pan, nie przejmuje się. Myślą sobie, fuj, oślizłe paskudne stwory, co jest nieprawdą. Wcale nie są oślizłe. To ostatnie, co można o nich powiedzieć. Tak naprawdę to mają skórę równie suchą jak my... — Wyjął jakieś zdjęcie i popatrzył na nie. — To my w Paryżu. Pojechaliśmy tam na weekend, zdjęcie zrobił nam jakiś Japonec. — Podszedł ze zdjęciem do łóżka. — Już ci lepiej?

David wskazał na wiszący na ścianie plakat.

— Moja córka także ich lubiła. Colin podążył za jego spojrzeniem.

— Ach, O-Zone. Nat była ich największą fanką, kiedyś pojechała na ich koncert aż do Londynu.

— Miała fioła na punkcie lidera, jak mu tam...

— Tak, ale pewnie z tego wyrosła — powiedział Colin. — Natalie nigdy.

David wstał.

— Nie, nigdy z tego nie wyrosła. — Wziął zdjęcie i schował je do portfela.

— Powodzenia — powiedział Colin. — Przyda ci się. Idąc jeden za drugim, zeszli na dół.

— Jeśli ją znajde, co mam zrobić? — spytał David. — Chcesz, żeby wróciła?

Colin otworzył frontowe drzwi i potrząsnął głową.

— Dla mnie umarła — powiedział. — Odeszła na dobre.

Rozdział trzeci

„Chodzę po ulicach i szukam ciebie”. To zabawne, ale nigdy nie odczuwam zmęczenia, chociaż chodzę przez cały dzień, a gdy robi się ciemno, co o tej porze roku następuje wcześniej, ja chodzę dalej. Sklepy na Oxford Street są rzęsiście oświetlone, pełne takich samych dziewcząt jak ty. Stoją przy stojakach z ubraniami i zastanawiają się, przekrzywiając głowy. Zdejmują rękawiczki, bo na dworze jest już zimno. Czasem zdejmują je, pomagając sobie zębami, i wyciągają ręce, by dotknąć bluzek. Obracają się i śmieją bezgłośnie do siebie nawzajem. Widzę to wszystko przez wystawowe szyby.

Mogę tak stać godzinami.

— Masz jakiś problem? — ktoś mnie kiedyś spytał. Wziął mnie za podglądacza.

Czasem dziewczyna jest sama i wybiera ubrania, i przewiesza je sobie przez ramię, a po drodze do przymierzalni nagle zaczyna się wahać. Wiem, co sobie myśli, ponieważ ty myślałaś to samo: Czy jestem za duża? Czy któregoś dnia ktoś mnie pokocha? Te dziewczyny sami bliskie, dzięki nim zbliżam się do ciebie, ponieważ ich marzenia są twoimi marzeniami, one żyją twoim życiem, życiem, które ty powinnaś teraz wieść.

Wiem, dokąd byś poszła, wszystkie te dzieciaki tam idą — do Covent Garden, na Soho, na ulice, po których dziewczyny przechadzają się ramię w ramię, grupki mężczyzn taksują cię wzrokiem, ty odrzucasz w tył głowę, udając, że ich nie zauważasz, ale przecież po to właśnie wyszłaś do miasta, żeby cię oglądali. A czasem masz na sobie tak cienkie stroje, w te zimne wieczory, że znowu chciałbym być ojcem...

— Ubierz się cieplej albo się przeziębisz, zamarzniesz na śmierć.

Chcę ci powiedzieć, żebyś uważała. Ten świat pełen jest zła czającego się w mroku, w którym ukryty, obserwuję cię i czekam na właściwy moment, choćbym miał poświęcić na to całe życie.

Na Old Compton Street, choć jest tak zimno, wylewacie się z pubu na ulicę i nagle zauważam profil, i serce podskakuje mi do gardła, ale to zawsze jest jakaś inna dziewczyna. Kiedyś usłyszałem, jak ktoś woła twoje imię, i odwróciłem się gwałtownie, ale to nie byłaś ty, ona w niczym ciebie nie przypominała. Pootwierali teraz tyle tych japońskich restauracji, muszą być nowe, nie byłem w Londynie od lat, dzieciaki je lubią, przy długich drewnianych stołach siedzi ich mnóstwo, i pałaszują makaron. Myślałem, że wtedy cię zobaczyłem, przy końcu stołu, ale ten wielki facet zatarasował drzwi i nie chciał mnie wpuścić.

— Hej, stary — powiedziałem. — Szukam dziewczyny.

Za kogo on mnie wziął? Jestem człowiekiem i mam takie samo prawo być tutaj jak każdy inny.

Wtedy ktoś odezwał się za moimi plecami.

— Chcesz dziewczyny? — spytał. — Mogę ci znaleźć, żaden problem.

Tam i z powrotem przemierzam centrum Londynu, chyba przeszedłem już setki mil, ale miasto wciąż jest mi tak samo obce jak w dniu, w którym tu przyjechałem. Pewnie dlatego, że niczego nie widzę, niczego nie zauważam. Szukam tylko twojej twarzy.

Czasem siedzę w pubie, stałem się jednym z tych drani, których niedawno sam jeszcze obsługiwałem. Siedzę z »Evening Standard« i obserwuję drzwi, modląc się, by się otworzyły i byś ty się w nich pojawiła. Widzisz, to tylko kwestia czasu, prędzej czy później nasze drogi się przetną. Gdzieś — na ulicy, w klubie — znajdę cię. Nie obchodzi mnie, ile czasu mi to zajmie, bo tak jak powiedziałem Colinowi, nie mam dokąd pójść. Wszystko, co posiadam, zamknięte jest w bagażniku mojego samochodu. Niczego nie rozpakowałem i nie zabrałem do pokoju, nie zapuściłem w tym mieście żadnych korzeni. Jestem tylko parą oczu i parą nóg.

Może potrwa to miesiąc, może rok, ale czas już się dla mnie nie liczy. Zegar zatrzymał się pewnej kwietniowej nocy. Szukam cię i prędzej czy później znajdę. Wtedy porozmawiamy. Jak na razie przynajmniej, mam ci bardzo dużo do powiedzenia".

Rozdział czwarty

W styczniu skończyły się Davidowi pieniądze. Znalazł pracę jako barman w pubie niedaleko Leicester Square. Było to wielkie jak stodoła miejsce, należące do Zjednoczonych Browarów. W przyszłości jednak niewiele będzie z tego pamiętał. Prawdę powiedziałwszy, dziesięć lat później przechodził obok, nie pamiętając nawet, że kiedyś tu pracował. W te ciemne zimowe dni nie rejestrował niczego, wykonując swoje obowiązki jak maszyna. Nawet nie zauważył, że znalazł sobie pracę dużo poniżej swoich kwalifikacji. Wiekiem również się do niej nie nadawał. Do współpracowników odnosił się grzecznie, podobnie jak do hord obcych tłumnie nawiedzających pub wieczorami, pragnących zabawić się w mieście, szukających guza na ulicach Up West. Świadom był tylko jednego. Choć jedna na milion, istniała jednak szansa. On musiał jednak wierzyć, bo inaczej... o tym nie miał nawet siły myśleć.

W późniejszych latach nie przypominał sobie również, by poza pracą robił cokolwiek innego. „Łatwo popadasz w obsesje”, powiedziała mu kiedyś Sheila — jego żona, której twarzy prawie już nie pamiętał. Swoje spacerowanie planował dokładnie jak generał układający strategię kampanii. Podzielił centrum miasta na podstawie kodów pocztowych, rysując na planie szachownicę, i patrolował wyznaczone na dany dzień ulice, nie ustając, póki nie przeszedł ich wszystkich. Od Hammersmith Broadway do Shepherd's Bush, z Kensal Rise do Kilburn... Chodził szybko, jak człowiek świadom swego celu, ze zdjęciem roześmianej dziewczyny w portfelu. Jeśli z jakiegoś powodu nie udało mu się przebyć całej zaplanowanej trasy, wracał na nią przy pierwszej nadarzającej się okazji i pokonywał do końca, zanim wyruszył na następną. Odczuwał z tego powodu odrobinę satysfakcji.

Miał oczywiście świadomość, że jego plan pozbawiony jest logiki. Nie był w końcu głupi. Czemu bowiem miałyby się znaleźć właśnie w tym, a nie w innym miejscu? Nie o to jednak chodziło.

A ponieważ nie było nikogo, z kim mógłby się na ten temat spierać, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Nie trzymał się też ślepo opracowanego planu. W niektóre dni na przykład jego uwaga zwracała się ku metru. Tutaj postępował znacznie bardziej na chybił trafił. Studiował przez chwilę plan metra, po czym jeździł w kółko Circle Line albo wybierał linię Northern lub District i jechał nią aż do samego końca — do High Barnet czy Upminster. Siedział,

obserwując twarze, w każdej chwili gotów uderzyć. Prędzej czy później, czuł to w kościach, zauważy ją. Siedział i jak morderca wyczekiwał właściwej chwili.

I wcale nie miał obsesji. Zajmował się też czym innym. Musiało tak być, gdyż to wydarzyło się, gdy wracał do domu z kina. Takie właśnie jest życie. Planujesz coś i nic z tego nie wychodzi. Przestajesz o tym myśleć i nagle, na murze, widzisz plakat.

Na jakim był wtedy filmie? Nie pamiętał, z chwilą bowiem, w której ujrzał plakat, o wszystkim innym zapomniał.

„O-Zone. Tylko jeden koncert”.

David stał w strugach deszczu, a obok niego z szumem przejeżdżały samochody. Był zimny lutowy wieczór. Plakat wisiał w pustym oknie wystawowym Elephant i Castle, zaledwie kilka metrów od pokoju, który wynajmował. Nie zauważył go wcześniej.

„O-Zone wraz z zespołem towarzyszącym, jedyny występ w Zjednoczonym Królestwie. The Forum, Kentish Town”. Koncert miał się odbyć w najbliższy piątek.

„Tatusiu, jadę do Londynu. Możesz dać mi pieniądze na bilet? Po co jedziesz?”

O-Zone grają koncert. Nigdy nie widziałam ich na żywo. Chcesz powiedzieć, że widziałas ich tylko nieżywych? Tato! To wcale nie jest śmieszne!”

„Tatusiu, proszę, nic mi się nie stanie. Rowena i Tim, to jej chłopak, oni także jadą, mama mówi, że mogę jechać, będę miała ze sobą telefon, poradzę sobie... Proszę, tato, sam mówiłeś, że nie powinnam tu gnić...”.

„Proszę, proszę! Oni są źli. Proszę, tato, zabiją mnie.

Jak możesz mówić? Nie pamiętam już twojego głosu, jego brzmienia. Kiedy rozmawiam z tobą w myślach, nie wiem już, ile masz lat. Jesteś za mała, zupełnie jakby umknęły mi gdzieś twoje ostatnie lata. I mówisz tak jakoś inaczej, nie mogę sobie przypomnieć, jak brzmiał twój głos.

Wszędzie szukam twojego głosu, ale on zniknął, nigdzie już nie rozbrzmiewa”.

Była tam, czuł to. Na scenie występowała kapela O-Zone — nie grali jego muzyki, jak dla niego była za mało hardcorowa, basy nie dość tłumili jej miękkość, ukrytą, lecz dla niego słyszalną zniewieściałość. W rytm ich piosenek zbity, pchający się do przodu tłum kołysał się i falował. Tyle dziewcząt wpatrywało się w tego ich lidera, miotającego się po estradzie z mikrofonem w ręce, podskakującego i lądującego na deskach z szeroko rozstawionymi nogami niczym podziwiający swoje odbicie w łazienkowym lustrze alfons.

Była tutaj, tak jak i on, śpiewając piosenki, których słowa, dobiegające zza zamkniętych drzwi do łazienki, poznał tak dobrze. „Ścis� ten chłam!” Dlaczego ona nie miała za grosz gustu? Tak bardzo chciał, by poznała i polubiła największych — Coodera, Springsteena, the Grateful Dead — ona jednak tylko wzruszała ramionami. Faj, to smutna muzyka starego, muzyka dla ludzi należących już do przeszłości, właściwie martwych.

Lecz David żył, przeżył ją, łysiejący mężczyzna w tłumie dzieciaków. Patrząc na niego — jeżeli w ogóle go zauważały — myślały sobie pewnie, co to za stary smutny frajer. Dla własnej córki pewnie także był niewidzialny. Powinna tu być, byłaby wniebowzięta. Jej miejsce zajęła jakaś inna dziewczyna.

Tak właśnie się czuł. Przynajmniej ten raz był trzeźwy. Trzymał w ręce plastikowy kubek z piwem, głowę jednak miał jasną. Ta inna dziewczyna, żyjąca życiem Chloe, kukulcze jajo w gnieździe jego córki. Znał jej twarz aż nadto dobrze, uśmiechniętą, utrwaloną na zdjęciu. Znał każdy szczegół jej rysów, podczas gdy twarz córki zamazywała mu się w pamięci coraz bardziej. Jeszcze trochę, a zniknie zupełnie. Czy to nie najdziwniejsze w tym wszystkim? Ta druga dziewczyna, którą chciał ukarać za to, co zrobiła jego córce, stała się dla niego bardziej rzeczywista, niż ta, którą spłodził. „Nat była ich największą fanką, kiedyś pojechała na ich koncert aż do Londynu”. Gdziekolwiek mieszkała w tym przepastnym mieście, dzisiejszego wieczoru na pewno znalazła się tutaj, ta muzyka przyciągnęła ją jak magnes. Był o tym absolutnie przekonany. Musiał być, gdyż była to jego jedyna szansa.

Gdzie jednak miał jej szukać wśród tych setek dzieciaków? Zaczął torować sobie drogę przez tłum, przepychając się przez rozkołysane morze ciał. Bacznie przyglądał się twarzom dziewcząt. Jednak w miarę upływu czasu jego nadzieja stawała się coraz bardziej nikła. Jak miał ją znaleźć? Piegi nie mogły mu w tym pomóc, panowały zbyt wielkie ciemności. Nie wiedział też, czy była wysoka. A włosy mogła mieć dłuższe albo krótsze.

Początkowa euforia, którą odczuwał, teraz znikła. Całe przedsięwzięcie nagle wydało mu się szaleństwem, podobnie jak trzymiesięczne wędrówki po ulicach miasta.

— Ta piosenka jest dla Rachel, gdziekolwiek teraz przebywa — zamruczał piosenkarz do mikrofonu. Stojąca obok Davida dziewczyna jęknęła. O-Zone zaczęli grać swój ostatni tego wieczoru utwór, równie dobrze mu znany jak bicie własnego serca.

„Chloe, masz zamiar cały dzień przesiedzieć w swoim pokoju?... Chloe, na miłość boską, zacznij żyć!”.

Nagle koncert się skończył i cały tłum wielkich, zwalistych dziewczyn popychając go, ruszył ku wyjściu. David z trudem zaczął się przeciskać, by je wyprzedzić. Chciał wyjść pierwszy, by stanąwszy przed wejściem, przyglądać się każdej wychodzącej z osobna, lecz się zamyślił. Teraz jego wyjście było zablokowane i zanim wydostał się na zewnątrz, tłum zaczynał się już rozchodzić. Dzieciaki szły ulicą, ich podniecone głosy tonęły w ulicznym hałasie. Na przystanku autobusowym zebrała się spora ich grupka.

„Tę piosenkę dedykuję Sheili”.

Gdy się już poznali, zagrał jeszcze kilka koncertów. Wyłapując jej twarz w tłumie, uśmiechał się do niej. A potem czekała na niego przy wyjściu dla artystów, onieśmielona, troszkę z boku.

Wyjście dla artystów.

David zamarł bez ruchu.

Rzucił się przez grupkę dzieciaków — Hej, facet, uważaj trochę! — i biegiem ruszył za róg. Wzdłuż budynku biegła uliczka, na jej końcu dostrzegł napis „Wejście na scenę”. Niestety, już w jego stronę pędziła limuzyna. Musiał przywrzeć plecami do muru.

Sfóra młodzieży puściła się za nią, lecz samochód wyjechał na ulicę i po chwili nie było po nim śladu. W powietrzu unosił się swąd spalin.

Dzieciaki nie dawały za wygraną.

— Damon! — darły się.

Z tego, co mimo ciemności udało się Davidowi zauważyć, wszyscy byli bardzo młodzi. Po chwili znikli także i oni.

Wróciwszy do swojego pokoju, David usiadł przy oknie. Noc upływała, a on palił jednego papierosa za drugim. Po przeciwnej stronie ulicy mieściło się centrum ogrodnicze. Ułożone w stos wory z kompostem połyskiwały w świetle ulicznych latarni.

To beznadziejne. Przez cały czas wiedział o tym. Nawet jeśli ta Natalie zjawiała się tam, była jak miraż, równie bezcielesna jak jego własna córka. Wszystkie swoje nadzieje skupił na niej, tak jak przedtem na Chloe, i stworzył dziewczynę, która tak naprawdę nie istniała. A teraz ją także utracił. Tylko wariat mógł myśleć, że ją odnajdzie. Może wcale nie mieszkała w Londynie, może pojechała gdzieś indziej. Za granicę, gdziekolwiek. I jaki cel mu przyświecał? Przecież córki nie przywróci do życia.

David pił równomiernie, z zimną, okrutną rozpaczą. Wyglądał przez okno. Z tyłu, za stertą worów wznosił się blok mieszkalny. W miarę jak noc robiła się coraz bardziej późna,

światła w jego oknach stopniowo gasły, z wyjątkiem jednego. Okno znajdowało się na szóstym piętrze. Każdej nocy, bez względu na porę, niezmiennie paliło się w nim światło. Gdy David leżał w łóżku, znosząc ból umęczonych całodziennym chodzeniem nóg, to światło było jego jedynym towarzyszem. Kto mieszkał w tamtym pokoju — mężczyzna jak on, siedzący samotnie w uśpionym mieście?

A może jakaś matka, jak niegdyś Sheila czuwająca przy rozkapryszonym dziecku? Przez pierwsze miesiące po urodzeniu Chloe doprowadzała ich do rozpacz. Po całych nocach nie dawała im spać, zanosząc się wwiercającym się w uszy krzykiem. Nie roniąc ani jednej łzy, płakała z przejmującym żalem, jak gdyby wiedziała. Uspokajała się jedynie wtedy, gdy David wkładał ją w kołysce do samochodu i jeździł po ulicach Morecambe. Jeździł z nią w kółko, po opustoszałych ulicach, aż wreszcie się uspokajała.

Kiedy David zbudził się, stwierdził, że zasnął na łóżku kompletnie ubrany. W głowie mu pulsowało, a w ustach zalegały jakby tony pyłu. Na dworze padało. Co dalej?, pomyślał. Sięgnął dna, gdzie już nawet cień nadziei nie został. Zastanawiał się, czy Sheila myśli o nim kiedykolwiek. Nie miała pojęcia, gdzie przepadł. Tak jak ta dziewczyna, Natalie, zniknął z ekranu jej radaru.

Włączył telewizor. Nadawali właśnie poranny program. Wyglądający znajomo mężczyzna udzielał wywiadu. Miał na sobie fioletową skórzaną marynarkę i co chwilę ręką przyczesał do tyłu włosy.

— Jasne, jestem bardzo podniecony naszym ostatnim singlem.

Piosenkarz z O-Zone.

W mgnieniu oka David był na ulicy, nerwowo walcząc z kluczykami do samochodu. W końcu udało mu się otworzyć drzwiczki, wskoczył do środka i uruchomił silnik.

Był sobotni poranek i na ulicach panował jeszcze niewielki ruch. Jechał szybko, na światłach przyspieszając, gdy zmieniały się na czerwone. Od jego pokoju w Elephant and Castle tylko miła dzieliła go od South Bank. Znał studia LWT. Przed laty, w prawdziwym życiu, zabrał tam kiedyś rodzinę na jakiś program. Bilety dostał od jednego z klientów.

Minął Waterloo Station i wyminął zaparkowaną na ulicy furgonetkę. Objechał rondo i skręcił w prawo. Przejechał jeszcze kawałek boczną ulicą, zatrzymał się przed budynkiem LWT.

Wysiadł z samochodu i zaczął się przechadzać. Obok limuzyny czekali fani. Zbici w kupę, kulili się przed deszczem. Emanowała z nich jakaś heroiczna, stoicka desperacja, jak

gdyby czekali tu od tygodnia. Było ich może z trzydzieścioro, głównie dziewczęta. Jej wśród nich nie rozpoznawał, ale też większość twarzy spoglądała w stronę wyjścia z budynku. Poza tym przez minioną noc rysy Natalie zamazały mu się w pamięci, nabrały ogólnych cech setek dziewczyn nałożonych na siebie, aż stały się nierozpoznawalne.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna, lecz nie ten właściwy. Tłumek się cofnął.

Nie było jej wśród nich. Po prostu kazał sobie wierzyć, że się zjawi, a przecież nie miało to z nią nic wspólnego, kimkolwiek była. Wyjechała do Australii. Dokądkolwiek.

Wtedy drzwi otworzyły się ponownie i wyszedł przez nie lider zespołu w towarzystwie ochroniarza.

— Damon!

Dzieciaki rzuciły się do przodu. Ktoś trzymał nad głową Damona parasol, podczas gdy on rozdawał autografy. Wszystko odbyło się błyskawicznie — szelest papieru, jakieś rozmowy i idol wsiadał do samochodu. Kierowca włączył silnik.

— Damon!

Przed tłum wysforowała się młoda kobieta. W brązowym futrzanym płaszczu, skórzanych kozakach, berecie.

— Damon, pamiętasz mnie? Spojrzał na nią.

— Cześć.

— Nie poznajesz mnie? — spytała.

— Jasne... — Patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

— Kensington Hilton, pamiętasz?

Zastanowił się przez chwilę. Potem się uśmiechnął.

— Hej, tak... — przerwał. — Jesteś... Ochroniarz dotknął jego ramienia.

— Musimy iść, proszę pana.

— Pamiętasz, prawda? — nalegała.

— Jasne, że tak! — Zawahał się. — Mary?

— Nie, nie Mary.

— Chodźmy, proszę pana. — Ochroniarz spojrział na zegarek.

— Już wiem... — powiedział Damon, myśląc intensywnie. — Jesteś... — poddał się.

— Jestem Natalie.

Szczyście sprzyjało Davidowi. Żadna ciężarówka nie zablokowała mu drogi, nie zatrzymały go żadne światła. Natalie jechała hondą wyglądającą na sportową, w kolorze metalicznej zieleni. Wciąż miał ją w zasięgu wzroku, gdy jechała przez Waterloo Bridge, potem tunelem i przez całe Camden Town, gdzie nie wrzucając kierunkowskazu, skręciła w prawo. Nad Londynem unosiła się niesamowita cisza. David słyszał jedynie bicie własnego serca.

Natalie jechała szybko. Dlaczego Chloe nie nauczyła się nigdy prowadzić samochodu? Być może wynikało to ze strachu przed tymi czyhającymi wszędzie, nieznanymi niebezpieczeństwami, wypadkami, czekającymi tylko, by się wydarzyć. Nie wydarzyły się jednak. Przynajmniej nie te, których można by się spodziewać.

Natalie wyglądała na starszą, niż sądził. W jego wyobraźni Chloe i ona stały się niemal rówieśnicami. Ale ta kobieta miała niewiele ponad trzydzieści lat, oczywiście, przecież czytał o tym w gazetach. Jakoś też nie spodziewał się ani blond włosów, ani beretu. Była poza tym niższa, delikatniejsza. „Hej, mała, trzymaj się”, krzyknął Damon i odjechał.

Jechali teraz Seven Sisters Road. Interesujące doprawdy, ile można się o człowieku dowiedzieć, obserwując, jak prowadzi samochód. Na przejściu dla pieszych z wahaniem weszła mała rodzina, honda jednak przejechała przez pasy na pełnym gazie, zmuszając rodzinę do gwałtownej ucieczki z powrotem na chodnik. To David musiał się zatrzymać, by ich przepuścić. Natalie prowadziła z wprawą, nie bacząc jednak na innych użytkowników drogi. Podejrzał, że nigdy nie spoglądała we wsteczne lustro — co w tym wypadku działało na jego korzyść.

Chloe nauczyła się jeździć samochodem. Teraz mu się przypomniało. Musieli posłać ją na kurs, ponieważ ani on, ani Sheila nie dość sobie ufali, by ją uczyć. Za każdym razem kończyłoby się to wielkim płaczem. Chloe jednak oblała egzamin. Nacisnęła nie ten pedał i wylądowała na chodniku, zahaczając o skrzynkę pocztową.

Wszystkie te lekcje w szkole, wszystkie zadania domowe. Chloe zawsze płakała przed testem z historii, nigdy nie potrafiła nauczyć się dat. Tak bardzo bała się dentysty, przerażało ją bolesne borowanie. I po co tak się przejmowała? Nabijała sobie głowę faktami, cierpiała na dentystycznym fotelu. Gdyby wiedziała, mogłaby sobie oszczędzić tych wszystkich przykrości.

Nagle samochód Natalie bez ostrzeżenia się zatrzymał. David gwałtownie nacisnął na hamulec. Natalie zaparkowała samochód na jezdni i weszła do pralni chemicznej. Czekał, nie gasząc silnika. Było piętnaście po dziesiątej i ruch na ulicach zaczął się na dobre. Wokół sklepu

indyjskiego kręcili się kupujący, przrzucali rozłożone na ulicznym straganie materiały. Zwykły sobotni poranek w Finsbury Park.

Na końcu ulicy stała Astoria. David widział tam koncert Beatlesów. Byłem ich zagorzałym fanem, pomyślał, na ich występ przyjechałem aż do Londynu. Ile miał wtedy lat? Piętnaście? Wtedy ich przebojem numer jeden było *Love Me Do* i po powrocie do domu, do Southport, bez końca próbował zagrać utwór na swojej gitarze. „Co za harmider!”, powiedziała jego matka, wielbicielka Czwórki z Liverpoolu. „Strasznie to katujesz”. W tym czasie w Ameryce dorastał chłopak, który pewnego dnia miał zastrzelić Johna Lennona. Szkoda wszystkich tych nie napisanych piosenek, pomyślał David. Czy John Lennon znał daty z historii Anglii?

Deszcz ustał. Pojawiła się Natalie ze stertą ubrań przerzuconą przez ramię. Od plastikowych worków, w które były zapakowane, odbijało się słońce. Wrzuciła wszystko na siedzenie dla pasażera i odjechała.

Kawałek dalej znowu zaparkowała na jezdni i weszła do apteki. Podążając tak za nią, gdy załatwiała swoje różne sprawy, David czuł się jej dziwnie bliski. Ciekawe, co takiego kupowała w aptece — kosmetyki, szampon?

„Dlaczego ona w ogóle się nie stara?”, zapytał kiedyś żonę.

„Dlaczego nie robi czegoś ze swoimi włosami? Zwisają jej jak strąki”.

Natalie wyszła, niosąc plastikową torbę. Colin miał rację, rzeczywiście była bardzo ładna. Nawet z tej odległości nie dało się tego nie zauważyć. Przystanęła przed sklepem z mięsem ubitych zgodnie z prawem muzułmańskim zwierząt. W oknie wystawowym zwieszały się tusze. Jednak sądząc po jej postawie, David mógł powiedzieć, że nie mięso ją interesuje. Przyglądała się swojemu odbiciu w szybie. Mężczyźni — rastafarianin i czarny w dresie sportowym — oglądali się za nią.

„Gdyby trochę schudła, byłaby bardzo ładna”.

Spod beretu wystawały jej kosmyki włosów. Były jaśniejsze niż na zdjęciu. Pobiegnęła szybko do samochodu, gdyż właśnie przystanął obok niego strażnik miejski, otwierając swój notes. Coś do niego powiedziała, a on się roześmiał. David patrzył, jak uśmiecha się do niego, wyraźnie z nim flirtując. Zakłuło go w piersiach. „Zacznij żyć”, powiedział kiedyś do córki. Ta młoda kobieta chodziła na zakupy, czarowała strażników miejskich. Na pewno miała pracę i chłopaka.

Wsiadła do samochodu. Jechał za nią, gdy skręciła koło stacji metra i popędziła jednokierunkową ulicą. Żeby jej nie zgubić, musiał przyspieszyć. Dochodziło pół do jedenastej. W pubie miał się zjawić o jedenastej, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Nigdy już tam nie wróci. W pubach byli przyzwyczajeni do niesolidnych pracowników — jednego dnia się pojawiali, drugiego nie było po nich śladu. Znowu bez kierunkowskazu skręciła w lewo, w ulicę, wzdłuż której mieściły się sklepy z pozamykanymi okiennicami. Od brudnych ceglanych murów odbijało się słońce.

Zatrzymała się równie nagle jak poprzednio. Nieomal wjechał jej w tył. Zahamował, cofnął trochę i wyminął ją, nie patrząc w jej stronę. Zatrzymał się kawałek dalej i spojrzął we wsteczne lustro. Tyłem wjeżdżała na miejsce parkingowe.

David wyłączył silnik i siedział z walącym sercem. Marzył o papierosie. W lusterku widział, jak wyciąga torby z zakupami oraz odebrane z pralni ubrania. Zatrasnęła drzwiczki i nacisnęła przycisk w pilocie. Gdy unieruchamiała samochód, zamigotały światła.

Podeszła do bocznych drzwi, koło restauracji, i zaczęła szukać kluczy. Ubrania w workach foliowych zsunęły się jej z ramienia na chodnik. Schyliła się, żeby je podnieść, po czym niezgrabnie, bokiem, ze stertą rzeczy w rękach, wsunęła się w drzwi i znikła w budynku.

Miał ją. David siedział w samochodzie, niezdolny się poruszyć. Odniesione zwycięstwo zupełnie go wyczerpało. Jak morderca, namierzył swoją ofiarę. Teraz mógł ją zabić.

Tak właśnie się czuł. Bardzo pragnął ją zabić — nie za to, co zrobiła, a co było wystarczająco paskudne, lecz za to, kim była: żywa, piękna, żyjąca życiem, które powinna wieść jego córka, gdyby choć trochę się o to postarała.

Czuł się potwornie zmęczony. Potrzebował nadludzkiej siły, by uruchomić silnik. Wrócił do Elephant and Castle, do swojego pokoju. Nie rozbierając się, zwałił się na łóżko i spał jak zabity.

Rozdział piąty

Niedzielny świt wstał jasny i zimny. David nie wrócił do Finsbury Park. Zamiast tego wybrał się na przejażdżkę ciasnymi jak wąwozy ulicami Greenwich, w których blask mieszał się na przemian z głębokim cieniem, migocząc na podobieństwo starych, czarno-białych filmów. Dzwoniły kościelne dzwony. David, pełen życia, czuł, jak krew śpiewa mu w żyłach.

Wdrapał się na górę Greenwich Park i usiadł, zapatrzony w roztaczające się przed nim miasto. Londyn oddał mu wreszcie Natalie i całe dotychczasowe napięcie opadło. Wiedział, co ma zrobić, mógł więc sobie pozwolić na luksus odłożenia tego w czasie. Miał Natalie, a jej nieświadomość tego sprawiała, że na chwilę ogarnęły go opiekuńcze wobec niej uczucia. Zaraz jednak powrócił gniew.

Jakże pięknie wyglądało rozciągające się przed nim, skąpane w słonecznym blasku miasto. Odległość czyniła niewidocznymi wszelkie, banalne nawet przejawy zła, do których dochodziło zapewne nawet w tej chwili, gdy tak sobie patrzył. David siedział na ławce, wystawiając twarz na łagodne promienie zimowego słońca. Przekroczył linię dzielącą dwa etapy jego życia; ogarniające go podniecenie sprawiło, że serce biło mu szybciej.

Wstał i ruszył przez park. Powietrze kłuło go w płuca. Zmysły miał tak wyostrzone, że nieomal wyczuwał każde źdźbło trawy miażdżone podeszwami butów. Nagie konary drzew lśniły w słońcu. Nagle przypomniał mu się wiersz napisany przez jego bardzo dawną dziewczynę, Beę.

*Wielka mądrość jest w żalach starych drzew,
Gdy ich sny unosi wiatru cichy wiew,
Gdy czernią konarów pisze je pod nieba pustką,
Te sny na niej to Boża pajęczyna,
A ja jestem muszką.*

Co oboje wiedzieli wtedy o smutku?

„Te sny na niej to Boża pajęczyna, a ja jestem muszką”.

Bywa, iż słowa biegną przed nami, cierpliwie czekając, byśmy się z nimi zrównali.

Co się stało z Beą, z jej hippisowskimi warkoczykami? Gdy się rozstali, przepadła gdzieś w Irlandii. Wtedy myślał, że przeżywa najsmutniejsze chwile swego życia.

Po zapadnięciu ciemności wrócił do swojej nory i spakował torbę. Pysznic w głębi korytarza był zepsuty, umył się więc i ogolił nad umywalką, a potem przebrał się w czyste

ubrania. Biorąc do ręki kluczyki samochodowe, po raz ostatni omiół pokój spojrzeniem. Była siódma wieczorem. W bloku naprzeciwko okna jarzyły się światłami. W taki jak ten, sobotni wieczór w pubie panował najmniejszy ruch. Mimo różnych atrakcji proponowanych przez puby — quizów, karaoke — ludzie zamykali się w domach przed światem. Zebrane razem rodziny wspólnie zasiadały przed telewizorami. Spojrzał w okno pokoju na siódmym piętrze, którego nieznany lokator wraz z nim czuwał przez tyle nocy. Dzisiaj jednak okno było ciemne.

David zaparkował, zgasił silnik i przez chwilę nie ruszał się z samochodu. Domy połyskiwały ponuro w sodowym świetle latarni. Restauracja Niebieski Słoń była zamknięta. Nad nią wznosiły się trzy piętra, lecz światło świeciło się tylko na jednym. Pragnął, by były to jej okna.

Wysiadł z samochodu i przeszedł przez ulicę. Obok dzwonek widniały dwa nazwiska: Brandon i T. Ongali. Przy trzecim było puste miejsce. Nacisnął ten właśnie.

Nic się nie wydarzyło. Odczekał chwilę i ponownie zadzwonił. Usłyszał, jak gdzieś na górze otwiera się okno.

— Tak? Kto tam? — Z okna wychyliła się jakaś głowa. To była ona.

— Natalie Taylor? — zawołał, spoglądając w górę.

— Kim pan jest?

— David Milner.

— Czego pan chce?

— Porozmawiać.

— Przykro mi, nie ma jej tutaj.

Okno się zamknęło. David zadzwonił, ale tym razem bez skutku.

Po przeciwnej stronie ulicy mieścił się pub. David postanowił, że w nim zaczeka. Nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić. Przebiegł ulicę i wszedł do środka. W pubie siedziało kilku podstarzałych pijaczków z twarzami zwróconymi w stronę podwieszono u sufitu telewizora. „Może to i są stare pierdoły, ale przynajmniej nasze”. Nagle zatęsknił za Sheilą z taką siłą, że aż dech mu w piersiach zaparło. To miejsce ledwo zipiało. Z chwilą, gdy przekroczył próg, rozpoznał dożywający swych ostatnich chwil pub. Za kontuarem stał właściciel, w blezerze, pod krawatem, z zaczerwienioną twarzą. Stał wyprostowany jak trzcina, niczym były wojskowy.

David zamówił podwójną porcję Bella i zajął miejsce przy oknie. Zapalił papierosa i czekał.

Czas płynął. Weszła jakaś dziewczyna i zamówiła guinnessa.

— Byłam w Epsom — powiedziała. — Nana wzięła mnie ze sobą.

Barman mruknął coś w odpowiedzi. Był starszy od Davida i włosy miał znacznie bardziej przerzedzone. Pod skórą wyraźnie rysował się kształt czaszki.

David nie odrywał wzroku od ulicy. Minęła godzina. Myślał sobie: czekałem tyle miesięcy, nie poddam się teraz. Tanecznym krokiem przeszła trójka młodych ludzi, kopali porzuconą puszkę.

Przypomniała mu się inna dawna dziewczyna, Leah. Miała dwunastostrunową gitarę, grywali razem bluesy... „Tak długo byłem na dnie, pora ruszyć w górę”, śpiewali głosami jak z delty Missisipi. Potem ona zaszła w ciążę. Gdyby jej nie usunęła, ile lat miałoby teraz dziecko? David policzył: trzydzieści trzy. Dorosły, nieomal w średnim wieku jeszcze jeden mieszkaniec planety.

— Jak tam pani noga? Dokucza? — spytał właściciel.

Starsza kobieta coś mu odpowiedziała. Myśli Davida błądziły dalej, Gdzie podziewała się teraz Leah, dziewczyna, z którą na krótko spłodził dziecko? Od tak dawna o niej nie myślał. To doprawdy przedziwne, jak dziewczyny pojawiają się w życiu człowieka. Przez tygodnie, czasem miesiące ich codzienne sprawy są nam równie bliskie i znane jak nasze własne — wizyty u lekarza, kłótnie z rodzicami. Potem przepadają gdzieś, znikają tam, skąd przyszły, w Morecambe czy Southport, wracają do własnego życia, by nigdy więcej już się nie pojawić.

Drzwi na ulicę otworzyły się nagle. Wyszła z nich Natalie. David wyobrażał to sobie tyle razy, że przez ułamek sekundy sądził, iż znowu ma przywidzenia. Wypił do końca swojego drinka i wstał. Przez okno widział, jak idzie ulicą i znika w jedynym otwartym o tej porze sklepie, monopolowym.

Wyszedł z pubu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Tuż przed jej drzwiami stała zaparkowana biała furgonetka, ukrył się więc w jej cieniu.

Natalie wyszła ze sklepu, niosąc plastikową torbę. Gdy doszła do drzwi, David wychynął z ukrycia.

— Słuchaj — powiedział. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Proszę odejść, kimkolwiek pan jest — odparła, próbując wsadzić klucz w zamek.

— Nie jestem z policji. Nie mam też nic wspólnego z twoim mężem.

— Spierdalaj... — Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła trafić kluczem.

— Ale widziałem się z Colinem. Obróciła się gwałtownie.

— Wie, gdzie mieszkam? David pokręcił przecząco głową.

— Ale był bardzo zmartwiony.

— Kim pan jest?

— Nazywam się David Milner. Nic ci to nie mówi?

— Niby czemu miałyby mi coś mówić?

— Było na czeku.

— Na czeku?

— Pan i pani Milner.

Patrzyła na niego, wyraźnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— O czym pan, do cholery, mówi?!

— Jeden z tych czeków, które ukradłaś, był mój.

W świetle latarni jej twarz wydawała się wyblakła.

— Nie obawiaj się — powiedział. — Nie przyszedłem po swoje pieniądze. —

Uśmiechnął się do niej. Tyle czasu upłynęło, odkąd uśmiechał się po raz ostatni, że teraz miał wrażenie, że aż zaboląła go odwykła od grymasu skóra.

— W takim razie czego pan chce?

— Postawię ci drinka.

Z pewnym ociąganiem przeszła z nim ulicę i weszła do pubu. Posadził ją przy stoliku przy oknie i poszedł po drinki: dla niej gin z tonikiem, piwo imbirowe dla siebie. Nie mógł się upić.

— Nadal nie rozumiem — powiedziała. Z telewizora rozległ się wybuch gromkiego śmiechu.

— To było ostateczne wezwanie do zapłaty i pamiętam, że wszystko uregulowałem. Wiem, że tak było. Moja żona twierdziła inaczej, ale ja pamiętałem, jak wysłałem czek pocztą. Jeszcze nie całkiem zwariowałem. — Znowu się uśmiechnął. Starał się mówić lekkim tonem. — A ty go ukradłaś.

— Skąd pan może to wiedzieć? — Urwała, jej oczy się zwięziły. — Zresztą nie zrobiłam tego.

— Och, daj spokój, Natalie. Jasne, że zrobiłaś. Widzisz, wyłączyli nam telefon.

— Ale nikt nie miał pojęcia...

— To znaczy?

— Wszystko było zapłacone, świetnie to sobie obmyślałam... — przerwała.

— Nie ma sprawy, nikomu nie powiem. Nie po to tu jestem.

— W takim razie po co? Chce pan z powrotem swoje pieniądze?

— Ostatnie zamówienia! — krzyknął właściciel pubu i uderzył w dzwonek.

— Pieniądze nic mnie nie obchodzą — powiedział David.

— Bo nikt nie był stratny. Tak to wszystko załatwiałam, tylko wielkie firmy, a kto by się tam nimi przejmował?

— Nie chodzi o pieniądze.

— Panie i panowie, ostatnie zamówienia, bardzo proszę!

— Moja córka umarła — powiedział David.

— To chilijski Merlot — oznajmiła Natalie, wyciągając z plastikowej torby butelkę. —
Może być?

Odkorkowała wino i przyniosła dwa kieliszki. Miała na sobie włochaty sweter i czarne legginsy. Tak naprawdę nawet jej się wcześniej nie przyjrzał. Znajdowali się w jej mieszkaniu. Wyczuwało się w nim atmosferę tymczasowości — nie dopasowane meble, ślady na ścianach po powieszonych przez innych lokatorów obrazkach. Zupełnie, jak gdyby zatrzymała się tu tylko na chwilę, podobnie jak on.

— Co się więc stało? — zapytała, podając mu kieliszek z winem.

Opowiedział jej o klubie, jak Chloe poszła tam na imprezę.

— Znam Pixies — powiedziała Natalie. — Chodziłam tam.

— Obiecałem, że po nią przyjadę, obojętnie o której. Tak się umówiliśmy. Ale nie mogła się dodzwonić. Telefon był wyłączony. — Przez okno widział, jak w pubie po kolei gasną światła. — Nie udało jej się złapać taksówki, wszystkie były zajęte, więc postanowiła że wróci piechotą. — Mówiąc o tym po tylu miesiącach milczenia, nie odczuwał wcale ulgi, której się spodziewał.

— Ach, więc to ona była tą dziewczyną... — Natalie spojrzała na niego ze zdumieniem. — Czytałam o tym w gazetach.

Popatrzył jej w oczy.

— Umarła przez twoją chciwość. Ile tego było? Sto funtów? Sto pięćdziesiąt? Nie pamiętam już. Umarła przez twoje głupie małe oszustwo.

— Niech pan nie zwała wszystkiego na mnie...

— To wszystko była twoja wina.

— Pan chyba zwariował! — Jej oczy płonęły. — Słuchaj pan, przykro mi z powodu tego, co się stało, to naprawdę straszne, ale to nie moja wina. Dlaczego nie obwinia pan tego, kto zajął taksówkę, którą mogła jechać pańska córka? Albo tego, kto zajął kłopot, więc ona musiała czekać, przez co wyszła pięć minut później i poszła nie tą ulicą w nieodpowiedniej chwili, właśnie wtedy, kiedy tamten samochód...

— Dostyc!

— Czemu nie ma pan pretensji, że autobusy nie jeżdżą przez całą noc, niech pan obwinia cholerny publiczny transport w Manchesterze! Albo swoją córkę, że nie poprosiła nikogo o podwiezienie, och, sama już nie wiem! — Natalie umilkła, dysząc ciężko. — Próbuje pan sobie to jakoś wytłumaczyć, ale tego się nie da wytłumaczyć. To jak rosyjska ruletka, jeszcze pan tego nie pojął? To tak, jak gdyby wbił pan w mapę szpilkę. Tak po prostu i nic poza tym. Nie rozumie pan? — Zdusiła papierosa na spodku. — Tylko dlatego, że musi pan to na kogoś zwalić, wybrał pan sobie mnie. A przecież nawet mnie pan nie zna.

Zapadła cisza. Nagle David poczuł się potwornie zmęczony. Wypiła do dna swój kieliszek.

— Niech pan ma pretensje do tego, kto ją zamordował.

Na ulicy pod oknami zatrąbił samochód. Rozległo się trzaśnięcie drzwiami, ktoś ryknął śmiechem. Po chwili samochód odjechał i zapanowała cisza.

David wstał.

— Czy mógłbym się wykapać?

Leżał zanurzony w pianie. Wlał sobie do wody płyn do kąpieli o zapachu limonki i geranium. Na półeczce tłoczyły się typowe dziewczynskie szpargały: perfumy, butelka z tonikiem, opakowanie rozjaśniacza do włosów „Zostań blondynką”. Była też zniszczona kosmetyczka i butelka z odżywką do włosów Pantene, tą samą, którą zwykle kupowała Chloe. Natalie także nie domykała zakrętki.

David leżał, aż woda zrobiła się chłodna. Równie dobrze mógł robić to, jak co innego.

„Miłość, och, miłość, och, beztroska miłość...”, śpiewała czasem jego córka. Jak to szło dalej?

„Nauczyła mnie szlochać, nauczyła mnie płakać, nauczyła do szczęśliwego domu nie wracać”. Miała taki czysty, piękny głos.

Zza ściany słyszał, jak Natalie, krzątając się po kuchni, podśpiewuje sobie. Może postanowiła przygotować sobie jakąś kolację, choć było już dobrze po północy. Poczul w żołądku lekkie ssanie; cóż, przez cały dzień nie miał w ustach ani kęsa.

Co powinien teraz robić? Spodziewał się sceny — skruchy, łez — lecz srodze się zawiódł. Była na to za twarda. „Zawsze będzie o krok do przodu. Wie pan dlaczego? Bo interesuje ją tylko to, co najlepsze”.

Podniósł z podłogi ręcznik. Był wilgotny, Natalie nie należała do nazbyt sumiennych pań domu. Na ciemnej zieleni frotté dostrzegł jaśniejsze plamy: utleniacz. Podobne plamy widział przed kilku laty, gdy Sheila na krótko i z tragicznym skutkiem zrobiła się na blond.

— Wyglądam jak Barbara Windsor, gdy ma zły dzień — stwierdziła.

Co porabia teraz jego żona? Może założyła salon fryzjerski w Hebden Bridge. Po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa także i ona znikła, wróciła w nieznane. Kiedy się poznali, nie mogli się powstrzymać, by się nawzajem nie dotykać. Nagrał dla niej składanki, trzy pełne taśmy, co zajęło mu całe tygodnie — zatrzymywał i puszczał utwory od początku, ustawiając starannie i przegrywając te, które źle się nagrały. Tylko prawdziwie zakochany mógł się zdobyć na taki trud.

David ubrał się i wrócił do pokoju. Natalie ściszyła telewizor i pokazała na talerz.

— Lubi pan taramasalatę? — Posmarowała nią krakersy. David ugryzł kawałek, ale suchy krakers rozpadł mu się w ustach, zatykając gardło. Natalie odkorkowała drugą butelkę wina i podała mu napełniony kieliszek.

— Wiem, na kogo możemy zwalić winę — powiedziała. — Na tego drania, który włamał mi się do samochodu. Właśnie wtedy, kiedy zobaczyłam czek na koszty założenia alarmu, wpadłam na ten pomysł. Zabawne, jak jeden pomysł pociąga za sobą drugi. Powiedzmy, że to wszystko przez niego. — Zaśmiała się krótko. — Wyszło na to, że popełnił znacznie większe przestępstwo, niż myślał.

Zapadło milczenie. David przełknął łyk wina,

— Chcesz wiedzieć — spytał w końcu — jak to jest?

— Co jak jest?

— Chodziła do klubów, tak jak ty. Myła włosy, spotykała się z ludźmi, śmiała.

— Ja już nie chodzę do klubów. — Natalie odłożyła na wpół zjedzonego krakersa. — Chce pan, to coś panu powiem. Jestem w tym wielkim mieście i nie znam tu nikogo. Cały czas siedzę w pokoju i oglądam telewizję.

— Prawdę powiedziawszy, ona niezbyt często wychodziła.

— Nie mam odwagi do nikogo się odezwać, ze strachu, że dowie się, kim jestem — powiedziała. — Zupełnie jakbym już siedziała w więzieniu.

— Chciałem, żeby wychodziła, zabawiała się. Kłopot w tym, że zrobiła się gruba, nie wyglądała tak jak ty.

— Myśli pan, że to coś zmienia?

— Dawniej była szczupła i naprawdę bardzo ładna. Taki byłem z niej dumny... Kiedyś całkiem niezły był ze mnie fotograf... robiłem jej zdjęcia...

— Niech mi pan o tym opowie. Znałam kiedyś jednego takiego fotografa. Powiedział, że zrobi ze mnie modelkę...

— Ale przestałem. Kiedy była nastolatką przestałem, bo... sam nie wiem...

— Kiedy ostatni raz o nim słyszałam, odsiadywał dziewięć lat.

— Wiem — powiedział David. — Przestałem i teraz nie mam niczego, co pomogłoby mi ją sobie przypomnieć.

— Przynajmniej miała ojca — odezwała się Natalie. — Miała pana.

— Ale nigdy nie powiedziałem jej tego, co ważne. — Nagle słowa zaczęły płynąć same. — Tylko robiłem jej awantury o jej pokój i o te wszystkie rzeczy, które tak mnie wkurzały. A robiłem to tak naprawdę dlatego, że ją kochałem i nie mogłem znieść, że nie chce dla siebie tego, co najlepsze.

— Miała pana. — Natalie wbiła w niego wzrok. — Nie słucha mnie pan? Mój tata nie chciał się dać zapuszkować, więc zwiął, a wie pan, jaka była moja matka? Założę się, że pańska żona jest miłsza.

— Moja żona ode mnie odeszła.

— Kiedy miałam sześć lat, ciągle zostawiała mnie samą w nocy...

— Odeszła ode mnie, bo nie chciałem z nią rozmawiać.

— Leżałam w łóżku i myślałam, że na pewno umarła i kto się teraz mną zajmie? A potem słyszałam, jak trzaskają drzwi i śmiech jej oraz jakiegoś faceta, oboje nagrzeni, a ona nawet nie przyszła zobaczyć, czy nic mi się nie stało. — Natalie skończyły się papierosy. Wzięła jednego z jego paczki. — Widziałam rzeczy, których dzieci nie powinny oglądać. Widziałam i słyszałam. I ciągle się przeprowadzaliśmy, więc nie miałam żadnych koleżanek, czasem wprowadzał się do nas jakiś gościu, a kiedyś jeden z nich... — Napełniła im obojgu kieliszki. Trochę wina rozlało się na stół. — Może ją powinien pan obwinać za to, że zrobiła

ze mnie to, czym jestem. Ale ona też miała ciężkie życie, kiedy była mała, więc może winni są oni, jej rodzice... Och, poddaję się. — Odgarnęła opadające jej na twarz włosy.

— Ale ty żyjesz — powiedział David.

W pokoju panował chłód. Ogrzewanie musiało się wyłączyć. Opatulona w sweter Natalie siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Kiedy wychodziła — podjął David — zapytałem tylko: „Masz klucze?” Nawet się z nią nie pożegnałem.

Podniosła na niego spojrzenie.

— Niech się pan nie obwinia.

Cała krawędź stołu poznaczona była wypalonymi śladami po papierosach. Pewnie zrobiły to w przeszłości jakieś nastolatki.

— Kiedy to się stało — powiedział — nocami jeździłem po mieście. Jeździłem ulicami, którymi ona musiała iść, jak wracała do domu. Chciałem być blisko tych miejsc, w których była ona. Wmawiałem sobie, że wszystko było dobrze, że nie bała się i była szczęśliwa, bo dobrze się bawiła na imprezie...

— I pewnie tak było.

— Czasem zatrzymywałem się koło miejsca, gdzie ją znaleźli...

— A gdzie ją znaleźli? — Natalie popatrzyła na niego niecierpliwie. Było nie było opowiadał o morderstwie, o którym pisali w gazecie. — Nie mogę sobie przypomnieć.

— Na Whitworth Street.

— Gdzie to jest?

— Tuż koło dworca. Piccadilly Station. Jest tam taki kawałek nieużytku. — Przerwał. Za lekkim wzniesieniem był billboard z napisem: NA SPRZEDAŻ: TEREN POD ZABUDOWĘ. Ludzie wyrzucali tam śmieci. Obok stał rząd starych budynków: Follies Disco, Yellow Cabs, salon urody. W odległości zaledwie kilku kroków przebiegała ruchliwa ulica. — Jacyś ludzie złożyli tam kwiaty, całe bukiety z kartkami.

— A pan? Potrząsnął głową.

— Siedziałem tam i modliłem się, żeby coś poczuć, ale jakoś nie mogłem tego... miejsca powiązać z nią. — Wzniesienie było strome; u jego stóp walał się rozwalony fotel inwalidzki i szafka na dokumenty. — Zabrali ją stamtąd później. Nie mogłem uwierzyć, że ona tam była. Ludzie szli na dworzec i wychodzili z niego, wszystko wokół toczyło się normalnie, jak gdyby

nic się nie wydarzyło. Widzisz, uderzyło mnie to w niewłaściwym momencie. Stało się, kiedy nie byłem przygotowany. — Przerwał na chwilę. — A ja lubię być przygotowany.

Jakiś czas popijali wino w milczeniu.

— Nie byłem przygotowany na ból — odezwał się znowu. — Na fizyczny ból, jaki odczuwałem.

— Dlaczego nie rozmawiał pan z żoną? — zainteresowała się Natalie. — Dlaczego przyszedł pan tutaj, na miłość boską? Przecież nawet mnie pan nie zna.

Spojrzał na swoje stopy i zauważył, że ma potwornie zniszczone buty. To przez to chodzenie. Dawniej dbał o swoje ubrania, osobiście się o nie troszczył. Pomyślał o właścicielu pubu po przeciwnej stronie ulicy, o tym, jak stał wyprostowany w eleganckiej marynarce, z kościstą twarzą.

— Wciąż myślę o tych wszystkich rzeczach, które od tamtego czasu ją ominęły, i bywa, że się z tego cieszę.

— Nie rozumiem?

— Cieszę się ze względu na nią. Na przykład ta strzelanina w amerykańskiej szkole. Myślę sobie — przynajmniej nie musiała tego oglądać. Stało się i minęło, a ona nie musiała się tym przejmować — jeśli w ogóle by się przejmowała. Wtedy do mnie dotarło, że w sumie tak mało ją znałem, że nawet nie wiem, czy to by ją zasmuciło. — Zorientował się, że płacze, co zaskoczyło go kompletnie, wcześniej bowiem było to uczucie zupełnie mu nie znane. — Odkąd dorosła, nie zdążyłem jej poznać. — Podniósł wzrok. — Czy mogłabyś włączyć to cholerne ogrzewanie?

Natalie wstała i wyszła do przedpokoju. Przyglądał się, jak majstruje coś przy termostacie.

— Cieszę się, że to wszystko ją ominęło — mówił dalej. — Tak jak i całe to gadanie o umierającej planecie, takich tam rzeczach, ponieważ teraz ja też nie muszę się już nimi przejmować, tymi śledzącymi wszystko kamerami, staruszkami, których napadają na ulicy. Co się z tym światem porobiło? Ale nie muszę się już martwić, że ona musi dorosnąć i o wszystkim tym przekonać się na własnej skórze.

Natalie wróciła i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przed nim.

— Była sama. Nie było mnie przy niej i nie mogłem jej pomóc.

Natalie napłynęły łzy do oczu. Ujęła jego dłoń.

— Tak mi przykro.

Przyciągnął jej głowę do swojej piersi. Zrobił to niezdarnie, musiała się przesunąć do przodu i wiedział, że boli ją szyja. Ale poza nią nie miał nikogo.

— Nawet jej nie obrabowali — powiedział. — W portfelu wciąż miała osiem funtów. Na taksówkę.

Na zewnątrz włączył się alarm samochodowy.

— Nikomu o tym nie mówiłem.

— Co mogę zrobić? — wymamrotała w jego kurtkę.

— To, po co tu przyszedłem.

Gwałtownie oderwała od niego głowę. Podniosła ku niemu twarz. Od jej białej skóry piegi odbijały się wyraźnie.

— Po co pan tu przyjechał?

— Wróc ze mną.

— Co takiego?

— Wróc do Leeds i zgłoś się na policję. Mojej córki nic mi nie przywróci, ale... nie rozumiesz tego? Sprawiedliwości stanie się zadość.

— Wrócić z panem? — Ze zdziwienia otworzyła usta. Jego śmiech zabrzmiał bardzo smutno.

— Możesz to nazwać moim ostatecznym wezwaniem. Inaczej nic już nie będzie miało sensu.

Odsunęła się od niego. Oboje czuli się skrępowani, tuląc się tak do siebie nawzajem.

— Nie mamy już nic do stracenia, ani ty, ani ja. Natalie, proszę cię.

Rozległo się słabe gulgotanie. To woda w grzejniku nagrzewała się.

— Prędzej czy później cię znajdą — powiedział.

— Wiem o tym — odparła.

— To tylko kwestia czasu. Westchnęła i wytarła nos w jego rękaw.

— Ostatnio wcale się tak dobrze nie bawiłam.

— Zrób to dla mnie — nalegał. — Dla Chloe, błagam!

Jednym wdzięcznym ruchem jak baletnica podniosła się na nogi. Pomyślał o grubych udach swojej córki. Ona człapie. Czy powiedział to do Sheili na głos?

— Niech będzie — zgodziła się Natalie. — Niech mi pan da pięć minut. Pójdę się spakować. — Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Siedział na twardym krześle przy stole. Zgodziła się! Przez chwilę wprost nie mógł w to uwierzyć.

W drugiej butelce zostało jeszcze wino, on jednak pomyślał, że przecież musi prowadzić. Choć znajdował się w takim stanie, tak właśnie sobie pomyślał.

Odezwał się głośno do zamkniętych drzwi do sypialni.

— Tak naprawdę to przeze mnie, mnie należy winić. Nareszcie to powiedział.

Bolała go głowa. Siedząc na twardym krześle, czuł, że jest sędzią. Kogo jednak miał sądzić? Dlatego właśnie nie mógł rozmawiać z Sheilą. Podczas długiej podróży na północ, w nocy, o wszystkim tym opowie Natalie. Był tak samo winny jak ona, byli w tym razem. Gdy w końcu się otworzył, słowa parły z siłą lawiny, wyrzuci je z siebie dzisiejszej nocy, powie o wszystkim tej dziewczynie, która aż dotąd była dla niego zupełnie obca.

Opowie jej o swojej młodości, o tych cudownych latach, gdy zdawało się, że nie ma rzeczy niemożliwych. O swoim talencie, prawdziwym talencie, odziedziczonym przez córkę, który jednak życie zmarnowało. O wszystkich swoich nadziejach przelanych na córkę, marzeniach, że ona osiągnie to, co jemu zostało oszczędzone.

Czuł, że dochodzi do siebie, że ciepło powraca do niego jak do włączonego grzejnika. Wróci i przekaze Natalie policji. Rzuci palenie, uporządkuje swoje życie. Tak niewiele trzeba, by równowaga na powrót zapanowała na świecie. Dokona się choć namiastka sprawiedliwości.

Spojrzał na zegarek, była trzecia nad ranem. Cóż to była za długa, dziwna noc... Miał wrażenie, jakby zaczęła się przed wieloma tygodniami. Ogarnęło go uczucie spokoju. Ze zdumieniem stwierdził, że cały jego gniew gdzieś się wypalił. Żył z nim tak długo, że nie od razu zdał sobie sprawę z przepelniającego go nowego uczucia. Zupełnie jak dawno temu deszcz niespodziewanie przestawał padać i nastawała cisza. Najpierw martwa, potem wypełniająca się z wolna dzwoniącym w świeżym powietrzu ptasim świergotem.

Spojrzał na drzwi do sypialni. Gdzieś tam na farbie widoczne były odpryski. Jakiś poprzedni lokator przypinał do nich obrazki, tak samo jak Chloe: zrobione polaroidem zdjęcie na przyjęciu, fotografia małego tygrysa. Za tymi drzwiami pakowała się jego zastępcza córka. Gdy w końcu się poddała, czuł wobec niej tak ogromną wdzięczność, że zaczął ciepło myśleć o Natalie jak o dziecku, którym mogłaby dla niego być — ładniejszym, odważniejszym, niż kiedykolwiek była Chloe. Dziewczyną, jaką za wszelką cenę pragnął stworzyć z Chloe. Kto wie? Może się nawet zaprzyjaźnią i będzie ją odwiedzał w więzieniu.

Później zdał sobie sprawę, jak dziwnie się wtedy zachowywał. Miał namacalny dowód — jeśli takowy w ogóle był potrzebny — że jednak wcale nie odzyskał zdrowych zmysłów. Ale tak właśnie czuł w tamtej chwili. Był w końcu pijany.

Minęło pół godziny. David wstał i zapukał do drzwi.

— Natalie? Powinniśmy już jechać. Żadnej odpowiedzi.

Może po zastanowieniu zmieniła zdanie. Z ponurą twarzą siedziała na łóżku. „Odwal się i zostaw mnie w spokoju”. Zapukał ponownie. Cisza. W końcu otworzył drzwi i wszedł.

Natalie leżała na łóżku nieprzytomna. Obok na podłodze wałała się pusta fiołka po lekarstwach.

David zamarł.

— Natalie!

Rzucił się w stronę łóżka i zaczął nią potrząsać.

— Natalie, obudź się!

Była taka krucha. Przez sweter wyczuwał jej delikatne łopatki. Chwytnąjąc ją obiema rękami za ramiona, zbliżył swoją twarz do jej. Jeszcze żyła, wyczuwał jej oddech, owiewający mu delikatnie usta. Przyłożył dłoń do jej piersi, serce wciąż biło.

— Natalie, nie rób tego! — Wygadywał głupoty, nie mógł się jednak powstrzymać.

Przy łóżku nie było telefonu. David wstał i potykając się, wybiegł do drugiego pokoju. Na półce znalazł książkę telefoniczną, lecz nigdzie śladu telefonu.

Telefon komórkowy. Musi mieć telefon komórkowy. Wrócił do sypialni. Natalie wydała mu się jeszcze drobniejsza, jakby już zaczynała znikać. Wśród rozrzuconych na poduszce blond włosów zauważył ciemne odrosty. Stał jak sparaliżowany. Niemal widział, jak wycieka z niej życie.

Wciąż jeszcze oddychała. Widział, jak włochaty moherowy sweter na jej piersi łagodnie unosi się i opada.

— Błagam, nie umieraj — powiedział dziwnie swobodnie, jakby prowadził rozmowę, co go zdziwiło. — Wezwę pomoc.

Masz komórkę, prawda? Każdy ma. Chloe też miała, ale bez przerwy ją gubiła.

Na podłodze leżała torba Natalie. Wyrzucił całą jej zawartość na dywan.

— Albo wyczerpywała się jej bateria. Słyszałem, jak jej głos dochodzi coraz słabiej i słabiej, aż w końcu wcale nie było go słycać.

Zauważył komórkę. Leżała tuż przed nim, na nocnym stoliku. Był jednak zbyt roztrzęsiony, niezdolny myśleć racjonalnie.

— Co za idiota ze mnie — powiedział do siebie. Do pacjentów w śpiączce trzeba mówić. Przyszło mu to zupełnie naturalnie, czuł się też spokojniejszy. — Teraz wykręcę 999. Nic ci nie będzie ... zajmą się tobą, zrobią płukanie żołądka czy co tam trzeba, ale nie martw się, nikomu o niczym nie powiem, nie musisz wracać do Leeds, przyrzekam... — Ręce mu się trzęsły, miał kłopoty z utrzymaniem w nich telefonu. Z natężeniem wpatrując się w przyciski — wzrok miał coraz słabszy, mówił dalej: — Jak się to obsługuje, co? Chloe miała inny. — Przycisnął czerwony guziczek. Nic się nie stało. — Cholera. — Przyjrzał się dokładniej. Tak, widniał na nim napis „ON”. Znowu go nacisnął. Małeńki ekranik pozostał ciemny.

— Och, pomocy, błagam — jęknął. Bateria musiała się wyczerpać. Ale przecież mimo to coś się powinno zapalić.

Gorączkowo przyciskał wszystkie guziczki po kolei. Telefon nie działał.

Podniósł się na nogi.

— Idę po pomoc. Czekaj tutaj. — Cóż za idiotyzm, dokąd niby miałyby pójść? — Przekląte telefony, jak trzeba to nigdy nie działają. — Dotknął jej stopy w grubej pończosze. — Błagam cię, Natalie, nie umieraj. To, co zrobiłaś, nie było aż takie złe. Nie chciałem tego — to była moja wina, miałaś rację, po prostu chciałem to na kogoś zwalić. — Patrzył na jej zamknięte oczy, opadające na policzki rzęsy. — To tylko wszystko pogarsza. Nie rozumiesz? — Błagał ją z całego serca, by się obudziła. — Nie rozumiesz? W ten sposób robisz z mojej córki morderczynię.

Spojrzał na nią po raz ostatni, po czym wybiegł z mieszkania, zostawiając uchylone drzwi wejściowe, i pognał schodami na dół. Zabezpieczył frontowe drzwi, by się nie zatrasnęły, wyszedł na ulicę i rozejrzał się. Pozostałe okna w budynku wciąż jeszcze były ciemne.

Kawałek dalej dostrzegł budkę telefoniczną. Pognał w jej stronę, szukając po kieszeniach drobnych. Czy trzeba płacić, jak się dzwoni na 999?

„Robisz z mojej córki morderczynię”. O co mu chodziło? Przecież tak naprawdę chciał powiedzieć: „Robisz ze mnie mordercę”.

Budka okazała się zniszczona. Ktoś wyrwał z niej telefon, ze ściany wystawały poszarpane przewody.

David patrzył zdumiony. Nie znowu, pomyślał. Och, Boże, błagam, nie pozwól, żeby to się powtórzyło.

„Gdziekolwiek byś była, obojętnie o której... po prostu zadzwoń”.

Stacja metra. Tam musi być telefon. Skręcił w prawo i pobiegł ulicą. Zaczęło padać. Miał wrażenie, że całe wieki zajmuje mu pokonanie dystansu do głównej ulicy. Zbliżała się taksówka z włączonymi światłami.

— Taxi! — Wymachując rękami, wyszedł na środek jezdni. — Hej, zatrzymaj się!

Taksówka nawet nie zwolniła. Jeszcze jeden pijak, myślał sobie kierowca.

Stacja Finsbury Park była zamknięta, ale tuż obok wejścia znajdowały się dwie budki telefoniczne. David wszedł do jednej, podniósł słuchawkę i wykręcił 999.

Ktoś się zgłosił. Czego sobie David życzył?

— Karetki — wykrztusił i podał adres.

I znowu gnał ulicą, mijając po drodze wystawione worki ze śmieciami, z powrotem do mieszkania Natalie.

Pchnął drzwi i wbiegł na górę, na pierwsze piętro. Drzwi do mieszkania Natalie wciąż były uchylone, tak jak je zostawił.

— Wszystko w porządku, już wróciłem! — krzyknął, jak mąż wracający po pracy do domu. — Zaraz przyjadą.

Wszedł do sypialni.

Łóżko było puste. Natalie znikła.

Rozdział szósty

„Nie igraj ze mną, maleńka...”.

Głos Damona dudnił w całym samochodzie. Natalie jechała szybko pustymi ulicami. Na przedniej szybie miarowo pracowały wycieraczki.

Na myśl o tym, na co się porwała — proszę bardzo, upiekło jej się, i to po raz kolejny, miała dziewięć żyć, jak kot — serce waliło jej w piersiach jak szalone.

„To, co zrobiłaś, nie było aż takie złe”, tak powiedział.

Biedaczysko. Było jej go żal, naprawdę. Kiedy tak do niej mówił, otwierając przed nią serce, ujmował ją. A jego rozpacz, gdy ujrzał ją na łóżku... Aż się prosiło, żeby wstała i krzyknęła: „Tylko żartowałam”.

Śmierć córki musiała być dla niego straszna. Została zgwałcona i uduszona. Pamiętała, jak z przerażeniem słuchała o tym w wiadomościach. Chyba nic gorszego nie może człowieka

spotkać. Biedny David. Ale ona nie mogła mu pomóc. Nikt nie mógł. Nikt nie mógł wrócić mu córki. Ze swoim bólem musiał się jakoś uporać sam.

Cóż to była za niesamowita noc... jedna z najbardziej niesamowitych w jej życiu. Kto by przypuścił, jaką lawinę wydarzeń może wywołać jeden mały czek. Były jeszcze dwa inne — teraz sobie przypominała — tego dnia, gdy komputery w pracy się zawiesiły. O tym nie pomyślała: co się stało z tamtymi ludźmi?

Ale teraz wszystko to już przeszłość. Stało się i koniec. Wkrótce nastanie nowy dzień. Musi się pozbierać, otrząsnąć i zacząć od nowa. Dziewczyna musi przetrwać. Czy on naprawdę uwierzył, że odda się w ręce policji? Przecież jeszcze nie zwariowała.

Jechała przez Hackney. BLACKWALL TUNNEL. Poprzez strugi deszczu dostrzegła drogowskaz. Miała już pewien plan. Jej ciotka Judy mieszkała w Folkstone. Judy była trochę szurnięta i widok Natalie na progu nie powinien jej zbyt zdziwić ani zainteresować. Przez ostatnie lata utrzymywały zdawkowy kontakt — jakieś niespodziewane życzenia na święta — ale na ślubie Natalie się nie pojawiła i na pewno nie ma pojęcia o aresztowaniu. Natalie przycałowała się na kilka dni w domu ciotki i zdecyduje, co dalej. Mogła jechać do Francji. Tam w sklepie sportowym w Rouen pracowała jej koleżanka, Melinda. Natalie miała aż nadto gotówki — jakieś osiem tysięcy funtów — pora była więc najwyższa, by zniknąć z T.B. Computer Services. Sama się dziwiła, że jeszcze się nie zorientowali, że coś jest nie tak.

„Znowu to cudowne uczucie, raz jeszcze”, śpiewał Damon. Był to najnowszy singiel O-Zone. Natalie wtórowała na całe gardło. Lepiej się czuła, słysząc swój własny głos. Nie była taka samotna.

W jednym przynajmniej nie skłamała. Ostatnie miesiące były okropnie ponure, teraz mogła się do tego przyznać. Nigdy, przez całe swoje życie nie czuła się taka samotna. Ogarniała ją taka rozpacz, że tęskniła nawet za Colinem.

Co tam. „Przytul mnie mocno, kochanie”, śpiewała, przejeżdżając pod wiaduktem.

BLACKWALL TUNNEL. FALKSTONE 20 MIL, przeczytała na drogowskazie. Za późno.

— Niech to szlag! — Minęła zjazd na autostradę. Po chwili wyjechała z tunelu i deszcz znowu zaczął walić w przednią szybę.

Nic się nie stało, trzeba po prostu zawrócić. Zatrzymała samochód, wjechała na chodnik i zawróciła. Musiała pojechać tą samą drogą, przejechać pod wiaduktem i znaleźć z tej strony zjazd na autostradę we właściwym kierunku.

Niestety, wyglądało na to, że wpadła w sieć jednokierunkowych ulic. Cały czas zmuszona była skręcać w lewo i nagle znalazła się na jakichś opuszczonych terenach przemysłowych. Po drugiej stronie majaczyły wysokie budynki. W oddali lśnił wielki neon: ACORN STORAGE.

Głos Damona jakby przycichł. Podkreśliła regulator głośności, bez skutku jednak. Spojrzała na deskę rozdzielczą. Czy jej się wydawało, czy też rzeczywiście światełka na niej zbladły?

„Kochaj mnie, kochaj!”, śpiewała, modląc się, by Damon jej nie opuszczał, lecz jego głos słabł coraz bardziej. Prawie w ogóle już go nie słyszała.

Wtedy zorientowała się, że samochód zwalnia. Przycisnęła pedał gazu, lecz auto nie przyspieszyło. Nadusiła go aż do oporu, lecz nadal jechała coraz wolniej.

Wyjrzała przez szybę. Przednie światła także świeciły słabiej. Wciąż śpiewała, ale już sama. Damon odszedł. Zatrzymała się i we wnętrzu samochodu zapanowała cisza.

I wtedy światła na desce rozdzielczej zgasły. Silnik zgasł i auto znieruchomiło.

Musiała wysiąść elektryka. Była sama, w samym środku niczego. O karoserię dudnił deszcz. Utknęła na drodze dostawczej, z niskimi budynkami po obu stronach. Prawie nic nie widziała, bo znieruchomiałe wycieraczki przestały zbierać deszcz, dostrzegła jednak niewyraźne, zbliżające się z przodu światła.

Mijając ją, samochód zwolnił, po czym gwałtownie przyspieszył. Obejrzała się i ujrzała oddalające się tylne światła.

Nagle zapaliły się światła stopu, błyszcząc w ciemnościach jaskrawą czerwienią. Samochód zjechał na lewo i przejechał przez wysepkę na środku jezdni. Zawracał. Przednie światła zwróciły się w jej stronę.

Czy to nie dziwne? Wiedziała, że tak się stanie. Nerwowo sięgnęła do torebki i wyjęła telefon komórkowy. Podnosząc go w ciemnościach do twarzy, nacisnęła przycisk włączający.

Nic. Patrzyła z niedowierzaniem.

— Kurwa. Kurwa-kurwa-kurwa mać. — Teraz jej się przypomniało. Jeszcze w mieszkaniu wyjęła z telefonu kartę SIM, żeby uniemożliwić Davidowi skorzystanie z niego. Karta została pod poduszką.

Cisnęła telefon na siedzenie. Chwyciła torebkę i wyskoczyła z samochodu. Światła nadjeżdżającego samochodu były coraz bliżej.

Natalie zaczęła biec, szybko. Ratowała życie.

Rozdział siódmy

Buty Natalie uderzały głośno o chodnik. Potrafiła szybko biegać, samochód jednak był szybszy. Słyszała, jak coraz bardziej zbliża się z tyłu. Minęła zamkniętą bramę, za nią ciągnął się płot. Nie miała gdzie się ukryć. Na płocie dostrzegła wielki napis: OBIEKT PILNOWANY PRZEZ PSY. Zauważyła przed sobą boczną uliczkę. Dotarła do niej, skręciła w prawo i biegła dalej. Przyciskając torbę do piersi, jeszcze bardziej przyspieszyła. Biegąc, rozglądała się za jakąś luką, jednak po obu stronach wznosił się nieprzerwany mur.

Cały czas słyszała goniący ją samochód. On także skręcił w tę samą ulicę, ryk silnika odbijał się echem od ścian. Był coraz bliżej.

Światła samochodu oświetliły znajdujący się przed nią napis: ODDZIAŁY 12-22. Zbliżyła się do rozwidlenia dróg. Rzuciła się w lewo i gnała ile sił w nogach. Za sobą coraz wyraźniej słyszała hałas silnika.

To nie był David. Nie miała co do tego wątpliwości, nie mógł przecież jechać za nią. To musiał być ktoś inny. „Nastąpił alarmujący wzrost nie rozwiązanych przestępstw skierowanych przeciwko kobietom. Policja ostrzega, że o każdej porze w nocy kobiety mogą być narażone na niebezpieczeństwo”.

Nagle dostrzegła przerwę między budynkami — dosłownie szczelinę widoczną w padającym z ulicznej latarni świetle. Skręciła w nią i znalazła się w wąskiej uliczce. Wszędzie walały się sterty śmieci; kluczyła między nimi, ślizgając się na mokrej nawierzchni. Uliczka z jednej strony zamknięta była ślepym murem, z drugiej ciągnął się parking zastawiony buldożerami. Natalie potknęła się o materac.

Płuca jej rozsadzało. Oparła się o ścianę, z trudem łapiąc oddech. „Zgwałcona i uduszona”. Co stało się najpierw? Co sprawiało mu większą przyjemność?

Dlaczego córka Davida nie skorzystała z telefonu komórkowego — czy wszystko wydarzyło się zbyt szybko? Samochód gwałtownie przy niej zahamował, jakieś ręce chwyciły ją za kurtkę i wciągnęły do środka. Czyjaś dłoń zatkała jej usta.

Przemoczona przez deszcz Natalie dalej stała, opierając się o ścianę. Wciąż gwałtownie łapała powietrze, starając się zappełnić nim obolałe płuca.

„Przepraszam, którą do Piccadilly Station?” Może w ten właśnie sposób ją zaczepił; wychylił się z samochodu, uchylając lekko drzwi.

„Nie powinnaś chodzić sama o tej porze, nie czytasz gazet?" Tamta dziewczyna przystała — na ułamek sekundy. I ten ułamek ją zgubił. „Wskakuj".

Natalie zrobiło się niedobrze. Oderwała się od muru i znowu ruszyła biegiem, dysząc ciężko. Uliczka kończyła się na parkingu. TEXAS HOMECARE. Przeskoczyła barierkę i pobiegła po ciągnącym się bez końca asfalcie. Przed nią, w cieniu sklepowego okapu, stał rząd telefonicznych budek.

Może telefon tamtej biedaczki nie działał. Z walącym sercem nacisnęła przycisk, ale bateria się wyczerpała. Jak Natalie, trzymała w ręku martwy, bezużyteczny przedmiot.

„Hej, podwieźć cię?". Drzwiczki otwierają się szeroko. Twarz mężczyzny widoczna w świetle latarni.

Natalie poczuła klucie w sercu. Na nogach jak z ołowiu pokonała parking. Miała wrażenie, że nigdy się nie skończy. Nie słyszała już samochodu, wokoło panowała cisza.

„Pewnie mi się to wszystko wydawało". Może tak właśnie tamta sobie pomyślała. „Ten samochód to tylko wytwór mojej wyobraźni. Wszystko dlatego, że się boję".

Na końcu parkingu pojawiły się światła. Samochód zwolnił i zatrzymał się, czekając na nią.

Natalie zacisnęła powieki. Kiedy znowu je otworzyła, nie było żadnego samochodu. Parking był pusty, tylko gdzieś daleko zaszczekał pies.

Nareszcie stała w budce telefonicznej. Pałace się w niej światło oślepiło ją. Czuła się tam obnażona, z każdej strony widoczna. Wykręciła 999.

— Z kim panią połączyć? — spytał kobiecy głos.

— Z policją — wykrztusiła Natalie.

— Nazwisko?

Natalie nie odpowiedziała od razu. Które powinna podać?

„Chloe Milner", przemknęło jej przez myśl. Przynajmniej dzisiejszą noc spędziły razem.

Spróbowała zebrać myśli. Wszystko jej się mieszało — czy ten samochód widziała tylko w swojej wyobraźni? Może tak naprawdę nikt jej nie gonił? Stała się inną dziewczyną. Tamtą dziewczyną. Każdą dziewczyną.

— Jest tam pani?

W głowie jej wirowało. Lorraine, pomyślała. Tracey Batsford.

— Jest tam pani? — powtórzył głos. Odetchnęła głęboko i w końcu powiedziała prawdę:

— Natalie Taylor.

Rozdział ósmy

Królewski Sąd w Leeds mieści się w nowoczesnym, ciężkim budynku z czerwonej cegły. Wnętrze jest duszne i pozbawione okien. W sali rozpraw numer 4 sędzia siedzi na tle beżowej, plisowanej zasłony, co nadaje mu nieco teatralny wygląd, jak gdyby on wygłaszał tylko prolog, po którym kurtyna się rozsunie i rozpocznie się prawdziwe przedstawienie.

Publiczność zasiada za szybami z przyciemnionego szkła. Gdy obracają się, by spojrzeć na osobę zasiadającą na ławie oskarżonych, widzą własne odbicia. Wszyscy inni — oskarżony, sędziowie — są zamazani, widziani jakby we śnie.

Jeden człowiek nigdy nie zajmie ławy oskarżonych, ponieważ nigdy nie został odnaleziony. Może właśnie w tej chwili pomaga swojej córeczce odrabiać zadanie domowe. Nachyla się nad nią, z ręką wspartą na jej ramieniu. Gdy patrzy w zeszyt, słupki cyfr tańczą mu przed oczami. Nic z nich nie rozumie, bo myślami jest gdzie indziej. Wdycha zapach swojej córki, czuje jej oddech. Być może ona także nigdy nie dokręca butelki z keczupem, co go irytuje, ale tylko w sposób, w jaki ojcowie irytują się zachowaniem swoich córek. Pragnie dla niej wszystkiego, co najlepsze. Drży o nią, jak wszyscy ojcowie, boi się, czy ten brutalny świat jej nie skrzywdzi. Zamyślony gładzi ją po smukłej szyi.

A może mieszka sam i siedzi właśnie przed telewizorem, strzepując popiół z papierosa do pustego opakowania po pizzy. Nigdy nie sprawia żadnych kłopotów, zapewnia jego gospodyni. Jest samotnikiem. Może ma znamie na policzku, wielką krwistą plamę, lecz nikt nie przeżył, by donieść.

Ponieważ — kto wie? — zrobił to więcej niż raz. Nikt się nigdy nie dowie, nie tym razem. Zabierze swoją tajemnicę do grobu.

Nie morderca zasiada na ławie oskarżonych. To Natalie. Ubrana na czarno, wydaje się drobna, ale jest w niej coś wyzywającego. Mierzy wzrokiem przysięgłych, którzy ze zmienną uwagą przysłuchują się zeznaniom świadków oskarżenia. Jest październikowe popołudnie, drugi dzień procesu. Oczy przysięgłych skupiają się na niej. Trudno tę młodą kobietę powiązać ze zbrodnią. Jest taka szczuplutka i bezbronna. Jasne włosy ma porządnie uczesane. Dowody przeciwko niej wydają się przytłaczające, lecz wielu przysięgłych potajemnie stoi po jej stronie. W końcu nikogo nie zabiła. Jej zbrodnia to nie przelana krew, lecz jakieś cyfry na kawałku papieru. W zasadzie cholernie sprytne. Może, gdyby sami na to wpadli... tylko może...

Nikomiu nie stała się krzywda, a oni także nienawidzą tych wielkich korporacji, gigantów zgarniających ogromną kasę, ich uporczywej chciwości, pogardy dla zwykłych śmiertelników. Ich także doprowadzają do szaleństwa poranki zmarnowane na bezskutecznych próbach skontaktowania się z kimkolwiek, oni tak samo nieraz godzinami dygotali z zimna na peronie, czekając na pociąg, który nigdy miał nie przyjechać, podczas gdy szefostwo kolei zgarnia wielomilionowe premie. Na samą myśl o tym ogarnia ich wściekłość. A ona jest taka malutka w tej sali aż uginającej się pod ciężarem prawa.

Ławki dla publiczności wypełnione są tylko w połowie. W końcu to nie sprawa o morderstwo, żadna sensacja. Siedzi tam David, sztywno wyprostowany. Elegancko ubrany w garnitur, krawat i białą koszulę, jak gdyby to on był oskarżonym i starał się na przysięgłych wyrzeć dobre wrażenie. Ani na chwilę nie odrywa oczu od Natalie,

Głędzenie nie ustaje — właśnie miejsce dla świadków zajmuje Phillip Tomlinson i mówi:

— Zadzwoiła do mnie do domu i kazała mi wystawić sobie referencje na fałszywe nazwisko...

Lecz oczy Davida ani na chwilę nie odrywają się od twarzy Natalie.

Za nim siedzi Colin. On także patrzy na Natalie. Natalie podnosi wzrok, spogląda na niego przelotnie, po czym odwraca głowę. Obok Colina siedzi Stacey — przysadzista, brzydka Stacey z NuLine. Trzymają się za ręce.

— Okropne, prawda? — mówi szeptem Stacey.

Derek to już historia. Stacey bardzo Colinowi pomogła w ciągu minionych miesięcy. Nieraz częstowała go ciastem u siebie w mieszkaniu i wysłuchiwała jego biadolenia; razem chodzili się wspinać. Stacey twierdzi, że uwielbia wspinaczkę. Za kilka tygodni rozwód Colina będzie sfinalizowany.

— Dobrze się czujesz, Klocusiu? — szepce, spoglądając na niego zza okularów. Zapytany przytakuje skinieniem głowy.

Nigdy nie lubiłam Natalie, myśli Stacey. Zawsze uważała się za kogoś lepszego od nas. Ładniejsza, mądrzejsza, o smuklejszych nogach. A teraz — proszę bardzo — jednak jest na tym świecie jakaś sprawiedliwość.

Gdy jest w pracy, rozmarza się nad swoim notatnikiem. Stacey Taylor... PANI S. TAYLOR...

Prostuje się na siedzeniu. To lepsze niż w kinie. Znowu ściska dłoń Colina.

Płyną minuty. W sali sądowej panuje zaduch. Niektórzy przysięgli walczą z ogarniającą ich sennością. David jednak jest całkowicie przytomny. Bez przerwy patrzy na Natalie. Jest w tym spojrzeniu jakaś wściekła koncentracja. Nie widział jej od ośmiu miesięcy. Po raz ostatni zapamiętał ją leżącą na łóżku w Finsbury Park. Wokół niego ludzie wiercą się na swoich siedzeniach. Wkrótce zapewne wyjdą na filiżankę herbaty.

Wzywany jest kolejny świadek — jakiś księgowy z NuLine, który zaczyna rozpoznawać rzekomo skradzione czek. Ktoś kaszle sucho jak palacz. To matka Natalie. Wśród brązowych głów jej purpurowa fryzura rażąco się odbija. Wokół twarzy Davida lata jakaś mucha.

W tym momencie Natalie spogląda na niego. Przez całą długość sali, przez przyciemnioną szybę, ich oczy się spotykają.

— ...czek na sumę stu dwudziestu trzech funtów pięćdziesięciu dziewięciu pensów, datowany jedenastego lutego...

Monotonny szum głosów. Teraz mucha brzęczy mu nad uchem.

— ...czek na sumę stu czterdziestu czterech funtów pięćdziesięciu pensów, datowany dwudziestego lutego...

Niektórzy przysięgli, podążając za jej wzrokiem, patrzą na Davida. Minuty płyną. Przez odbitą w szybie własną twarz David spogląda na Natalie. Teraz już wie, że byłby zdolny popełnić morderstwo. Tamtej nocy w kwietniu myślał, że umarł, lecz wciąż miał w sobie życie. Na tyle przynajmniej, by ostatecznie miało się co wypalić w Finsbury Park. „Nic mi nie wróci mojej córki, ale... sprawiedliwości stanie się zadość...” Zło jednak zatriumfowało znowu i jeśli nadarzy się kolejna okazja dopaść Natalie, wówczas to on będzie zajmował ławę oskarżonych. Jak będzie się wtedy tłumaczył? Że świat jest bez sensu?

Natalie patrzy na Colina. Nie słucha zeznań świadków. Odwraca się, mijają kolejne minuty.

O czym myśli? Dlaczego wybrała ten właśnie moment? Później David będzie zadawał sobie to pytanie wciąż od nowa. Nigdy więcej się nie spotkają, nigdy nie pozna odpowiedzi.

W dniach, które nadejdą, również i Colin będzie sobie zadawał to samo pytanie. Nikt jednak nie będzie wiedział. Tylko Natalie, w głębi swego serca, zna prawdę.

Albowiem w tym momencie coś zaskoczyło. Coś, przed czym przez te wszystkie miesiące uparte samousprawiedliwiania się opierała się. Takie momenty nie nadchodzą pod wpływem innych, nie da się ich wywołać — jak zastrzykiem narodzin dziecka. Sama do niego dotar-

ła, po długiej podróży, która doprowadziła ją do tego miejsca i do twarzy Davida. Patrząc na niego, w końcu rozumie.

A może po prostu dociera do niej, że skierowane przeciwko niej zarzuty są bezsporne.

Natalie wstaje i odwraca się ku sędziemu. Świadek jąka się i po chwili milknie.

Natalie podnosi rękę — osobliwym gestem, jak gdyby zatrzymywała uliczny ruch. W sali zapada cisza.

Zwraca się do sędziego donośnym, czystym głosem:

— Proszę mi wybaczyć, ale chciałam zmienić zeznanie. Sędzia zaczyna coś mówić.

Obrońca Natalie zrywa się na nogi. Lecz Natalie mówi dalej:

— Przyznaję się do winy.



L R